Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/litwackiemrowie0000artu

N. 38

# LITWACKIE MROWIE

## TEGOŻ AUTORA:

| | Rb. | k. |
|---|---|---|
| **Dla miliona.** Powieść | 1 | 20 |
| **Hutnik.** Powieść współczesna | — | 80 |
| **Krety.** Powieść współczesna. Wyd. 2-gie | 1 | 50 |
| **Nowy obywatel.** Z ilustracyami K. Gorskiego | 1 | — |
| **Pruski huzar.** Powieść współczesna | 1 | 50 |
| **Słomiany ogień.** Powieść współczesna | 1 | 50 |
| **Tuzy.** Powieść współczesna. Wyd. 2-gie | 1 | 20 |
| **W tysiąc lat.** Powieść na tle stosunków słowacko-węgierskich | 1 | 50 |
| **Zwycięzcy.** Powieść (wyczerpane) | 1 | 20 |
| **Zwyciężeni.** Powieść współczesna (wyczerpane) | 1 | 50 |

ARTUR GRUSZECKI

L. 38

# LITWACKIE MROWIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

Via Serra, 22

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1911

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095894627

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

# I.

— Borchy es Adonai hambojroch — zaintonował minche, modlitwę popołudniową, żyd szpakowaty z twarzą szczupłą, z błyszczącemi oczyma.

Za tym, chazenem przepowiadającym wersety modlitwy, inni pobożni, zgromadzeni w bethamedrisz, domu modlitwy, odpowiedzieli przeciągłym, smutnym, płaczliwym głosem:

— Burech Adonai hambojroch leolom wued...

W obszernej sali, rozświetlonej świecznikami, zebrali się na popołudniową modlitwę, minche, żydzi, przeważnie kupcy moskiewscy, zamożni, którzy z własnej kieszeni opłacali wynajęcie sali i umeblowali, stosownie do jej przeznaczenia jako domu modlitwy, bethamedrisz. Przy jednej ścianie stała szafa, w której przechowywano na pergami-

nie spisane przykazania, przed nią na dwóch małych stolikach dwa siedmioramienne świeczniki. Resztę sali, oświetlonej ściennymi kandelabrami wypełniały stoły i krzesła. Na razie odprawiało modlitwę dziesięciu pobożnych, ubranych w marynarki, tużurki, surduty z narzuconą na głowę i ramiona płachtą, białą w czarne pasy, ze sznurkowemi frędzlami na brzegach, czyli tak zwanym tałesem.

Na czole każdego z nich był umieszczony kwadracik skórzany, w nim zawarte przykazania; kwadracik ten, twiłem, przytrzymywały wązkie rzemyki, recijes, któremi obwiązana była lewa ręka aż powyżej łokcia.

Nasunięte na głowę tałesy, ocieniały twarze, a tem silniej świeciły błyski oczu, mamroczących modlitwę i kiwających się żydów.

Od czasu do czasu rozlegały się głębokie westchnienia, to znów jękliwe wołania.

Nadchodzili spóźnieni, gorączkowo ubierali się w odznaki religijne i szybko odmawiali minche.

Chazen, stojący w pobliżu otwartej szafy, zawołał głosem żałosnym, z wielką pokorą:

— Burech Adonai!

Wszyscy się pochylili z głębokiem westchnieniem, a on zaczął śpiewającym głosem, z wielkiem przejęciem:

— Przedwieczny Panie Izraela! zaniechaj Twojej zapalczywości i odmień przedsięwzięcie karania Twego ludu.

Modlący się w bethamedrisz odpowiedzieli w głos:

— Przez miłosierdzie Twoje, ochroń nas i nie podawaj w ręce okrutnych.

— Dlaczego mówią narody: »gdzie jest ich Bóg?« dla siebie samego wyświadcz nam łaski, nie opóźniaj się!

W głosie ich brzmiała gorąca prośba, pełna żalu i tęsknoty. Ruchy ich były gorączkowe, niespokojne, wznosili oczy w górę, z piersi dobywały się westchnienia, niemal łkania. Czuć było, że oni namiętnie proszą i pożądają i wierzą w tę pomoc.

A przy ostatnich słowach tej modlitwy, głos modlących się przeszedł w jeden okrzyk namiętnego błagania:

— Wybaw nas Boże zbawienia naszego! dla czci Twego Imienia; wyzwól nas i przebacz nasze grzechy dla Imienia Twego!

Nabożeństwo popołudniowe skończyło się. Żydzi gorączkowo i pospiesznie odkładali swe odznaki modlitewne, zwijali rzemyki, składali tałesy, rozmawiając o sprawach bieżących.

W sali zapanował gwar rozmowy, nawoływania, okrzyki, i jak przed chwilą namię-

tnie wzywali Boga na pomoc, tak teraz nerwowo, głośno poczęli rozmawiać.

Na stołach zjawiła się gorąca herbata, przed niektórymi postawiono flaszeczki z wódką, którą pili małemi dawkami, zagryzając bułką.

Głównie zwracał uwagę siedzący za stołem przy herbacie, szpakowaty blondyn, z rysami wydatnie semickiemi, z przyciętą ryżawą brodą, który, chmurny, mówił tonem zniechęcenia w żargonie:

— Gdzie ja nie byłem?... Kogo nie prosiłem? Nogi schodziłem, głos mi zachrypł, kark mnie boli od zginania i ukłonów... to pierwsza szklanka od śniadania rannego — wskazał na stojącą przed nim herbatę.

— Nu, i co? — spytał jeden ze słuchaczy nerwowym głosem.

— Co ma być? — uśmiechnął się Ozyasz Kindin z goryczą — nic!... „nie lża“ i koniec. Wyszedł „takoj prykaz“ i boją się nawet gadać.

Rozległy się głośniejsze i cichsze przekleństwa, a na wyrazistych twarzach malowała się złość, zawziętość, oburzenie.

— A mnie mówił mój prystaw — odezwał się starszy, niemal siwy człowiek — że przy moim synu, dentyście, wolno mi mieszkać w Moskwie.

— Za chabara, co go wziął od was — za-

śmiał się inny — wolno wam dziś mieszkać, ale jutro was wyrzucą i nawet łapówka nie pomoże.

— Dlaczego ty mi prorokujesz? — oburzył się stary — czy ja ciebie o to proszę?

— Nu, ja bezpłatnie wróżę — uśmiechnął się — a spytajcie Ozyasza, czy nie mówię prawdy. Powiedzcie sami, Ozyasz, wy przecież uczony.

— Co tu gadać? — wzruszył ramionami Ozyasz Kindin — to prawda... Ja sam w początku myślałem, że skończy się na wyrzuceniu kilku tysięcy biedniejszych, nu, a teraz my wszyscy musimy rzucić nasze majątki, interesa, pracę całego życia... a bodaj na nich padł mór, cholera, wszystkie choroby egipskie — wołał głośno — niech ich ziemia pochłonie, niech zginie ich imię i pamięć!

Zebrani z oczyma błyszczącemi nienawiścią przytakiwali tym przekleństwom, a pobożniejsi powtórzyli ostatnie słowa po hebrajsku:

— Imach szmom wojzychrom!

Juda Suderow, siedzący w pobliżu Ozyasza, zawołał głosem pełnym żalu i goryczy po rosyjsku, szarpiąc lewą ręką swe gęste, ciemne włosy:

— Nu, powiedzcie, co my im zawinili? Przyjęliśmy ich język, obyczaje, strój. Wszyscy

nas nazywają: ruskie ludie... my tu pracowali, wzbogacali miasto, rozwijali handel, a oni jak nam wypłacili? te psy, te goje, a k i m y!

Znów posypały się przekleństwa, tem gorętsze, że każdy uznawał słuszność słów Suderowa i gorycz w nich wzbierała, że państwo w ten sposób odpłaciło im ich asymilacyę.

Gdy się cokolwiek uciszyli, zaczął Ozyasz z uśmiechem przewagi:

— Co tu pomogą narzekania? Co oni sobie robią z naszych przekleństw? Oni mają siłę, wojsko, bogactwo... my radźmy, co począć? gdzie jechać? co robić? Niech ich wszystkich szlag trafi, ale my musimy żyć, my mamy dzieci, żony...

— Ozyasz, ty mówisz dobre słowa, ale daj radę dobrą, to będzie lepiej — odezwał się jeden z sąsiadów.

— Co tu robić? — mówił spokojnie Abraham Gartenmilch, gładząc siwą brodę — każdy z nas ma swoje interesa, każdy wie, gdzie mu będzie lepiej.

— Nu, a wy wiecie co robić, Abrahamie Salomonowiczu? — spytał Juda Suderow drwiącym głosem.

— Ja? — rzekł Abraham, podnosząc łagodne oczy — ja stary, nażyłem się dość na świecie... a chcę odpocząć i jadę do Syonu,

niech moje kości spoczną w kraju ojców moich.

— Żebym ja miał wasz majątek i wasze lata, zrobiłbym to samo — zaśmiał się Juda — ale nam trzeba pracować i nie możemy pozwolić, ażeby takie psy i osły, taki akim i areilim naśmiewali się z Izraela.

— Dobrze!... Sprawiedliwie!... Słusznie! — odezwały się przytakiwania.

Chazen, który przewodniczył modłom, a zwał się Szymon Spitzman, przemówił nagle swym cienkim, przenikliwym głosem:

— Ty, Juda, nie śmiej się i nie drwij... ty nie masz słuszności... Syon, to wielka rzecz, to święta dla nas wszystkich. Syon, to nasze dziedzictwo, a czy widziałeś syna, któryby się wyparł bogatego i świętego dziedzictwa? Co my za naród, jeśli nie mamy swej ziemi, swego kraju i państwa?

— Jedyny cel naszego życia powinien być Syon!... Jak jeden jest Bóg, tak jeden na świecie jest nasz Syon, reszta wszystko to środki i drogi, które prowadzą nas do upragnionej ojczyzny... Ach, gdybym ja miał siłę, gdybym mógł was natchnąć niezłomną wiarą, że w Syonie jest nasze szczęście, nasza przyszłość, nasze życie!... Jak pomyślę tylko, że gdyby setna część naszego biednego narodu zechciała pójść na Syon, posiąść go i tam

mieszkać, a bylibyśmy narodem panującym, państwem niezależnem, mielibyśmy własną ziemię, własny rząd, własne państwo, to moje serce jest samą radością i szczęściem... a teraz w mojem sercu tylko gorycz i żal, bo wy w pogoni za interesem oślepliście i nie widzicie, gdzie cel życia.

Wypowiedział te słowa gwałtownie, namiętnie, i teraz, zmęczony, oddychał ciężko i wodził oczyma po zebranych. Ci wysłuchali spokojnie jego mowy, jedni przytakiwali odruchowo, inni uśmiechali się ironicznie, a kilku mruknęło półgłosem z lekceważeniem:

— Czego on chce?... To nie żaden interes, to nie żadna rada!

— Słuchaj Szymon — przemówił Juda Suderow — ty człowiek dobry, ale ty nie masz głowy do interesów. Że Abraham — wskazał na starca — chce do Palestyny, to i dobrze. On ma kapitał, on może żyć... ale my, co my zrobimy? — i kończył z uśmiechem: — daj ty w Palestynie każdemu z nas sto a r e i l i m ó w, nieobrzezanych gojów, a każdy z nas pójdzie chętnie.

Większość zaśmiała się, a jeden odezwał się żartobliwie:

— Dla mnie wystarczyłby jeden a r e i l i m, tylko niech on ma fabrykę z pięciu tysiącami robotników.

— Ten dobrze powiedział — zaśmiano się.

Jednak troska o najbliższą przyszłość przeważała u wszystkich i mimo tych żartów i rozmowy gniotła ich i przejmowała trwogą. Patrzyli na siebie niepokojąco i puszczając gęste kłęby dymu z cygar i papierosów, wzdychali i odzywali się monosylabami:

— Nu, co będzie?... Och, źle!... Co tu robić?... A jutro, co?

Jeden z uczestników, bardziej nerwowy, czy też niecierpliwy, powiedział:

— Co my tu wysiedzimy?... herbatę ma każdy z nas i u siebie w domu...

— Nu, tak... tak... — odezwali się inni.

— A wy, Mojżeszu Dawidowiczu, co powiecie? Wy, mądry człowiek.

Wezwany, Mojżesz Dawidowicz Fiszkun, z twarzą przebiegłą, pozornie spokojną, uśmiechnął się, potarł szpakowatą, przyciętą brodę, wzruszył ramionami i rzekł:

— Co ja mam mówić? Każdy ma swój rozum, ale ja nie wiedziałem, że u was taki niepraktyczny — uśmiechnął się.

Mojżesz Fiszkun cieszył się wśród współwyznawców ogólnym szacunkiem, nietylko dla swego bogactwa, bo inni byli bogatsi, ale ceniono jego rozum, spryt niezwykły i uczynność. Nie posiadając żadnego tytułu, ani urzędu, był on niejako przewodnikiem mo-

ralnym żydów i do niego zwracano się po radę, u niego szukali pomocy nowoprzybyli. To też słowa jego przyjęto z uznaniem, i dopiero po chwili powiedział Ozyasz Kindin:

— Wy, Mojżesz Dawidowicz, nie potrzebujecie mówić zagadkowo... my tu swoi... i dlaczego my nie praktyczni?

— Dlaczego? — uśmiechnął się — a jaka korzyść, że siedzicie tu od pół godziny?... Wy jak kobiety i dzieci, narzekacie, przeklinacie, a niektórzy bawią się nawet... w poezyę palestyńską — zaśmiał się — bo i co my będziemy robili w kraju biednym, bezludnym, bez handlu i przemysłu, bez rynków...

— Bluźnicie, Mojżeszu Dawidowiczu — zawołał Szymon Spitzman — Syon, to nasza ojczyzna, to nasza sława, nasza przeszłość i przyszłość!

— Sza!... Cicho, Szymonie! — położył Mojżesz palec na swych grubych wargach — ja wszystko to wiem... ale mądry człowiek oblicza naprzód, obiera cel rzetelny, prawdziwy i dopiero działa. I ja kocham Syon i on będzie dla nas jak Rzym dla a r e i l i m ó w. Nasza świątynia ze wszystkich wspaniałych świątyń będzie najwspanialsza, nasza Jerozolima będzie dla całego świata tem, czem Rzym dla katolików, Moskwa dla Rosyan, a my jesteśmy tem wojskiem, co podbije świat cały,

wszystkie akimy i areilimy zostaną naszymi niewolnikami i, jak mówi Talmud, trzysta trzydzieści siedem oślic zaledwie udźwignie klucze od naszych bogactw. To jest cel, który wart jest naszego zachodu, naszej pracy, naszego życia.

I ten człowiek, zazwyczaj zimny, obliczający się, spokojny, pod wpływem tych marzeń o przyszłości Izraela, rozgorzał, już nie mówił, ale wołał głosem pełnym zapału i przekonania.

— Tak!... Słusznie!... Prawda!... Ach, jaki on mądry! — powiedzieli ci i owi z wielkiem uznaniem i pochwałą.

Mojżesz Fiszkun już się uspokoił i mówił równym głosem:

— Gdzie zgubiłeś, tam szukaj, czy nie tak?

— Nu? I co?

— My, nietylko tu zgubili nasze majątki, interesa, spokój, ale oni nas obrabowali ze wszystkiego... to gdzie ja powetuję moje straty? Tylko tu w Rosyi! Rozumiecie?

— Co tu rozumieć? — zawołał jeden z obecnych — ale wy, Mojżeszu Dawidowiczu, powiedzcie, co myślicie?

— Co wy zrobicie, ja nie wiem, ale ja tu w Moskwie będę pracował i handlował.

— To żarty! — rzekł Juda Suderow — przecież goimowi nie powierzycie waszego

domu handlowego, a naszemu nie wolno, to co wy zrobicie?

— Juda, czy nie mówiłem, że u was niema praktycznego rozumu? — zaśmiał się — jeśli ja robię interesa w Astrachaniu albo w Irkucku, czy ja tam jadę?... W interesie robią dobrze długie ręce i ja siedząc w jakiem miasteczku, wyciągnę ręce i będę w Moskwie prowadził interes. Czy nie tak?

— Teraz was pojąłem, Mojżeszu Dawidowiczu — odezwał się Ozyasz Kindin — i pójdę za waszą radą.

— Nu, ale gdzie?... ale jak?... Powiedzcie ostatnie słowo — zawołali ci i owi.

— Co miałem powiedzieć — rzekł Mojżesz Fiszkun, wstając z krzesła — już powiedziałem. Innej rady nie mogę dać, każdy ma swój rozum i sam wie, co mu potrzeba... Już idę — skierował się ku futru swemu zawieszonemu na wieszadłach.

— Jeszcze nie!... Zostańcie!... Dajcie nam dobrą radę — odezwały się głosy.

Odwrócił się twarzą ku siedzącym i rzekł z dobrym uśmiechem:

— Czy już nie powiedziałem? Każda studnia się wyczerpie, a cóż dopiero człowiek? Na mnie już czas... teraz przychodzi poczta z Petersburga.

— Odczytacie później, nie wielka strata.

— A na co się zda przelewanie z pustego w próżne — zaśmiał się, nakładając futro.

— Mojżeszu Dawidowiczu! — zawołał Ozyasz Kindin — ja dziś do was przyjdę.

— Dla przyjaciół jestem zawsze w domu — odpowiedział tonem szczerości — czekam was z herbatą... Nu, bądźcie zdrowi i weseli.

— Z czego tu się weselić — westchnął Juda Suderow.

Za przykładem Fiszkuna poszli i inni, a ubierając się w suknie wierzchnie, rozmawiali hałaśliwie, mieszając żargon z mową rosyjską.

Na ulicy rozeszli się, ale Ozyasz, Juda i Abraham skierowali się w tę samą stronę i szli o kilkanaście kroków za Mojżeszem.

Na ulicy Miasnickiej, z powodu święta ruch był znaczny, przeważali kupczyki i robotnicy sklepowi, którzy zdążyli przed wieczorem już podniecić się wódką. Rozmawiali głośno, śmiejąc się, krzycząc, rzucając wokoło dość wątpliwe żarty i koncepta.

Mojżesz Fiszkun ostrożnie wymijał przechodniów i schodził często z trotuaru na błotnistą drogę, byle ominąć wesołe towarzystwo.

W chwili gdy z błotnistej ulicy wszedł na trotuar, jeden z robotników w rozpiętym baranim kożuszku, w czerwonej rubaszce, z nasuniętą na tył głowy czapką, krzyknął:

— A ty gdzie leziesz, świnio żydowska? — i popchnął Mojżesza ku ulicy:

— Czego chcecie? — zawołał Fiszkun, przyspieszając kroku.

— Ach, ty podły żydzie, a ty jak przemawiasz do mnie?... Precz z trotuaru!

— Won z naszej Moskwy! — zawołał inny.

— Do błota z żydem!

Naprzód idący, usłyszawszy te krzyki, a widząc przemykającego się Fiszkuna, poczęli śmiać się i skupiwszy się na trotuarze, zagrodzili mu drogę, wołając ze śmiechem:

— Do błota z nim!... Gdzie on się pcha?... Precz z nim!

Fiszkun szybko poskoczył na środek ulicy, wtem nadjechała pędem perelotka zaprzężona w rysaka.

— Beregiś! — wrzasnął kuczer, a gdy Fiszkun przestraszony zawahał się na sekundę, rysak obrzucił go błotem, a kuczer śmignął batem, klnąc:

— Ty proklatyj! Sukin syn!

Scena ta pobudziła do wielkiej wesołości gawiedź stojącą na trotuarze.

— Nu, dostał za swoje!... Odechce mu się Moskwy!... Uniknął konia przeklęty żyd, takiego i drągiem nie dobijesz!

Ozyasz, Juda i Abraham, widząc naigrawanie się z Mojżesza, pobledli z gniewu i obu-

rzenia, syknęli kilka dosadnych przekleństw i szybko podeszli do policyanta, a Ozyasz przemówił:

— Czy nie wstyd, ażeby na pryncypalnej ulicy tak pomiatano człowiekiem? — wskazał na obłoconego Mojżesza.

— A wam co do tego?... Jaki to człowiek? — zaśmiał się dobrodusznie — to żyd!

— Czy żyd nie człowiek? — oburzył się Juda, stając przed policyantem.

— A, ty przeklęte ścierwo, jak do mnie przemawiasz? — zawołał gniewnie — paszoł won żydzie! inaczej, nauczę ja ciebie szacunku.

Abraham pociągnął Judę za rękaw, bo ujrzał, że Mojżesz zniknął w bocznej ulicy, a publiczność zaczęła na nich zwracać uwagę.

Wszyscy trzej cofnęli się pospiesznie, a policyant wymyślał:

— No, i jaka to bezczelność żydowska!... że naród trochę się rozweselił, i tego mu zazdroszczą!... A, przeklęci!

Mojżesz w czasie tego zajścia na ulicy, najpierw się przeraził, lecz gdy wszedł w boczną uliczkę, drżał z oburzenia i gniewu, miotał przekleństwa hebrajskie i ruskie, ale że to był człowiek praktyczny, wkrótce przyszedł do równowagi i pozostało tylko gwałtowne, bo nienasycone pożądanie zemsty:

— Sza!... — szeptał do siebie uspokajając się — przyjdzie i mój czas...

Wszedł do kamienicy, w której mieszkał, a stróż siedzący przed bramą spojrzał na niego lekceważąco i mruknął półgłosem:

— Utaplał się jak świnia w błocie!

Mojżesz uśmiechnął się gorzko, bo ten sam stróż, przed wydaniem rozporządzenia o wypędzeniu żydów, kłaniał mu się i pozdrawiał uprzejmie.

Na drugiem piętrze zadzwonił do drzwi i wszedł do przedpokoju. Otworzyła mu żona, a zobaczywszy tak zabłoconego, zawołała przestraszona:

— Mojsze, co tobie? Czy ciebie spotkało co złego?

— Co miało mnie spotkać? — rozbierał się z futra — zwykła rzecz w tych czasach, goimy mnie napadli.

— Ajej!... Aj! Czy pobili ciebie?

— A zaraz pobili!? — uśmiechnął się spokojnie — potrącili w błoto i tyle.

Bodaj oni wyzdychali wszyscy, bodaj poślepli i pogłuchli... chodź na herbatę... czy bardzo się zląkłeś?

— Czegóż miałem się bać?... To pijane bydło, a bydłu mądry ustępuje.

— Ty zawsze mądrze mówisz... ale jak ty

wyjdziesz, to mnie zaraz ściska się serce z niepokoju.

— I na co to? Poco?... Czy ty ich nie znasz? — mówił, wchodząc do pokoju — krzyczą, śmieją się, ale nie przeszkadzają w robieniu interesów i gdyby nie to prawitielstwo — westchnął żałośnie — a gdzie Aleksiej? — spytał o najstarszego syna.

— Aleksiej w biurze... przyszła poczta.

— Pójdę zobaczyć...

— Może się obmyjesz, bo masz błoto na twarzy — radziła żona.

— Poco myć? ja wytrę — podszedł do lustra i wykruszał zaschnięte błoto — a gdzie Sasza i Sonia?

— Sasza uczy się i Sonia także... może tobie herbaty?

— Na co? już piłem... wieczorem będzie tu Ozyasz Izakowicz.

— Niech będzie, co mi to szkodzi? — powiedziała obojętnie, lecz mimowoli rzuciła okiem na znoszony, brudnawy szlafroczek i poplamiony fartuch — a kiedy on przyjdzie?

— Pewno o siódmej, albož wiem?

— Czy sam?

— Co tobie po tem? szklanka herbaty zawsze się znajdzie.

— I ja tak myślę.

— Czy był Szymon? — spytał szybko, trzy-

mając rękę na klamce u drzwi do dalszych pokojów — a może telefonował?

— Alboż ja wiem? — wzruszyła krągłemi, tłustemi ramionami — musiałam dopilnować gęsi... może Aleksiej wie.

W tej chwili otwarły się drzwi, przy których stał Mojżesz i wszedł młody, szczupły, nizki brunet, z rysami semickiemi, z krótką, kręcącą się brodą i trzymając arkusz listowy w ręku, przemówił po rosyjsku, czystym akcentem moskiewskim:

— Jest do was, ojcze, list z Warszawy, którego dobrze nie rozumiem.

— Dawaj go, Aleksiej... ja wiem, czekałem na niego... Daj mi kopertę tego listu.

Wziął papier do ręki, zbliżył się do wiszącej lampy i czytał. Od czasu do czasu uśmiechał się i cmokał z zadowolenia.

Właśnie kończył, gdy wszedł Aleksiej i podał mu żądaną kopertę. Ojciec przeczytał adres i chmurząc się rzekł:

— Dlaczego otworzyłeś list? Czy nie widziałeś adresu?

— Co nie miałem widzieć? — uśmiechnął się drwiąco — wyraźnie stoi M. D. Fiszkun et comp., adres naszego domu handlowego.

— No, a przypisek: „prywatny"? to co znaczy? — zawołał stary.

— Czego ojciec krzyczy?... Notatka „pry-

watny“ znaczy w kupiectwie, że to informacye dla właściciela, a czy ja nie spólnik?

— A jej, spólnik? Widzisz go? — zaśmiał się — ile włożyłeś kapitału w ten interes?

— Poco ojciec rusza drażliwe sprawy? — mówił gniewny — niech ojciec policzy, kto z nas rozwinął interes? Kto wciągnął Irkuck, Astrachań, Władywostok? Kto żyje z kupcami? Ja, czy ojciec?

— Ja wiem kto się z nimi wdaje — odrzekł zgryźliwie — bo mnie to dużo kosztuje... a takich kupców, jakich nastręczyłeś, ja mam kilka dziesiątków, czy nie tak?

— Ojca kupcy, to kramikarze — zaśmiał się Aleksiej — ale zostawmy tę sprawę... co to za list?

— List?... Przecież czytałeś — uśmiechnął się — a jeśli nie rozumiesz, to nie moja wina — schował list starannie — czy jest co więcej z poczty?

— Kilka zamówień drobnych — odpowiedział kwaśno.

— Każde zamówienie jest dobre — rzekł głosem poważnym i poszedł do dalszego pokoju.

Matka, która w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie, powiedziała po wyjściu męża:

— Aleksiej, dlaczego ty kłócisz się z ojcem? Czy to się godzi?

— Jak ja mam być spokojny? — mówił gniewnie — gdy widzę, że przez kramarstwo ojca majątek wysuwa się nam z ręki — usiadł za stołem i oparł się łokciami — ojciec, zamiast rozwijać interes, zacieśnia go i czy ja mam milczeć?

— Nu, ja się na tem nie znam — powiedziała łagodnym głosem — ale ojciec pewno ma racyę, kiedy zwolna zwija interes... alboż ty nie wiesz, że musimy wyjechać z Moskwy?

— Wyjechać? — roześmiał się ironicznie — rozkaz jest dla biednych i skąpych, ale kto nie pożałuje pieniędzy, ten zostanie tu i zrobi krocie... miliony! — ostatnie słowo powiedział ze szczególnym naciskiem.

— Ja wiem, Aleksiej, że ojciec nie pożałuje łapówki... a jak ty mówisz, że można zostać, to zostaniemy.

— No, no, zobaczy mama, że wyjedziemy... ja znam ojca.

— Co ty wiesz?... On bardzo chce zostać, przecież Sasza ma zdawać egzamin... Sonia uczy się na pensyi... Czy ty myślisz, że to nie jest ciężko widzieć zmarnowane lata nauki dzieci? A policz, ile to kosztuje? Już dla tych dwojga ojciec chciałby zostać.

— Co to jest? — zaśmiał się ironicznie — czy matka mówi do obcego? czy co?... My

wiemy, że Sasza potrzebuje tylko książek i swoje kółko... nu, a Sonia, to dziewczyna, czy ona mądra czy głupia, ażeby tylko posag, to mąż się znajdzie, czy tu, czy gdzieindziej... i po wszystkiem.

— Wiesz Aleksy, co?

— Nu...

— Ja ciebie nie przegadam... ale to ci mówię, że ty niedobry syn dla ojca. Czy ty nie wiesz, że jego tu wszyscy słuchają? że co on powie, to święte? że on ma największe znaczenie i jego słowo każde, to złoto?

— Ja to wiem, on drugim dobrze radzi, ale sobie to źle, on mógłby mieć dwa razy tyle pieniędzy!

— A dlaczego nie ma? — spytała matka po chwili, patrząc z podziwem i miłością na syna.

— Dlaczego? — uśmiechnął się wzgardliwie — bo on się boi ryzyka.

W przedpokoju zabrzmiał dzwonek.

Matka zerwała się z krzesła i rzekła z pospiechem:

— Idź, otwórz Aleksy... to pewno Ozyasz Izakowicz... ja narzucę inną suknię.

— Poco? On i tak nie spojrzy — odpowiedział idąc do przedpokoju.

— To fartuch zrzucę — mówiła, chroniąc się do sypialni.

Za chwilę weszli Ozyasz Kindin i Juda Suderow. Zasiedli za stołem, a Ozyasz spytał:

— Czy ojciec w domu?

— Gdzie miałby być? On zaraz przyjdzie... a wy do niego z interesem?

— Może... my mamy pogadać i ja go uprzedziłem, że przyjdę... Powiedzcie mu, Aleksy Mojżeszowiczu, że ja tu jestem... dobrze?

— Dlaczego nie?... Ja mogę to zrobić.

Mojżesz po przywitaniu przybyłych zwrócił się do syna:

— Każ dać herbatę — a do gości: — nu, co wy mi powiecie?

— Przyszliśmy naradzić się.

— To dobrze, a w jakim interesie?

— W jakim? — rzekł niecierpliwszy Juda Suderow — czy mamy odstąpić nasz interes, czy wydzierżawić, czy poprostu przenieść?

Rozpoczęła się ożywiona rozmowa, z cytatami cyfr obrotu, zysków, przypuszczalnych strat.

Fiszkun brał żywy udział w obliczeniach i nie skąpił rad. Na pewien czas przerwali mężczyźni tę rozmowę, gdyż do pokoju weszła gospodyni z córką Sonią, smukłą, szczupłą brunetką. Na widok gości blada twarz dziewczyny zarumieniła się lekko i dopiero usiadłszy przy stole, podniosła swe ciemne, spokojne oczy i spojrzała na przybyłych.

Przyszedł też i Sasza, jasny szatyn, z twarzą poważną, skupioną w sobie, ładny, mizerny chłopak lat ośmnastu.

— Co ty Sasza robił? — spytał ojciec łagodnie, z dobrym uśmiechem.

— Czytałem.

— A ty Sonia, przygotowałaś lekcye na jutro?

— Już dawno... a teraz słuchałam Saszy.

Te odpowiedzi głaskały próżność ojcowską, bo nie każdy mógł się pochwalić tak mądremi dziećmi i spytał córki:

— A co tobie Sasza czytał?

— O rewolucyi.

Ojciec spochmurniał i rzekł z naganą do syna:

— Sasza, ja ciebie tyle razy prosiłem, ażebyś dał spokój takim niebezpiecznym rzeczom, a ty nawet Sonię wciągasz w takie brzydkie sprawy.

— Ależ papo — uśmiechnął się przyjemnie Sasza — Sonia źle się wyraziła... Czytaliśmy historyę rewolucyi francuskiej, a działa się ona temu przeszło sto lat...

— Tak? — rzekł ojciec z twarzą rozjaśnioną — to dobrze, ja sam lubię takie stare historye.

Juda Suderow, który uchodził za człowieka oczytanego i w razie potrzeby umiał napisać

nietylko jaskrawe ogłoszenia do gazet, ale i sprostowania, odezwał się poważnie:

— To nie jest taka stara historya, ta rewolucya... co znaczy sto lat... prawie nic... czy nie tak, Sasza Mojżeszowiczu?

— Prawdę mówicie, panie Suderow — skinął głową Sasza — ta rewolucya nie starzeje się, ona jest i dziś potrzebna, bo i gdzie są jej hasła wielkie?

— Co wy macie na myśli, Sasza? — spytał Juda, wpatrując się w młodego.

— Ona głosiła wolność, równość i braterstwo ludów — mówił lekko rumieniąc się, z błyszczącemi oczyma — a co się z tem stało? Co my widzimy dzisiaj?

— U a r e i l i m ó w tak zawsze! — zaśmiał się drwiąco Aleksy — oni tylko umieją krzyczeć, hałasować, a jak do roboty, to ich niema.

— Prawda — skinął głową Ozyasz — oni zawistni, plugawi i kłótliwi.

— To czego oni chcieli i chcą — rzekł Juda Suderow — my praktykujemy od wiek wieków. Myśmy bracia wszyscy, czy tu, czy w Ameryce, i wobec naszych praw my równi. Niech oni się kłócą, zabijają, mordują między sobą, a my skorzystamy.

Sonia podniosła głowę, spojrzała na mówiącego, widocznie chciała coś powiedzieć,

lecz wstrzymała się. Spostrzegł to ojciec i zachęcił:

— Soniu, dlaczego nie masz powiedzieć?

Dziewczyna zarumieniona milczała.

— Nu, Sonia, kiedy ojciec każe, dlaczego nie masz mówić? — odezwała się matka.

— Ja? Ja — zaczęła z wahaniem — ja myślę, że rewolucya chciała czego innego, aniżeli to, o czem mówił pan Suderow... ale ja nie wiem dobrze...

— To poco mówisz? — zaśmiał się brat Aleksy — ty słuchaj co starsi mówią, tak powinno być.

Sasza gotował się stanąć w obronie siostry, gdy zadzwoniono i za chwilę zjawił się w pokoju rudawy, szczupły, z wielkim semickim nosem, człowiek, ubrany w szarawą, sukienną marynarkę i zawołał z progu wesołym głosem po rosyjsku:

— Zdrastwujtie!

Przywitano go serdecznie, a zwłaszcza sam gospodarz, który usadowił go koło siebie, a do żony odchodzącej wraz z córką, rzekł:

— Malciu, herbaty dla kochanego Szymona i jakąś przekąskę, on z drogi... on zje coś dobrego.

— Ach, jak to przyjemnie — mówił Szymon Markun z rozkosznym uśmiechem — zna-

leźć się między swymi — wycierał zapotniałe binokle.

— Alboż tam nie znalazłeś naszych? — zaśmiał się gospodarz.

— Oni tam są, ale biedni, rozproszeni, obcy, chociaż tam dużo Izraela.

— Nu, a gdzie ty byłeś? — spytał Ozyasz.

— Byłem w Warszawie, w Łodzi, w Częstochowie... o innych miastach także wiem.

— I tam jest jaki interes? — zawołał Juda zaciekawiony.

Markun zamiast słownej odpowiedzi cmoknął kilka razy, wreszcie rzekł:

— Tam jest wielki interes... i nie jeden... znajdzie się ich dużo.

— Nu, jakie?... powiedz — przysunął się bliżej Ozyasz.

— Jaki chcesz, to sobie znajdziesz... manufaktury, żelazo, zegary, galanterye, modniarstwo, skóry i różne rzeczy.

— Tc... tc... — cmoknął Ozyasz — i to wszystko do wzięcia? To nie może być, tam dużo naszych mieszka, oni robią interesa, ja to wiem.

— Oni? — uśmiechnął się Markun drwiąco — jedni, co bogatsi, spolszczeli i nie widzą tylko Berlin, ledwie wąchają Rosyę, a reszta, biedni faktorzy na łasce bogatszych i areili-

mów... oni także siedzą po miasteczkach, osadach i żyją z dnia na dzień.

— Aj jej, co to za życie! — westchnął Ozyasz ze smutkiem.

— Nu, co u was nowego? Co było w gazetach, to ja wiem... ale ja chcę od was prawdy — spojrzał Markun po obecnych uważnie.

— Co ma być? — odezwał się Juda Suderow — nieszczęście... ani sposób tu dłużej siedzieć... pędzą nas.

— Czy wszystkich? — spytał.

— Prawie że tak — westchnął Fiszkun — ta mała ilość co zostaje, to nie ma głowy do interesów... przydadzą się może na posłańców, na wywiadywanie się, ale na tem koniec.

— Mojżeszu Dawidowiczu, a próbowałeś z tem? — palce Markuna zrobiły ruch liczenia pieniędzy.

— Od tego zacząłem — westchnął — i ledwie dwa tygodnie utargowałem.

— I ja chodziłem, dawałem — mówił Ozyasz — wszędzie byłem i nic — rozłożył ręce obie na znak próżnych zabiegów.

— Jak to może być? — gorszył się Markun — nie powiedzie się z jednym, z drugim, ale trzeci weźmie i zrobi.

— Na nich padł wielki strach — objaśniał Fiszkun — musi być źle, kiedy nic oni nie biorą.

— A co oni mówią?

— Co mają mówić? — powiedział z goryczą Juda Suderow — nie lża i kończone dieło... a jak grożą, krzyczą, wymyślają!?

— Nu, bo zły, że nie może brać — dodał Ozyasz z uśmiechem wyrozumiałym.

Aleksy w czasie tej rozmowy patrzał drwiąco i bębnił palcami niecierpliwie po stole.

Zauważył to Markun, a ceniąc spryt i bezwzględność jego, zwrócił się ku niemu z zapytaniem:

— A wy, Aleksy Mojżeszowicz, co wy na to wszystko?

— Jak mnie starsi nie pytają, to ja muszę milczeć... czy nie tak?

Wtem służąca wniosła ciastka na talerzu, trochę bakalii na drugim, a przed Markunem postawiła kawałek gęsiny, mówiąc:

— Gospodyni wam przysyła.

— Ty Szymonie jedz — zachęcał Fiszkun — my już po kolacyi, a ty z drogi.

Markun połykając głośno ślinę, zwilżał językiem grube, mięsiste wargi i począł jeść ze smakiem, ogryzając i wysysając kości, oblizywał zatłuszczone palce i rozmawiał w dalszym ciągu. Najpierw zwrócił się do Aleksego z uśmiechem:

— Nu, Aleksy Mojżeszowiczu, ty nie po-

trzebujesz milczeć, kiedy ja ciebie pytam... Co ty mi powiesz?

— Wy wiecie, Szymonie Saulowiczu, że ja się wychowałem tu, między gojami... ja ich znam. Taki prystaw czy sekretarz, on na razie grozi katorgą, aresztem, i ani gadać nie chce. Drugi raz on już tylko klnie i wymyśla, ale trzeci raz on już słucha, myśli, a jak mu się poda sposób obejścia prawa, on kontent, on weźmie... i zrobi swoje.

— To taki głupi naród — uśmiechnął się drwiąco — że kiedy nasz zrozumie położenie w pięć minut, on potrzebuje pięć dni...

— I to tylko wówczas — zaśmiał się Markun — jak mu nasz poda gotowy sposób... Aleksy Mojżeszowiczu, wy sprytny człowiek i wy macie racyę.

— Tak było dawniej — westchnął Ozyasz — prawo ruskie było jak blacha rozpalona, ani tknij, bo sparzy... a potem mogłeś siadać i dobrze było. Teraz inaczej... sam Sergiej, wydał prykaz.

— Byli tacy z naszych, co przeszli na buddaizm — mówił Juda Suderow — ja im to nie chwalę, ale oni muszą żyć... nu, i co powiecie? Oni i na to się nie zgodzili, tylko wypędzają.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się Aleksy:

— Ojcze, ile razy byliście u naszego prystawa?

— Już dwa razy... Co ci po tem?

— Co?... Ja chciałbym z ojcem pójść trzeci raz do niego... on się namyśli.

— Niech i tak będzie... nauka ci nie zaszkodzi — i zwracając się do Markuna: — ty, Szymonie, powiedz nam coś o Warszawie.

— Nu, Warszawa?... To ładne miasto i ono będzie nasze. Wielki handel to my, mały interes to my, trochę sklepów i interesów w rękach goimów, ale konkurencyi z nami nie wytrzymają.

— A fabryki?

— To niemieckie — zaśmiał się — a mam za wiele palców, ażeby policzyć polskie fabryki.

— Dobrze — skinął głową gospodarz — a teraz powiedz, co oni robią.

— Jacy oni?

— Nu, Polacy.

— Oni ledwie dyszą. Prawitielstwo nie chce ich znać, do urzędów nie dopuszcza żadnego: Ruskim wszystko wolno, a chce czegoś Polak, to musi wysłuchać rugania, gniewu i dobrze zapłacić... im nawet myśleć nie wolno — zaśmiał się ze swego konceptu — z nimi niema się co liczyć.

Sasza słuchał z wielkiem zajęciem tej roz-

mowy, a gdy Markun skończył, rzekł półgłosem wśród chwilowej ciszy:

— To biedny naród!

— Co!? — zawołał Markun drwiąco — on biedny?! Daj nam Boże te bogactwa, co on ma... ziemia jego, lasy, gospodarstwo, ryby, młyny, domy, kamienice, to wszystko jego... ale on głupi, nieporadny, ciągle traci... i to jest nasz kraj.

— Tak się mówi — uśmiechnął się Sasza — ja to samo słyszałem od was o Moskwie... no, i nas wypędzają bez litości.

— Co innego tu — odezwał się ojciec — Rosya silna, ona ma wojsko, władzę, rząd, my musimy słuchać... a co to Polaki? — zaśmiał się — to nic, to gorzej mużyka... U nas w Wilnie wszędzie było napisane: „nie lźa gawarit po polski", a kiedy ja wchodziłem sobie do kancelaryi policmajstra, nawet generała, to Polakowi nie wolno było stać w sieniach. Czy teraz rozumiesz, co to Polak? — śmiał się głośno.

— To nie naród, to niewolniki! zadrwił Aleksy.

— Ja wam to dodam — zawołał Markun — oni tak się boją rewirowego i policyanta każdego, jak my w Moskwie samego oberpolicmajstra.

— To dziwne — mówił zamyślony Ozy-

asz — dlaczego oni nie płacą? Pieniędzmi można dużo zrobić z Ruskimi.

— Oni płacą — zaśmiał się Markun — a Ruscy biorą i wszystko zostaje po dawnemu... to taki potulny, grzeczny naród. Czy nie tak?

— Dlaczego oni jednak tacy? — dziwił się Sasza.

— Nu, a dlaczego jeden pastuch pędzi całą trzodę wołów, z których każdy jest silniejszy od niego? — śmiał się Markun — bo pastuch mądry i ma bat. Czy rozumiesz Sasza?

— Co wy rozprawiacie z takim młokosem? — uśmiechnął się Aleksy — on jeszcze z książek nie wyjrzał na świat... Wy, Szymonie Saulowiczu, powiedzcie mi, czy tam w prywiślańskich guberniach niema ruskich kupców?

— Dlaczego nie? — Oni handlują herbatą, kawiorem i delikatesami, ale jak oni mają całą Rosyę otworem, co im po tych guberniach... i jakby nam można tu zostać, to także nie ruszyłby się żaden.

— Ale rzecz w tem — przemówił Juda Suderow — że musimy iść... nu, a wy gdzie pojedziecie, Mojżeszu Dawidowiczu?

— Ja? — rzekł zwolna gospodarz — po tem co nam powiedział Markun i co mi doniesiono listownie... ja idę do Warszawy.

Po tych słowach nastąpiło milczenie. Obecni spojrzeli znacząco po sobie, patrzyli na

Mojżesza, poruszali głowami z powątpiewaniem, wydając ciche, cmoktające odgłosy, wreszcie odezwał się Juda Suderow ciszej niż zwykle:

— Ja się namyślę... może i ja wyjadę do Warszawy... zobaczę.

Po dobrej chwili rzekł Ozyasz Kindin z leciutkiem zakłopotaniem:

— Ja wam coś powiem... jak przyszło rozporządzenie wypędzenia nas, to myśmy wysłali Pinkusa Windmehla do Pińska... do rabina naszego.

— I co powiedział reb Dawid Friedman? — spytał pospiesznie Markun.

— Czy ja wiem?... Pinkus jeszcze nie wrócił, to ja zaczekam, co powie ten mędrzec pański... on dużo wie... on zna wszystko...

— A kiedy Pinkus przyjedzie? — spytał Mojżesz po rozmyśle.

— Nie wiem... my go czekamy od kilku dni... może już jest... może jutro... Do reb Dawida dostać się trudno, on czekać musi póki nie zawoła go do siebie reb Dawid.

— Ozyaszu Izakowiczu, a dlaczego ja nie wiedziałem o tem? — rzekł gospodarz tonem wyrzutu.

— Was nie było w Moskwie, to poco mówić, kiedy się już stało.

— A czy ja będę wiedział słowa reb Dawida?

— Dlaczego nie? To nie żadna tajemnica.

— Nu, dobrze, — ziewnął głośno gospodarz.

Goście zabierali się do wyjścia, a gdy za ostatnim zamknęły się drzwi, przemówił Aleksy:

— Ojcze, jutro jednak pójdziemy do policyi.

— Jutro?... Co ci tak spieszno?

— Alboż nie kazano nam wyjechać? Tu niema czasu do namysłów.

— Nu, niech i tak będzie, bo co mam robić z tobą?

## II.

Na drugi dzień Fiszkun i Aleksy udali się do biura jednego z naczelników wydziału osiedlenia niestałych mieszkańców Moskwy.

W drodze Aleksy spytał:

— Czy ojciec zna to biuro?

— Dlaczego nie? Mówiłem ci już, że byłem dwa razy.

— No i ja znam... i czy mogę ojcu coś powiedzieć?

— Poco pytać? Ty mów.

— Ja myślę, że odźwiernemu trzeba dać pół rubla, ażeby nas prędzej wpuścił do biura.

— I ja to wiem... co dalej?

— A sekretarzowi pięć rubli, on dobrze usposobi naczelnika... a może obiecać mu drugie pięć rubli, jeśli sprawa się uda. Co?

— Szkoda pieniędzy, bo i co taki sekretarz za to zrobi?

— On dopilnuje papierów i dziś nam do-

ręczą pozwolenie przemieszkiwania. Czy to nie warte pięciu rubli?

— Może... ja tylko wiem, że drugich pięciu rubli nie dam, póki nie usłyszę dobrego słowa od naczelnika.

— Ojciec zawsze skąpy i na tem traci, ale to zły interes, a może ojciec pożałuje i tych sto rubli naczelnikowi? — uśmiechnął się drwiąco.

— Dlaczego mam żałować? — wzruszył ramionami Fiszkun, — jak on weźmie, to zrobi swoje.

Przez brudne, zabłocone schody weszli do mrocznej poczekalni, w której unosił się zapach dziegciu, wilgoci, złego tytoniu. Znajdowało się tu kilkunastu ludzi. Niektórzy trzymali w ręku karty wezwania do urzędu i ci czekali apatycznie na swą kolej. Inni kręcili się niespokojnie, porozumiewając się od czasu do czasu szeptem ze sobą i spoglądając z pewną obawą na drzwi biurowe, przy których stał policyant.

Fiszkun z synem podszedł do stojącego na straży i przywitawszy go bardzo uprzejmie, spytał:

— Czy pan naczelnik przyjmuje?

— A jaki interes? — zawołał surowo.

— Nu, my z prośbą przyszli, — i równocześnie wsunął mu w rękę pieniądze.

Policyant spojrzał na otrzymany datek, następnie na Fiszkuna i rzekł powątpiewająco:

— Nie wiem, czy będzie miał czas, bo bardzo zajęty.

Aleksy wyjął trochę drobnych i włożył mu do ręki, mówiąc z przymileniem:

— Jak wy zechcecie, to on znajdzie czas... ja to wiem.

Policyant schował pieniądze i spytał tonem poważnym:

— Nu, jaka sprawa?

— My z prośbą do pana naczelnika, dom handlowy Fiszkun, — pospieszył Aleksy — nas zna pan naczelnik i pan sekretarz także.

— Ano... zobaczymy, — i wszedł do biura.

Po chwili wrócił i oznajmił:

— Zaczekajcie... teraz nie można.

Po półgodzinnem oczekiwaniu, na ponowne prośby, dopuszczono ich do pana sekretarza. Łysawy, blondyn z obrzękłą twarzą, spojrzał przelotnie na wchodzących i, nie zważając na ich nizkie ukłony, spytał szorstko:

— Czego znów?

Fiszkun wyjął prośbę z kieszeni i rzekł głosem cichym, proszącym:

— My tu z prośbą...

— Pewno o pozostawienie was, — przerwał surowo — nic z tego... nie wolno.

Fiszkun z ukłonem nizkim zbliżył się i po-

łożywszy na stole papierek pięciorublowy, szepnął:

— My do wielmożnego pana naczelnika.

— Mówię wam, że nic z tego, — zaczął groźnie, zobaczywszy jednak pięć rubli, dodał łagodniej: — rozkaz jest wyraźny, ale chcecie to usłyszeć z ust samego pana naczelnika, niech i tak będzie.

Wstał z krzesła, zręcznie schował pieniądze i poszedł do dalszych pokoi. Czekający słyszeli, jak rozmawiał wesoło w przyległem biurze, jak następnie poszedł dalej.

— Nu, początek dobry, — uśmiechnął się Aleksy.

— Zobaczymy koniec, — westchnął ojciec.

— Dlaczego ma być zły? — zaśmiał się Aleksy, — całe ryzyko pięć i pół rubla, czy to dużo na taki interes?

— Nie wiem... może dużo, a może nie.

Po pewnym czasie wrócił sekretarz i rzekł krótko:

— Czekać, — i nie spojrzawszy na stojących, zaczął przeglądać papiery.

W jaki kwadrans wyszedł z głębi biura jeden z pisarzy i zapaliwszy papierosa, zaczął gawędzić z sekretarzem o wczorajszej zabawie. Aleksemu znudziło się to wyczekiwanie i odchrząknąwszy, rzekł:

— Panie sekretarzu, może już czas?

— Co? — zawołał urzędnik, — kazałem czekać, to stój, a nie, to idźcie do wszystkich dyabłów!

— Nu, my zaczekamy, — powiedział z ukłonem Fiszkun i dał znak synowi, ażeby milczał.

Przez pokój przesuwali się tam i napowrót wezwani, wszyscy skłopotani, niepewni. Sekretarz głosem surowym udzielał wskazówek, przeglądając kartki wzywające:

— Stół pierwszy, na prawo... Drugi pokój, stół pod oknem...

Chwilami opuszczał pokój i znikał w głębi biura, wreszcie skinął na Fiszkunów, ażeby szli za nim.

Przeszli przez dwa pokoje, w których siedzieli urzędnicy, a sekretarz wskazał im dalsze drzwi. Fiszkun pochylony, z miną pokorną, z uśmiechem słodkim, trzymając podanie w ręku, posunął się ku drzwiom cichym krokiem.

Za nim szedł Aleksy, patrząc dosyć śmiało po siedzących urzędnikach, ale chociaż stąpał na palcach, buty ku jego zaniepokojeniu skrzypiały.

Stary zapukał do drzwi delikatnie i czekał. Upłynęło kilka minut, urzędnicy śmiali się, aż jeden z nich zawołał:

— Zapukaj głośniej!

Fiszkun posłuchał i nie czekając odpowiedzi, zwolna otworzył drzwi, wsunął głowę, spojrzał, skłonił się i wpół zgarbiony wśliznął się do pokoju, zostawiając otwarte drzwi dla syna.

Stanęli obaj przy drzwiach, a Fiszkun raz po raz kłaniał się w kierunku siedzącego przy biurku naczelnika. Był to człowiek szczupły, ciemne, rzadkie włosy, lekko szpakowate, miał starannie uczesane, różowawe policzki były matowe po ogoleniu świeżem, a małe wąsiki w górę podkręcone.

Naczelnik nie spojrzał wcale na wchodzących; zajęty czytaniem aktów marszczył od czasu do czasu swe zbyt wysokie czoło.

Po dobrej chwili rzucił okiem od niechcenia w stronę drzwi i zawołał ostro:

— Czego?

— Jaśnie wielmożny panie naczelniku, — zaczął pokornie Fiszkun z ukłonem i wyciągnął rękę ze złożonym arkuszem papieru, — my tu przyszliśmy z bardzo delikatną prośbą najpokorniejszą.

— O co? — powiedział nie podnosząc oczu z papierów.

— To w sprawie pobytu, — objaśnił cicho Fiszkun i w ciągłych ukłonach zbliżył się do biurka, na rogu którego złożył prośbę.

— A macie prawo po temu? — spytał tonem obojętnym.

Stary trochę zakłopotany patrzał na szafkę szklaną, pełną papierów urzędowych, zaś Aleksy odpowiedział tonem sztucznie swobodnym:

— Prawo?... Co to prawo? To laska, można nią i bić i podpierać się.

Naczelnik poprawił złote binokle, spojrzał na mówiącego, który zmieszany skłonił się nizko.

— Ty durniu! — rzekł naczelnik surowo — kiedy pytam, to odpowiadaj... masz prawo? czy nie?

— Jaśnie wielmożny panie naczelniku, — przemówił szybko stary — my przynieśli prośbę, tam stoi wszystko wypisane.

— Co ty mi gadasz o prośbie, — zawołał gniewnie — ty odpowiadaj na pytanie.

Fiszkun stropił się, nie chciał dać stanowczej odpowiedzi, gdyż jeśli powie, że nie ma prawa pobytu stałego, naczelnik odprawi go z niczem, a jeśli skłamie, to naczelnika rozgniewa. Namyślał się, wtem rzekł Aleksy przymilającym się tonem:

— Prawo, to sam jaśnie wielmożny pan naczelnik, — uśmiechnął się — bo i co prawo znaczy?

Dygnitarz ściągnął brwi i zawołał gniewnie:

— A ty jak do mnie przemawiasz? Pad-

lec taki stroi żarty! czy wiesz ty, do kogo ty mówisz?

— Co ja nie mam wiedzieć? — bąknął Aleksy — któżby nie znał jaśnie wielmożnego pana naczelnika?

— A ty włóczęgo podły, jak śmiesz tak odpowiadać!? Jak się nazywasz?

— To mój syn, — pospieszył stary — Aleksy Mojżeszowicz Fiszkun.

— Fiszkun?... Ty żyd... won stąd!

Aleksy poczerwieniał z obawy, że popsuł sprawę i spojrzał na ojca, który przemówił błagająco:

— Niech mu przebaczy jaśnie pan naczelnik... on młody... on głupi...

— A dlaczego mi przyprowadzasz takiego durnia?... W chlewie miejsce dla niego!... Won! za drzwi!... natychmiast! — krzyknął zagniewany.

Stary szybko otworzył drzwi i popchnął syna, następnie przymknął drzwi i oddychając ciężko, rzekł z głębokim ukłonem:

— Już go niema.

— A prachwost... — sapał gniewnie naczelnik, a po chwili zawołał surowym głosem: — czego stoisz?

— Nu, ja z prośbą na pobyt, — patrzał na prośbę.

— Masz prawo po temu?

— Nu, ja proszę o zmiłowanie... to moja ruina, to gorzej choroby ciężkiej, czego niech Bóg broni... ja uczciwy kupiec, mnie wszyscy znają... tam moja prośba.

Naczelnik wziął w rękę złożone na biurku podanie, pomacał je palcami, rzucił gniewnie na inne papiery i zawołał z pasyą:

— To ty, chytry, chcesz obejść prawo!?... Używasz wybiegów, łajdactw? podłości różnych?!... Za karę wyniesiesz się... — nagle umilkł i nacisnął guzik dzwonka elektrycznego.

Za chwilę wbiegł podwładny urzędnik w mundurze i stanął wyprostowany we drzwiach.

— Jak twoje nazwisko? — spytał naczelnik pobladłego kupca.

— Mojżesz Dawidowicz Fiszkun — wybełkotał.

— Przynieś mi pan akta jego — rozkazał urzędnikowi.

Po chwili wniósł podwładny żądane papiery i położył na biurku z głębokim ukłonem.

Naczelnik chmurny, z wielką uwagą wertował papiery. Na jednym arkuszu urzędowym zatrzymał się, odczytał i zawołał drwiąco:

— To ty taki!?

— Co takiego? — spytał pokornie kupiec.

— U mnie wszystko jest w aktach, — mó-

wił surowym głosem — ty miałeś już rozkaz opuszczenia Moskwy przed dwoma laty.

— Nu, tak... ale ja dostałem pozwolenie,— jęknął Fiszkun.

— Wyłudziłeś pozwolenie chytrością... znam ja was, chytrzy żydzi... i podpisałeś sam, że na każde wezwanie opuścisz Moskwę w ciągu jednej doby... oto patrz! — podniósł w górę zapisany arkusz — a teraz ty, głupcze, masz tę bezczelność przychodzić z prośbą o pobyt?!... A poczekajże, nauczę ja ciebie... wyjedziesz z rodziną za... dwanaście godzin!

Fiszkun zbladł. Wszak jutro szabas, jak on wyjedzie, kiedy mu bronią przepisy religijne. Skurczył się jeszcze bardziej, gdyż kolana ugięły się pod nim i prosił płaczącym głosem:

— Zlituj się, jaśnie panie naczelniku, przecież jutro szabas... nam nie wolno jechać.

— To idź pieszo, — zadrwił naczelnik — ale musisz się wynieść... sam podpisałeś zobowiązanie.

— Aj, jaśnie wielmożny naczelniku, to niech już zostanie jak było... ja tylko tej łaski się dopraszam.

— Co?... Co znów nowego? — spytał groźnie.

— Ja mam prawo jeszcze na dwanaście dni.

— Prawo!? — zaśmiał się drwiąco — dam ci ja prawo... wynoś się, i precz z Moskwy!

— To niech już będzie jedenaście dni, — a widząc gniewną minę — niech będzie dziesięć... ja proszę o zmiłowanie.

— Nie!... Nauczę ja ciebie szacunku dla władzy. Sam podpisałeś... a gdybym ja tobie dał taki oblig na pieniądze... ty wydusiłbyś duszę ze mnie.

— Jak pan naczelnik może powiedzieć takie brzydkie słowo? Jabym się nie upomniał... jabym jeszcze dołożył.

Nie chcę nic twego... i poco rozprawiasz jak ten twój syn, wynoś się... zabierz sobie twoją prośbę,—zaczął zwolna jej szukać między papierami, chociaż leżała na wierzchu.

— Co mi po prośbie!? — zawołał Fiszkun niech ona zostanie... tylko ja dopraszam się o łaskę, o litość...

— Hm... żal mi ciebie, aleś sam zawinił... o cóż idzie?

— Niech mi jaśnie wielmożny pan naczelnik pozwoli na dwa tygodnie...

— Nie!... Nie mogę... co najwyżej na dwanaście dni.

— Nu, co mam robić? - westchnął Fiszkun żałośnie — kłaniam się pokornie jaśnie wielmożnemu panu naczelnikowi - skłonił się nizko i wyszedł chwiejnymi krokami.

Zgnębiony, zmartwiony, patrzał w ziemię i wysunął się z kancelaryi. W poczekalni policyant spytał go wesołym, żartobliwym tonem:

— A co, czy pomyślnie skończyła się twoja sprawa?

Fiszkun spojrzał nienawistnie na niego i mruknął:

— Niech wam się tak powiedzie.

— Ach, ty włóczęgo!... Dam ja ci!

Kupiec nie czekał, lecz szybko umknął na schody i słychać było tupot butów jego.

Na ulicy, przekonawszy się, że nikt go nie goni, zwolnił kroku, rozejrzał się, a zoczywszy syna, zawrzał gniewem. Spostrzegł go i syn, a gdy się połączyli, spytał Aleksy:

— Nu, co zrobił ten?...

— Co miał zrobić? — zakrzyczał ojciec — naparłeś się, żeby próbować, to ty mi winien sto pięć rubli pięćdziesiąt kopiejek... ja tobie tego nie daruję... ty musisz mi zwrócić!

— Nu... czego ojciec krzyczy?... Ja słyszę, i co kto jest winien? Dla czego ja mam płacić? — szli dalej razem.

— On się pyta jeszcze!? — mówił już trochę spokojniejszy, widząc zimną krew syna — czy to ja chciałem iść?

— To był interes domu handlowego... a nie ojca, a tembardziej nie mój. To ryzyko domu handlowego, czy nie tak?

Staremu podobał się wprawdzie spryt syna, ale nie mógł tak łatwo przeboleć straty, więc odrzekł:

— Poco te wykręty? One tobie nie pomogą i ja tobie potrącę te pieniądze... ja nie mogę tracić?

— A czy ja mówię co innego? — uśmiechnął się syn — jeśli ojciec nie chce zapisać tego na wydatek handlowy... to ja zapiszę na ojca.

— Jakto? na mój? czy ty zwaryował?

— Ja myślałem, że ojciec zrozumiał interes... bo kto chciał tego?... Nu, ja? czy ojciec?

— Tyś sprytny oszust, — uśmiechnął się stary - ale i ja nie głupi... już ty mi zapłacisz.

— Pogadamy o tem później... nu, ojcze, co on powiedział?

— Co miał mówić? - westchnął — on kazał dać akta moje, znalazł kruczek, ażebym zaraz wyjechał... bodaj go...

— Aj, aj, na co to kląć? — uśmiechnął się syn — jaki dał termin?

— Dwanaście dni.

— Nu, a możeby spróbować jeszcze raz? a może się uda?

— Czy ty myślisz, że firma będzie płaciła za twoje fantazye?

— Nu, my jeszcze pogadamy... gdzie ojciec idzie?

— Ja mam interes na Wozniesieńskiej... a ty co robisz?

I ja muszę zajść do Tulpina... on nam winien.

— To idź... a na minche przyjdziesz?

— Czy ja nie mogę pomodlić się w domu?

— Ty możesz... a ja zajdę do naszego bethamedrisz... muszę się zobaczyć z naszymi.

Przed zachodem słońca zebrało się na minche, popołudniową modlitwę, około dwunastu żydów.

Chazen, głosem pełnym żalu i pokory przepowiadał modlitwę. W obszernym pokoju, przy chwiejnem świetle świec, wznosiły się gorące, namiętne prośby do Jehowy o pomoc i ratunek. W tonie głosów brzmiało chwilami rozpaczliwe wołanie. Właśnie modlono się szeptem, gdy drzwi się otwarły i wszedł szpakowaty żyd, z twarzą pooraną zmarszczkami, z oczkami małemi, głęboko osadzonemi.

Obecni, jakkolwiek usta ich szeptały modlitwę, spojrzeli w stronę przybyłego, i niektórzy aż zająknęli się, bo poznano Pinkusa Windmehla, wysłanego do znakomitego rabina Dawida Friedmana. Co powiedział mądry reb Dawid? Czy dał radę i jaką? A może znalazł sposób usunięcia fatalnego rozkazu?

Te pytania stawały przed każdym i oczy raz po raz patrzyły badawczo na wysłańca. Twarz jednak Pinkusa była spokojna, zagadkowa, nic go nie obchodziły spojrzenia, modlił się żarliwie, kiwał się, szeptał słowa pobożne to ciszej, to głośniej.

Ten jego spokój oddziałał na modlących się i gdy odpowiadali chazenowi, głosy zabrzmiały donośnie i z prośbą żarliwą.

Wreszcie skończono minche. Zewsząd zabrzmiały pytania i wykrzykniki żargonowe:

— Pinkus, to ty?!... Kiedyś przyjechał?... Co ty przywiózł?... Pinkus?... Masz odpowiedź reb Dawida?... Ajej, co tam w Pińsku?

Pinkus kończył modlitwę, wpatrywał się w sznurki widzenia, potem ściśle według przepisu rozbierał się z przyborów modlitewnych, a gdy skończył, zwrócił się do towarzyszy:

— Czy ja mogę każdemu z was odpowiadać jednocześnie?... Nu, ja nie mogę.

— Sza!... sza!... sza!... — zawołano wokoło.

Pinkus śród milczenia przeszedł do stołu, usiadł, a obecni otoczyli go z szacunkiem, jako tego, który przynosi słowa mądrego reb Dawida.

— Czy wy wiecie, kiedy przyjechałem? — zaczął Pinkus — ja prosto z kolei tu zajechałem.

— Może tobie herbaty?

I nie czekając odpowiedzi, jedni poszli szybko po herbatę, inni podsuwali przekąski, bułki, śledzia, zachęcając do picia i jedzenia.

— Jak zdrowie błogosławionego rabi? — spytał Ozyasz, który zasiadł tuż przy wysłańcu.

— Bóg, pomnąc na zasługi jego, użycza mu zdrowia i sił na pociechę dzieci Izraela... I czy może być inaczej? Czy jest kto godniejszy?

— Aj, to prawda!... To sprawiedliwie... Daj mu Boże dożyć sędziwego wieku! — powiedzieli ci i owi.

— Pinkus, czy ty długo był w Pińsku? — odezwał się Fiszkun.

— Czy ty myślisz, że reb Dawid jest na zawołanie? — uśmiechnął się drwiąco — że zaraz każdego przyjmie, kto się do niego zgłosi o radę?

Ja to wiem, poco mi mówisz? Ja pytałem ile dni czekałeś?

— Trzy dni... i po m i n c h e trzeciego dnia kazał rabi mnie zawołać.

— Nu i co? — zawołał któryś niecierpliwszy ze słuchaczy.

— Sza!... Cicho!... — upomnieli go inni i wielkie odstające uszy nachyliły się ku Pinkusowi.

— Czy ty wiesz? — mówił rabi do mnie —

że Adonai sprawiedliwy i wszechmogący, oddał dzieciom Izraela ziemię kananejską? i wszystkich bałwochwalców i wszystkich czcicieli gwiazd? i wszystko ich złoto, srebro, kosztowności ich? Oni wszyscy popadli w niewolę Izraela, i odebrano im ich broń, a oni pracowali dla synów Izraela... czy ty wiesz o tem? — i rabi umilkł.

— Ja ledwie śmiałem oddychać, — mówił dalej Pinkus wśród ogromnej ciszy słuchających — ja każde jego słowo łowiłem i wbijałem sobie w głowę.. Jak on, sam rabi, mnie zapytał, to ja tylko westchnąłem i pochyliłem się, a rabi po jakimś czasie zaczął:

A wiesz dlaczego to się stało? Stało się dlatego, że Izrael czcił zakon pański i przestrzegał pilnie praw jego, a dzieci Izraela we wszystkiem a wszystkiem szli zgodnie, jak jeden wielki mąż. Czy ty mnie rozumiesz?

Pinkus odetchnął i spojrzał po słuchaczach, których twarze wyrażały podziw, a grube, mięsiste wargi składały się do wydania głosów zachwytu.

— Ja rozumiem, — odpowiedziałem szeptem — bo i co miałem mówić? — westchnął Pinkus.

— Nu!... Nu?... I co? - zamruczeli inni, pełni zaciekawienia.

— Ty mnie nie rozumiesz! rzekł rabi

i inni nie rozumieją, bo niebyliby ciebie posłali do mnie z tem pytaniem.

— Aj, aj!... Nu?!... Co to jest? — zawołali zdziwieni.

— Nu, i ja nie wiedziałem, czego rabi chce, a on zawołał głosem wielkim: dlaczego wy macie strach w sercu? dlaczego wy wątpicie w słowa Boga naszego? czy wy nie wiecie, co Adonai objawił w talmudzie?... Wszystkie narody ziemi, wszyscy nuchry, akimy i areilimy będą niewolnikami Izraela, a trzysta trzydzieści i siedem oślic ledwo udźwignie klucze od bogactw naszych.. i to się spełni, jeśli dzieci Izraela we wszystkiem będą razem robili i szli jak jeden, wielki mąż!

Pinkus z rozjaśnioną twarzą, z błyszczącemi oczyma powiedział te słowa, a słuchacze jego pełni zachwytu i wiary poczęli cmokać, kręcić głowami i wołać na różne tony:

— Aj, jaki on mądry!... Niech się spełnią jego słowa!... On nasza pociecha i pomoc!... On zna zamysły Boga!

— Sza! — zawołał Pinkus — czy myślicie, że ja skończyłem?

Nagle umilkli wszyscy, a wysłaniec do sławnego rabina mówił:

— Jak usłyszałem te słowa, serce moje we mnie zatrzęsło się z radości i czekałem co

będzie dalej, bo i ja, i wszyscy co tam byli, czuli, że rabi prorokuje, że sam Adonai przez niego mówi, a rabi rzekł do mnie: idź i powtórz im moje słowa.

— Nu?... Czy już? — spytano.

— Zaraz!... Jak ja usłyszałem te wielkie słowa, pomyślałem sobie: a co będzie z naszem wypędzeniem, co mamy robić?... I powiedziałem bardzo pokornie: rabi, wypędzają nas.

— Jaki ty Pinkus odważny! — powiedział jeden ze słuchaczy.

— Co ja miałem robić? Czy nie wysłaliście mnie?... Rabi usłyszawszy moje słowa, rzekł:

— Ja to wiem... Pan Bóg chwilowo nas karze i doświadcza, on chce widzieć, czy my godni jego łaski, czy pilnujemy zakonu, czy idziemy razem, zgodni jak bracia? A jak on to zobaczy, to odda bałwochwalców, ich majątki, ich złoto i srebro w moc naszą. Goimom zostawcie ich strzelby, piki, szable, Izrael i tak zwycięży, bo Pan jest z nami a On wie, co robi... Idź teraz w pokoju i zanieś im słowa moje.

Pinkus gładził zabrudzoną ręką swą brodę i patrzał tryumfująco po zebranych.

Ci wybuchnęli okrzykami radości, podziwu, zachwytu... Klaskali w ręce, śmiali się, cmo-

kali, a gdy się uciszyli trochę, rzekł Ozyasz Izakowicz Kindin:

— Słowa rabi są jasne... my znieśmy spokojnie to wypędzenie, bo to Pan Bóg nas doświadcza.

— Cicho! — zawołał sąsiad Ozyasza do innych — teraz czas naradzić się, mów dalej Ozyasz.

— Co mam mówić?... Rabi wyraźnie powiedział, że nam trzeba się razem trzymać, jak jeden wielki mąż... czy to nie jest jasne?

— Nu, dobrze... to rozumie każdy — rzekł Juda Suderow — ale co mamy robić? co począć?

— Co ty tak mówisz, Juda? — zawołał Szymon Spitzmann — czy nie rozumiesz, że my razem mamy iść, pomagać sobie, to my zwyciężymy a r e i l i m ó w.

— Ja to wiem... ale gdzie iść?

— Sza! — zawołał nagle Szymon Markun— ja sobie tak myślę... jeśli rabi powiedział razem, nu, to razem... a gdzie naszych najwięcej? nu, gdzie?... — a gdy inni milczeli, mówił dalej: — naszych najwięcej nie siedzi na Litwie, ani tu... ale w prywiślańskich guberniach... czy rozumiecie?

— Ja wiem, Juda, — odezwał się stary Gartenmilch, głaszcząc siwą brodę — ty tam teraz byłeś, to ciebie tam ciągnie.

— A was, Abraham, gdzie? — zaśmiał się jeden z obecnych.

— Co tobie do tego?... Niech z was każdy wie tak dobrze, jak ja, to i radzić nie trzeba... ale wy mnie słuchajcie starego.

— Abraham, — zawołał Fiszkun — ja wiem, że wy na Syon... nu, i ja może tam pojadę, jak będę stary... ale teraz trzeba nam zarobku i ja jadę do Warszawy.

— I ja! — dodał Markun, a za nim powtórzyli Ozyasz, Juda, Szymon, Pinkus i inni.

— A co wy chcieli, Abraham, powiedzieć? — spytał Ozyasz.

— Co?... Nu, ja sobie tak myślę, że w prywiślańskim kraju jest dużo naszych i tam im nie jest źle... ale jak my z całej Rosyi przyjedziemy, to co będzie?

— Co ma być? — zaśmiał się Juda — nam wszystkim będzie lepiej, bo nas będzie cała wielka kupa i my zabierzemy goimom cały ich zarobek, wszystko złoto i srebro.

— A soj!... A soj!... — kiwali inni głowami uśmiechając się.

— Nu, ja wam tego życzę i pewno tak się stanie, jak rabi mówi... ale wy gwałtem tego nie możecie zrobić, bo gdzie macie wojsko? piki? strzelby?

— Aj Abraham, — zaśmiał się Juda Suderow — poco nam karabiny, armaty, piki?...

Jak w naszych rękach będą pieniądze, to oni muszą nam służyć.

— Daj wam to Panie Boże... niech On was błogosławi... ale ja sobie myślę, że nam w Moskwie dobrze, bo to bardzo wielkie miasto, jeszcze większy handel, a nas jest niewiele.

— Abraham!... Abraham, a od czego my mamy głowy? — uśmiechnął się Mojżesz Fiszkun — my zrobimy taki handel w Warszawie, że pieniądze z całej Rosyi do nas przyjdą.

— Nu, już czas iść, — wstał Pinkus z krzesła — niezadługo szabas się zacznie.

Ruszyli się wszyscy, a razem z Mojżeszem Fiszkunem wyszedł i Markun.

Dotychczas w b e t h a m e d r i s z rozmawiali w żargonie, ale skoro znaleźli się na ulicy, wszyscy poczęli mówić po rosyjsku, w obawie przed wydziwianiem i wymyślaniem przechodniów.

— Mojżeszu Dawidowiczu, a byliście wy u naczelnika? — spytał Markun.

— Dlaczego nie miałem pójść, kiedy obiecałem Aleksemu?

— Nu?

— Chciał mnie na szabas wypędzić z domu... to ja mu dałem.

— Aj, figlarz!

— Co figlarz? — oburzył się Fiszkun. —

O, to mało! i zaczął przeklinać po rusku i żydowsku.

— A kiedy, Mojżeszu Dawidowiczu, myślicie jechać?

— Kiedy?... czy nie wiecie, że mi termin wyznaczono?

— To prawda, — westchnął Markun — nu, pojedziemy razem — a że podeszli do mieszkania Fiszkuna, podał Markun rękę na pożegnanie, mówiąc:

— Dobry szabas!

— Dobry szabas! — odpowiedział Mojżesz wchodząc w bramę.

W kilka dni później rozniosła się wieść o madrych, proroczych słowach reb Dawida z Pińska, nietylko wśród żydów w Moskwie, ale i po innych miastach cesarstwa.

Wraz z tą wieścią przyszła wiadomość, że bogatsi kupcy postanowili jechać do Warszawy i padło hasło wyjazdu do Polski.

## III.

Litwaki, bo tak ich nazwali żydzi miejscowi, przyjechali i rozsypali się po całem Królestwie, a przeważnie osiedlili się w Warszawie.

Mojżesz Dawidowicz Fiszkun wysłał przodem swego zaufanego inkasenta, Dawida Fromowicza, i on wynajął mu mieszkanie z czterech pokoi przy ulicy Twardej.

Wraz z Fiszkunem przybyli nietylko znajomi i przyjaciele ze wspólnego b e t h a m e d r i s z u, ale i inni znajomi kupcy i pośrednicy z Moskwy i miast cesarstwa.

Fiszkun, pozostawiwszy żonie troskę o urządzenie mieszkania, sam po całych dniach chodził, a również i Aleksy, po dzielnicach handlowych Warszawy, przypatrując się składom, sklepom, rozpytując o interesa, o handel, o przemysł miejscowy.

W tych swoich wędrówkach badawczych i podpatrujących spotykał na drodze dawnych

swych znajomych z Moskwy. Na razie witali się obustronnie bardzo uprzejmie, nawet serdecznie i zawsze padało pytanie:

— Nu, co u was słychać nowego?

— Co ma być? — brzmiała odpowiedź — szukam interesu, może Bóg da, że coś się znajdzie... a wy, Fiszkun?

— I ja tak samo — i pozdrowiwszy się nieodmiennem: — dobry dzień! — rozchodzili się.

Lecz gdy minął drugi, a zaczął się trzeci tydzień, gorączka niepokoju i trwogi zaczęła owładać przybyszami.

Co lepsze, co łatwiejsze interesa i pośrednictwa zajęli już dawno miejscowi żydzi, a przecież trzeba żyć i pieniądze nie mogą leżeć bezczynnie.

Jeszcze bogatszym pół biedy, przynajmniej nie troszczyli się o najbliższe jutro, ale biedniejsi, którym wyczerpywały się zapasy, tracili cierpliwość i szemrali głośno.

Naturalnie Fiszkun i jego znajomi zaraz po przybyciu szukali stosownego dla siebie domu modlitwy i na razie odprawiali modły wspólnie z miejscowymi żydami.

Okazały się jednak dość znaczne różnice w sposobie wymawiania, intonacyi i w drobnych rytualnych obrządkach. I miejscowi, i przybysze nie byli zadowoleni z tej wspól-

ności, to też wkrótce Fiszkun z towarzyszami wynajęli dla siebie oddzielny bethamedrisz, urządziwszy go zupełnie na sposób dawnego w Moskwie.

Ten dom modlitwy stał się wkrótce miejscem zbornem bogatszych litwaków, tu się modlono, naradzano, załatwiano drobniejsze i ważniejsze sprawy.

Na razie, w pierwszych dniach, wychodźcy rozmawiali otwarcie o swych interesach i planach, lecz gdy poczęły się umniejszać widoki powodzenia, stali się ostrożniejsi, a u wielu budziła się gorycz.

— Aj, Mojżeszu Dawidowiczu, — rzekł Ozyasz Kindin — co wy dobrego zrobili, że ściągnęliście nas do Warszawy. Tu ciężko, u nich kopiejka więcej znaczy tutaj, aniżeli u nas rubel. Czy nie tak?

— Poco to gadanie? — obruszył się Fiszkun — czy ja namawiałem kogo? czy ciągnąłem? Czy nie widzicie sami, że ja także siedzę bezczynnie?

— Nu, a dlaczego parliście do Warszawy?— wmieszał się Spitzman do rozmowy.

— Dlaczego? — odparł chmurny Fiszkun— bo mi pisano, że interesa są... no, i taki Fink, Lewison, Vogel i inni, czy oni źle wyszli tutaj?

Oni? — rzekł Ozyasz — mieli kapitały,

tanio kupili place, zbudowali wielkie kamienice... aj, aj, każdy z nas potrafiłby to zrobić, żeby tylko miał pieniądze. Niechby oni teraz spróbowali interesu.

— To prawda, — dodał jeden ze sąsiadów — teraz nie można dokupić się placu, a robotnik taki drogi, że na kamienicy można tylko tracić... to nie jest interes... A nie próbowaliście manufakturnego interesu?

Fiszkun skrzywił usta do pogardliwego uśmiechu i rzekł:

— Jaki to interes? Moskwa ma swoje, konkurencya trudna, a ilu z naszych pracuje już w tem? Co oni zarabiają?

— Zawsze tyle, ażeby wyżyć, — powiedział Ozyasz — a cała rzecz, ażeby interes szedł... on może się rozwinąć... czy nie tak?

— Próbujecie? — zawołał Spitzman.

— Może i spróbuję... ja czekam... a wy, Szymon?

Ja myślę z galanteryą zacząć... ale to dopiero plan... może i nie, bo tu dużo sklepów... — odpowiedział, jakkolwiek już upatrzył sobie sklep i umawiał się z głównymi składnikami.

Bethamedrisz zaczął się napełniać, rozmowa przemieniła się w głośny gwar. Fiszkun, słuchając tych i owych, przechodząc od grupy do grupy, wymiarkował, że wprawdzie wielu

ma już pewne plany, że noszą się z różnymi zamiarami, ale dopiero sondują, wahają się, obliczają, jak to było widać z niespokojnych słów, ruchów, błysków oczu, min podejrzliwych.

Cała gromada tych ludzi, robiła wrażenie mrowiska, które ktoś z dawnego miejsca przeniósł na nowe. Ludzie ci kręcili się, macali, szukali, rozglądali się, wszystko gorączkowo, z gwałtownymi ruchami, z nieumiarkowanymi głosami i potrącając się wzajemnie, zbijali się w kupę, szukając rady i wyjścia.

Wszedł Szymon Saulowicz Markun, do którego wielu z nich miało żal za rozwiane słodkie nadzieje łatwego a dobrego zarobku i życia.

— Nu, Szymonie Saulowiczu, gdzie twój złoty interes? — zadrwił jeden z obecnych.

— Czy już się schyliłeś po złoto? — rzekł drugi — daj i nam trochę.

— A może mnie weźmiesz do spółki? — zadrwił inny.

— Nu, dlaczego ty cicho? Czy my nie grzecznie prosimy?

Obstąpili Markuna, drwiąc z niego i wyzwalając w ten sposób swe żale i gorycze nagromadzone, gdyż do Fiszkuna, jako bogatszego, nie śmieli tak przemawiać.

Markun roześmiał się nieszczerze i zawołał:

— Aj, aj, poco ten gwałt? Czy ja winien, że wy ślepi? Co ja mam mówić głuchym?

— Widzisz go? — zaśmiał się któryś z goryczą — ty taki mądry, nu, to powiedz nam! Otwórz nam oczy!

— Dlaczego chowasz twoje skarby wiedzy?

— Czego wy chcecie? — powiedział Markun, prostując się — czy myśleliście, że wam manna będzie padała z nieba?... Tu jest dla każdego interes... można robić w żelazie, w manufakturach, we węglu, w galanteryi...

— To gadanie puste, — zawołał jeden ze słuchaczy — czy nie wiesz o tutejszych? oni co lepsze zabrali już, a co nam zostało?

— Co wam?... To co najlepsze, — zaśmiał się Markun — oni, ci tutejsi, liczą tylko na przygodną klientelę... a wy macie cesarstwo całe, czy nie tak?

— Nu... powiedz jak?

— Aj, żebym ja miał wasze kapitały, to wziąłbym sobie sklep, nie sklep nawet, ale małą dziurę... handlowałbym, a potem eksportowałbym mój towar do Rosyi... czy nie macie tam swoich? czy oni nie chcą także zarobić?

Te słowa uspokoiły ich cokolwiek, bo każdy z nich nosił się z tą myślą i każdy

czuł, że byle się zaczepić, to można wyleźć z rowu biedy i niedostatku na żyzne pola handlu i interesu, więc Szymon Markun miał racyę. Nie chcieli jednak dać po sobie poznać, że ich zamysły przybierały formy rzeczywistości i mówili z powątpiewaniem:

— To sobie gadanie!

— Co nam pomogą słowa?

— Dlaczego ty nie weźmiesz szczoty i nie policzysz jaki procent?

Markun udał, że nie słyszy tych uwag i szedł w stronę Fiszkuna, a łypnąwszy okiem, dał mu znak, że chce z nim pomówić.

Odeszli na bok, a Mojżesz Fiszkun spytał półgłosem:

— Nu?

Ja muszę powiedzieć, że ty, Mojżeszu Dawidowiczu, masz głowę dobrą.

— Dobrze... i co?

— W tym interesie pracuje kilku gojów, z nich najważniejszy Stanisław Falutyński...

— Co on za jeden? — przerwał mu Fiszkun.

— Jeszcze nie wiem dobrze, ale on sam majster i eksportuje może osiem, może dziesięć tysięcy bucików do Rosyi... ten z gojów najpierwszy.

— A wiesz, gdzie wysyła? Ile kapitału? Jaki ma kredyt? Kto bierze?

— Skąd ja mam wszystko wiedzieć?... Na to przyjdzie czas, czy nie tak?

— Czy tobie nie jest pilno? — zaśmiał się Fiszkun.

— Na co pytać? — westchnął — już ja się dowiem, ale nie sam.

— A kto taki?

— Ja wyszukam... Znajdę tutejszego i jego poszlę, czy nie dobrze? — spytał, widząc chmurną minę Fiszkuna.

— Alboż wiem? Tylko mnie się zdaje, że to interes łakomy, i na co nam konkurenta?

— Prawda... ale co robić?

— Co?... Ja się namyślę... pogadamy jeszcze... czy jest co więcej?

— Z naszych eksportuje dom Leopolda Kleinwega.

Fiszkun nastawił odstające uszy, oczy mu zabłysły i spytał żywo:

— Co wiesz o nim?

— To bogaty człowiek, ma kredyt, kamienicę... tutejsi bardzo go chwalą, chociaż on k o j f r y m — użył słowa hebrajskiego na oznaczenie żyda, lekceważącego przepisy talmudyczne.

— To jego rzecz, co mi do tego, czy on k o j f r y m lub nie — uśmiechnął się Fiszkun. — Co więcej?

— Do niego, jak do rabina, idą po radę

tutejsi, on pomaga, ma wpływy i znaczenie u goimów, szkoły zakłada...

— Co mnie to obchodzi? — rzekł zniecierpliwiony — niech go chwalą lub ganią... ty mi powiedz, co on robi w tym interesie?

— On eksportuje, ma swoich rzemieślników, kredytuje im, daje zaliczki, on ich trzyma w garści.

— Nu, on dobry kupiec — rzekł z uznaniem Fiszkun — ale on nie rozumie interesu — uśmiechnął się w poczuciu swej wyższości — czy już wszystko o nim? ile on eksportuje?

— Skąd ja mogę wiedzieć?

— Nu, my się dowiemy, ty przyjdź do mnie... ja potrzebuję się namyśleć, a ty staraj się dowiedzieć coś nowego, coś dokładnego, dobrze?

— Co nie ma być? Przecież to i mój interes, czy nie tak?

— Jak ja raz powiedziałem, że ciebie dopuszczę, to poco pytanie? — a widząc zbliżającego się Ozyasza, dodał szeptem — sza! cicho!

— O czem wy rozmawiacie, tak na osobności? — spytał Ozyasz, przypatrując mu się pilnie.

— Nu, o czem mówić? — odrzekł Fiszkun — jeśli nie o złych czasach?

— To prawda, — westchnął Ozyasz —

a wiecie, co myśmy gadali tam? — wskazał na przeciwny róg pokoju.

— Nu?

— Że nam trzeba z tutejszymi naradzić się, bo my nie znamy kraju, stosunków, handlu.

— I ja myślałem o tem, — pochwycił Fiszkun — tylko, że oni chociaż swoi, boją się o swe zarobki, ich tu dużo, a każda kopiejka u nich droga, czy ty Ozyasz, nie widzisz tego?

— Co nie mam widzieć? — uśmiechnął się — od czego mam oczy i uszy?... Tylko nie pytajmy się biednych, albo na dorobku będących, ale bogatych, czy nie tak?

— Bogatych? — wmieszał się Markun — oni także swoim więcej sprzyjają... a do kogo chcecie iść?

— Nu, alboż ja wiem? czy ja tutejszy?

Oni mówią o kilku.

— Nu, a wy, Ozyasz, do którego chcecie iść? — spytał Markun.

— Skąd wy wiecie, że ja chcę?

— Ja tak sobie powiedziałem, czy nie wolno mi spytać?

— Co zakaz pomoże? Jak wy macie po temu ochotę.

Do rozmawiających przystąpił Spitzman i rzekł:

— Nie znacie wy Kleinwega?

Fiszkun spojrzał nieznacznie na swego spólnika i odpowiedział:

— Ja już słyszałem coś, ale o którym wy mówicie?

— Nu, tym, co ma dom eksportowy dla tutejszych, on dużo znaczy, nie znacie go?

— Co mam znać? Ja tak samo tu świeży, jak i wy. A czego od niego chcecie?

— Rady, co robić? Tutejsi patrzą na nas niechętnie, trudno coś od nich wyciągnąć... może on lepszy od tamtych, co szkodzi spróbować?

— Co ja mogę powiedzieć? — odrzekł Fiszkun — jak wy macie do niego zaufanie, to idźcie, ja was nie wstrzymuję.

— Nu, ja dawniej do was, Mojżeszu Dawidowiczu, przychodziłem po radę... ale w tutejszym kraju, co wy zrobicie?

— Co znaczy w tutejszym kraju? — oburzył się Fiszkun — tu taki sam kraj rosyjski, jak Moskwa, Kazań, Twer czy Władywostok. Ruski człowiek tu panem, czy nie tak?

— Nu, ja to wiem — odpowiedział nie bardzo przekonany — ale zawsze tu dużo innego narodu. Czy nie widzicie?

— Czy myślicie, że ja ślepy? — zaśmiał się Fiszkun — ale na mój rozum, te Polaki są na to, aby pracowali i płacili. Co oni znaczą? Do czego my ich potrzebujemy?

— Jakto do czego? A kto będzie nasz towar kupował?

— Kto? Nu, oni muszą kupować i mówić po rusku, bo oni są rosyjscy poddani, czy nie tak?

— Nu, dobrze, a kto ich zmusi?

— Jak wszystko będzie w naszych rękach, to gdzie taki Polak kupi?

— Ale kiedy to będzie? — westchnął Ozyasz.

— Ja wiem, że nie za tydzień, nie za miesiąc, może nie za rok... ale będzie... Od czegóż ja patrzę, słucham, rachuję? Ja sobie medytuję nad tem wszystkiem i mam swój rachunek.

Zbliżyli się i inni do rozmawiających, czem podniecony Fiszkun mówił coraz głośniej:

— Co mi Polaki? Ja tu przyjechałem, ażeby mieć swój interes; ja ze stolicy, z Moskwy, a to gubernialne miasteczko, to ja zawsze lepszy, zawsze wyższy. Albo oni znają się na wielkim handlu?

Jedni przytakiwali, inni potrząsali głowami z powątpiewaniem, wreszcie jeden odezwał się:

— Poco mi wojować? Ja tu przyjechałem zarobić, czy nie tak?

— Aj, jaki ty mądry!? — zaśmiał się Fiszkun z przekąsem — a czy my przyjechali dla przyjemności?

— Nu, to poco zadzierać z Polakami?

— Ach, ach, — śmiał się Fiszkun — a jeśli my ich nie weźmiemy za łeb, to oni nas wezmą i będziemy musieli mówić po polsku, popierać ich interesa, narazimy się prawitielstwu, i nie będziemy mieli poparcia ani od nich, ani od Ruskich. Czy teraz rozumiesz?

— Nu, nu!... On dobrze mówi!... On ma głowę!

— Ale poco zaraz wojna? — rzucił jeden ze słuchaczy.

— Jaka wojna? Kto o niej mówi? — zdziwił się Fiszkun — my idziemy swoją drogą, a oni zechcą nam przeszkadzać... to precz z nimi!

— Nu, jak tak, to dobrze — poszedł szmer uznania wokoło.

Fiszkuna mile to połechtało i czuł, że zachwiana jego powaga odzyskała dawną siłę. Spojrzał na złoty zegarek i zabierał się do odejścia, mimo zachęty, ażeby został dłużej.

Wyszedł na ulicę. Wieczór był chmurny, a od czasu do czasu sypał śnieg pomieszany z deszczem. Po błotnistym trotuarze snuli się przechodnie, przeważnie żydzi, szwargocząc i nawołując się na różne tony.

Fiszkun wspomniał Moskwę i westchnął. Tam teraz pewno śnieg, mróz, sucho, a tu takie błoto, że i kalosze nie pomagają. Z licz-

nych sklepików, nędznie oświetlonych, padały mętne blaski na ulicę, a prawie z każdego wejścia wyglądał kupiec lub kupcowa, albo też ich dzieci, ażeby przechodnia zachęcić do kupna marnych towarów.

Dostatnie ubranie Fiszkuna, które nie zdradzało żyda, podnieciło sklepikarzy do gorących zaprosin.

— Wielmożny panie, proszę tylko wstąpić... bardzo proszę!

— U mnie towar doskonały... proszę tu, wielmożny panie!

— Może krawatki, koszule, szelki, bardzo tanio!

Fiszkun szedł dalej chmurny, a gdy jedna ze śmielszych pochwyciła go za rękaw, zawołał po rosyjsku:

— Jak wy do mnie przemawiacie? Co to znaczy? — rozdrażnił go bowiem polski język w ustach żydów, bo właśnie rozmyślał o Moskwie.

Żyd natychmiast przemówił po rosyjsku, kalecząc ten język niemiłosiernie, wówczas Fiszkun przemówił w żargonie.

Na ten dźwięk kramarze i sklepikarki cofnęli się spokojnie, bo przecież żyd nic kupi ich lichego towaru.

Fiszkun szedł dalej, a wokoło słyszał tylko polski język, przeplatany żargonem. Opadło

go uczucie osamotnienia, czuł się obcym w tem środowisku. I w Wilnie i w Moskwie obijał się o jego uszy na ulicach, placach, w sklepach, tylko język rosyjski, on wyrósł i zestarzał się w tej atmosferze, a tu, w rosyjskim kraju, w rosyjskiem mieście, nie słyszy tego języka.

Co to jest takiego? Ci miejscowi żydzi nie rozumieją swego interesu. Jak można trzymać z ludźmi, których rząd dusi i uważa za wrogów? Naturalnie rząd, widząc, że żydzi się polonizują, musi ich tak samo prześladować jak Polaków. To przecież nie ma sensu trzymać ze słabszymi.

— My tu zaprowadzimy porządek — szepnął do siebie pełen zaufania i dumy.

Przyszedłszy do swego mieszkania, poczuł się szczęśliwszym. Tu tak cicho, spokojnie i zaraz na wstępie żona przywitała go czule w rosyjskim języku:

— Mojsze, ja już byłam niespokojna o ciebie.

— Co tu może mi się stać złego? Jak krzyknę po naszemu, to każdy mi ustępuje, każdy się boi — śmiał się i uczuł nową przyjemność, spostrzegłszy syczący samowar.

— Wiesz co, — spojrzał w oczy żony — jak przyjdę do domu, to się tak czuję, jakbym był w Moskwie, nu, a ty?

— Co ja ci będę głowę zawracała moimi kłopotami? — skrzywiła usta.

— Nu, powiedz, co jest?

— Ja mam wielkie zmartwienie ze służącą — westchnęła.

— Jakie? Czy nie chce być u nas?

— Ja nie mogę z nią się dogadać, ona nie chce mnie rozumieć, jak tylko ona zła.

— Jakto rozumieć?

— Ona zaraz mówi, ja nie znam waszego języka...

— To ty ją wypędź... szukaj drugiej — doradzał.

— Co mi to pomoże? Tu cała służba polska i ja na jej łasce... ja wiem, że bierze koszykowe wielkie, ale jak ja ją skontroluję?

— Co za gadanie? — oburzył się — ty idź z nią na targ, ty uważaj.

— I tam mówią tylko po polsku, a powiem co, to się śmieją.

— Nu, a niema naszych?

— Są, dlaczego nie? Ale ty wiesz, że ja mówić w żargonie zapomniałam, ja zawsze źle mówiłam... to mi trudno, nu i wstyd.

— Nu, to dziwna rzecz, ażeby ruski człowiek nie mógł się tu rozmówić... temu trzeba zaradzić, tak nie może być dłużej, od czego jest ruski rząd? Jak on może pozwalać na krzywdę Ruskich?

— Aj, poco ja tobie mówiłam o tem? Ty, Mojsze, nie narażaj się, ja sobie poradzę sama... ja może znajdę Ruską do służby.

— A mówiłaś, że niema.

— Jak tu tyle urzędników i oficerów, to muszą mieć ruską służbę, jakby oni mówili?

— Nu, to szukaj... a gdzie Sasza?

— On się uczy i Sonia także, tylko Aleksy nie wrócił jeszcze... a może ty głodny?

— Jabym coś zjadł?

— Zaraz będzie kolacya.

Wkrótce zasiadła do stołu cała rodzina. Ojciec, stary Fiszkun, ze wszystkich dzieci najbardziej miłował i szanował Saszę, za jego szczerość, prawdomówność i uczucie.

— Sasza, gdzie ty byłeś dzisiaj? — spojrzał z uśmiechem przyjaźni — ja ciebie zdaleka widziałem.

— Oglądałem miasto... ludzi... trzeba przecież poznać miejsce, gdzie mamy żyć.

Ojcu serce rosło przy tej odpowiedzi i spojrzał porozumiewawczo na żonę, czy podziwia mądrość syna, lecz ona była zajęta krajaniem pieczeni i prawdopodobnie nie słyszała słów Saszy, to było mu nieprzyjemne i rzekł surowo:

— Malciu, dlaczego z nami nie rozmawiasz?

— Zaraz... tylko przygotuję kolacyę dla Aleksego, on będzie głodny.

— Nu, Sasza, — zwrócił się do syna — co ty widział?... Prawda, że Moskwa to miasto, a co to Warszawa? — wydął grube usta wzgardliwie — to mała dziura gubernialna, ani handlu, ani przemysłu.

— Co ja mogę wiedzieć o handlu i przemyśle? ale ruch tu nadzwyczajny, sklepy prześliczne, a ludzie uprzejmi, grzeczni... to cywilizacya europejska.

— Co ty mówisz, Sasza? — śmiał się głośno — jaki ty młody! Oni są grzeczni, bo boją się policyi, a ta jak mówisz cywilizacya i porządki, to z rozkazu oberpolicmajstra:

— A czy niema policyi w Moskwie? — powiedziała nieśmiało Sonia.

— Ty nie rozumiesz tego, — rzekł ojciec obojętnie — mów ty, Sasza.

— Sonia ma racyę, — odpowiedział nieśmiało — cywilizacyi nie robi policya, ani ona uczy grzeczności. To zasługa i właściwość narodu.

— Aj, aj, śmiać mi się chce, — mówił Fiszkun, pijąc z chlipaniem herbatę — jaki naród? co za naród? Oni nie mają ani handlu ani przemysłu, oni muszą być Ruscy, jeśli chcą żyć. Ty siedzisz Sasza za dużo nad książkami, tobie czas żyć.

Wtem wszedł Aleksy, zły, chmurny i nie witając się, zawołał z progu:

— Jest co jeść... Głodny jestem...

Usiadł za stołem, spojrzał na zimną pieczeń nałożoną mu przez matkę na talerzu i rzekł drwiąco:

— Co to za kolacya? Czy ja robotnik? — odsunął talerz — nie ma nic gorącego?

— Zjedz pieczeń, ona dobra, — powiedziała matka potulnie — kucharka wyszła dzisiaj.

— To ją przepędzić! Od czego ona jest, jeśli nie od gotowania? - mówił gniewnie.

— Aleksy! Czego ty się rozbijasz? — zrobił uwagę ojciec.

— Czego? Gdyby ojciec tak się nagonił cały dzień i nie miał co zjeść, czy byłby ojciec dobry?

— A nie widzisz, że i ja to jadłem, i Sasza i matka?

— Wam może to smakować, ale nie mnie, ja się napracowałem.

— Nu, zjedz Aleksy, jutro będzie gorąca kolacya — łagodziła matka.

Aleksy przysunął talerz, jadł łapczywie, mlaskając głośno językiem.

— I co ty zrobiłeś w mieście? — spytał ojciec.

— Znalazłem interes... bardzo dobry... świetny!

— Nu, to szczęśliwie, — mówił ojciec niedowierzająco — jakiż to?

— Zaraz! — przełknął głośno kawałek mięsa — to jest interes platerowy.

— I ty mówisz, że dobry? — pokręcił głową z powątpiewaniem — i ja o nim myślałem, ale to żaden interes dla mnie.

— Może dla ojca, ale dla mnie to gruby — zaśmiał się.

— Co ty mówisz?... Wszystkie wielkie firmy biorą wprost z fabryki i ona ma tam swoje sklepy.

— Nu, i co z tego?

— Jaki ty możesz mieć procent z tego interesu? Fabryka tobie odda towar po tej cenie, co eksportuje... a gdzie patent? sklep? obsługa? To żaden interes.

— On jest, — uśmiechnął się — a ojciec przystąpi do spółki?

— Alboż ja wiem? Ja ciebie chcę wpierw wysłuchać.

— Nu, dobrze... to jest taki interes. Ojciec wie, że mam stosunki w Rosyi i ja kupcom będę taniej towar wysyłał, aniżeli fabryka sama, czy oni nie będą brali u mnie?

— To możliwe... ale co ty masz na tem? — zaśmiał się — same tylko straty. Czy nie tak?

— Może kto inny? Może nawet ojciec, ale nie ja — zaśmiał się pełen dumy.

— Nu, jakim sposobem? — spytał zaciekawiony ojciec.

— Ja powiem, ale ojciec nie weźmie się do tego interesu, dobrze?

— Nie wezmę.

— I to wielki sekret... Ja już dawno myślałem, że towar platerowany to dobry interes, a z Warszawy dużo idzie tego towaru. Nu i poszukałem galwanizera...

— Kto taki?

— Ten, który posrebrza i od niego ja się dużo dowiedziałem... jeśli fabryka daje dziewięćdziesiąt albo i pięćdziesiąt procent srebra na posrebrzanie, ja mogę dać dwadzieścia pięć... nu, trzydzieści procent. Ja sobie fasony sprowadzę takie same i czy to kto pozna, jak ja posrebrzyłem?

— Ja już ciebie rozumiem, — zawołał ojciec z radosnem uznaniem — a masz już galwanizera?

— Co nie mam mieć? Ja go wyszukałem...

— Nu, ty masz spryt... u ciebie głowa do interesu.

— A ojciec przystąpi do spółki?

— Nie... ja mam na myśli lepszy interes, ale dla ciebie na początek dobry i ten.

Matka patrzała na Aleksego w niemym zachwycie i aż potrząsała głową z podziwu, natomiast Sasza i Sonia siedzieli chmurni i bar-

dzo poważni. Ojciec zauważywszy tę minę swego ulubieńca rzekł tonem pocieszenia:

— Ty, Sasza, nie potrzebujesz się martwić... i ty znajdziesz taki, a może i lepszy interes.

— Sasza!? — zaśmiał się Aleksy — jak interes będzie wydrukowany w książce, to on jeszcze się namyśli.

Sasza poczerwieniał, rzucił niechętne spojrzenie na brata, przygryzł wargi i milczał.

— Sasza, dlaczego nic nie mówisz? — dopytywał się ojciec.

— Co ja mam mówić? — wzruszył ramionami — to Aleksego interes, jego uczciwości i sumienia.

— Tak jest! — zawołał Aleksy to mój interes i ja nie pytam ciebie i twojej głupiej zarozumiałości.

— Aleksy, poco ten krzyk? — uspokajał ojciec — on przecież twój brat. Nu, Sasza, powiedz, co ty myślisz?

— Poco? — mruknął zniechęcony.

— Ja chcę wiedzieć, — rzekł ojciec — ja cię proszę.

— Powiedz! — szepnęła zarumieniona Sonia.

Sasza spojrzał śmiało na ojca, na Aleksego i zaczął gorączkowo:

— Co tu długo mówić? To co chce zro-

bić Aleksy, jest nieuczciwe względem fabryki, kupców i odbiorców... on ich oszukuje!

— Cicho, ty głupcze, ty waryacie, ty wyrodku! — wrzasnął Aleksy z błyszczącemi oczyma — taki dureń będzie mnie uczył, co to interes? Czy ja się mieszam do twoich książek? czego chcesz odemnie?

— Cicho! cicho! — podniósł rękę ojciec — Aleksy milcz!... Sasza, ty mi powiedz, co to jest nieuczciwość?

— Nieuczciwość?... jeśli ja ze świadomością wprowadzam w błąd i narażam na stratę drugiego.

— Nu, dobrze... a ty kim jesteś? Czy ty niemiec? francuz?

— Ja?... żyd.

— Dobrze... a jak ty w Rosyi idziesz ulicą, ty udajesz Ruskiego i z mowy, i z ubrania, i z chodu twego, czy ty nieuczciwy? Czy ty nie wprowadzasz w błąd drugiego?

— Nie... ja tylko nieszczęśliwy, że nie mogę być sobą i ten drugi nic na tem nie traci, że nie wymyśla mi od żydów.

— Co ojciec będzie gadał z takim głupcem? — zawołał Aleksy.

Ojciec, chmurny, widocznie silił się na argumenta, syknął na Aleksego, ażeby milczał, wreszcie z rozjaśnionem czołem zawołał:

— Ty nie wiesz, Sasza, co to handel co?

interes?... Spytaj ty każdego z kupców naszych, czy to nieuczciwie obniżyć sprytnie cenę towaru, bo kto tu traci? Fabryka z powodu mniejszego obrotu, zamiast pięćdziesiąt procent zarobi mniej o jeden, o dwa, kupiec zamiast trzydziestu będzie miał dwadzieścia osiem, a jeden i drugi nawet się tego nie domyślą, że pośrednik przez swój spryt nietylko nie stracił, ale zyskał kilka procent. Gdzie tu nieuczciwość?

— Nu, a ten, który kupił zły towar, czy on nie jest skrzywdzony? — odezwała się zarumieniona Sonia.

Ojciec nie bez zdziwienia spojrzał na córkę, Ałeksy uśmiechnął się wzgardliwie, tylko Sasza szepnął:

— Ty prawdę mówisz.

— Soniu! — zawołał ojciec z surową powagą — u nas niema zwyczaju, ażeby żony, cóż dopiero córki, mieszały się do interesów męskich... to nie wasza rzecz, nie wasza głowa. Ty, bierz przykład z matki... ale ja tobie na ten jeden raz daruję i odpowiem... Kupiec nie może brać odpowiedzialności za mądrość lub głupotę kupującego, od czego on ma swój rozum?

— Aj, aj, ona chce, — zaśmiał się Ałeksy — ażeby kupiec ją zapytał, czy ty mądra, czy głupia? czy wiesz, co kupujesz? naco ci ten

towar?... dopiero byłby ładny interes! — śmiał się głośno, tak samo ojciec i matka.

Soni zakręciły się łzy w oczach, wstała, ażeby odejść, równocześnie z nią wstał Sasza, a ojciec:

— Sasza, ty zostań, tobie nauka potrzebna... Sonia, jak chce, niech idzie, ją mąż nauczy.

— A będzie to ciężka praca — zaśmiał się Aleksy.

Sasza usiadł na swem miejscu i patrzał obojętnie przed siebie.

Fiszkun począł z Aleksym bardzo ożywioną rozmowę o przyszłym sklepie z platerowanymi towarami, o możliwych zyskach, o procentach, o drogach zbytu, o zawiązaniu stosunków kupieckich.

Dopiero gdy przyszła sprawa kapitału obrotowego, wszczął się głośny spór i ojciec wciągnął Saszę na świadka, iż nie może ryzykować kapitału żądanego przez Aleksego.

— Nu, powiedz sam, Sasza, czy ja mogę w taki słabo procentujący interes wkładać wielki kapitał?

— Ja nie dałbym i kopiejki do tego interesu — odpowiedział Sasza z naciskiem.

— Pewno dlatego, że nieuczciwy — zadrwił gniewnie Aleksy.

— To swoją drogą, ale prócz tego interes

sam niepewny i pachnie sądem, procesem, kryminałem.

— Aj, aj, jaki ty mądry! — kpił Aleksy — ty idź do swoich książek, bo aż mi niedobrze słuchać głupoty takiej.

— Daj spokój, Aleksy, — zawołał ojciec — niech Sasza powie... Nu, gadaj!

— Ja powiem... Czy ty, Aleksy, myślisz, że fabryka taka głupia i nie zacznie dochodzić, jakim sposobem ty oddajesz jej wyroby z twoją stratą? Ona może kupić u ciebie tuzin łyżek czy widelców i zaraz pozna fałszerstwo, a wtedy co będzie?

— Czy słyszy ojciec, jaki on mądry!? — zaśmiał się Aleksy — jak ty się nie znasz na interesie, to poco gadasz?

— Nu, on źle nie powiedział — rzekł ojciec.

— A teraz ja go nauczę rozumu — śmiał się Aleksy. — Najpierw, zanim fabryka spostrzeże ubytek odbiorców, już opłaci mi się interes... dalej to, że w sklepie będę miał ich wyroby i u mnie wszystko będzie w porządku; nu a po trzecie, wiedz, że za towar odpowiada kupiec a nie składnik, którego kupujący nie zna. Towar mógł zmienić kupiec albo kupujący, a nie ja, bo u mnie porządek. Rozumiesz?

— Nu, Sasza, ty przyznaj, że Aleksy mą-

dry i przewidujący — powiedział ojciec z uznaniem.

— Może dla innych, ale nie dla mnie. Pierwszy lepszy przypadek może go zdradzić przed fabryką...

— Chyba ty dasz znać fabryce — przerwał mu gniewnie Aleksy.

— To ty masz duszę donoszczyka i szpiega, kiedy mnie posądzasz — zawołał Sasza z błyszczącemi oczyma i wstał z krzesła.

Porwał się i Aleksy krzycząc:

— Ja ciebie nauczę!

— Sza! Sza! Cicho! — zawołał ojciec stając między synami.

Na ten krzyk wbiegła matka i zawołała z progu:

— Aj, co to za gwałt!

— Sasza! — rozkazał ojciec — ty idź z pokoju, Aleksy jest starszy, ty go obraziłeś — a po wyjściu Saszy zwrócił się do Aleksego surowo: — Jak ty śmiesz na brata rękę podnosić! On młody, on gorący, i ty pierwszy powiedziałeś mu brzydkie słowo.

— Ojciec zawsze za nim — mruknął chmurny Aleksy.

— Nie, ja tylko sprawiedliwy, — i ciężko wzdychając, usiadł — ach, co ja mam z temi dziećmi! Co za kłopot!? I dlaczego oni nie są zgodni? dlaczego?

Matka, patrząc ze współczuciem na Aleksego, powiedziała tonem wymówki:

— A czy ja ci nie mówiłam, Mojsze, nie dawaj go między goimów, do gimnazyum... nu, i z niego dziwak wyrósł, ale jak on zmądrzeje, to się poprawi.

— Co ty mi gadasz takie rzeczy, — obruszył się — ja sam wiem o tem najlepiej.

Nastało dłuższe milczenie, przerwał je Aleksy:

— Ojcze, nu, a mój interes?

— Nie dziś, ja nie mam głowy do tego.

## IV.

Właśnie Fiszkun kończył obiad, gdy wszedł Szymon Markun i przywitawszy się usiadł za stołem.

— Szymonie Saulowiczu, — przemówiła gospodyni — wy może chcecie herbaty?

— Co to pytać? — zaśmiał się gospodarz — ty Malciu daj... a on wypije.

— Niech będzie i herbata, — skinął głową przybyły — co u ciebie, Mojsze, nowego?

— Co ma być? — wzruszył ramionami — ja myślę, że ty mi przyniósł nowiny... nu, co jest?

— My pogadamy, Mojsze, — odpowiedział wymijająco — a co słychać z waszym interesem, Aleksy Mojżeszowiczu?

— On idzie... ja już zamówiłem surowy materyał garniturów, tac, koszyków, imbryków... co mi trzeba, wkrótce przyjdzie — mówił z odcieniem dumnego zadowolenia.

— A krój ten sam?

— Dlaczego nie ma być? Ja im posłałem fabryczne wzory, to oni mi zrobią — mrugnął oczyma błyszczącemi.

— A interes zapowiada się dobrze?

— Ja mam już zamówienia z Rosyi... on się rozwinie, tylko nie trzeba skąpić i targować się o każdą kopiejkę — spojrzał z wyrzutem na ojca.

— Czego ty chcesz Aleksy? — odezwał się Fiszkun wzruszając ramionami — ja tobie według naszej umowy dałem, a twoja w tem głowa, żeby ci wystarczyło.

— Alboż wiem, czy mi wystarczy? Wielki interes potrzebuje wielkich pieniędzy, a przecież Fiszkun nie będzie miał kramiku.

— Nu, dlaczego wy, Aleksy Mojżeszowiczu, nie weźmiecie brata do spółki? — spytał Markun.

— Brata? Saszy? — zaśmiał się drwiąco — a czy ja zgłupiałem? czy ja chcę ponieść straty?

— Ty, Aleksy, — odezwał się Sasza — nie potrzebujesz się śmiać, do twego interesu ja nigdy nie wstąpię.

— O, jej, jakie to nieszczęście! — śmiał się — ty sam jeszcze będziesz mnie prosił. Czy ty myślisz zawsze żyć na łasce ojca?

— Sza! Cicho! — zawołał stary Fiszkun —

Szymonie, chodź, my pogadamy o naszym interesie.

W małym pokoju z jednem oknem wychodzącem na podwórze, zasiedli obaj przy stole założonym papierami i książkami Saszy.

— Nu, co mi powiesz?

— Ja już wiem dokąd towar swój wysyła Falutyński, — i spojrzał tryumfująco.

— Ty znasz adresy firm? — zdziwił się przyjemnie Fiszkun.

— Co mnie to zachodu, pracy, nu, i pieniędzy kosztowało? — westchnął.

— My się policzymy, poco masz wzdychać? Ty mi powiedz, jakim sposobem to zrobiłeś? Może to niepewne?

— Co nie ma być pewne? — zawołał, — czy to nie mój interes?

— Ja wiem... nu, jak to było?

— Wczoraj, ja sobie stoję przed jego sklepem, ja tam często stawałem, — opowiadał z twarzą policyanta uradowanego schwytaniem przestępcy, — goje wynoszą skrzynie i skrzynki z towarem... nu, ja czekam... oni jadą, ja za nimi, aż stanęli przed domem spedycyjnym Moller i spółka.

— Szymon... ty masz spryt! — cieszył się Fiszkun, — ja już wiem, co ty zrobiłeś.

— Co masz wiedzieć? Ty posłuchaj, —

uśmiechnął się zadowolony, — ja sobie czekam, oni wyszli i pojechali dalej...

— Ty za nimi... ja wiem.

— Nie... ja zostałem.

— Dlaczego ty został? — zawołał Fiszkun z grymasem niezadowolenia, — tobie trzeba było iść za nimi, jechać, dowiedzieć się pewnych adresów. Co ty zrobiłeś?

— Ja, jakiś czas czekałem, — mówił spokojnym głosem, — nu, potem ja zaszedłem do tego domu spedycyjnego... bo i ja chciałem wysłać towar, — zaśmiał się.

— Nu, ty mądry... co było?

— Ja przypatrywałem się wszystkim... i tam jest jeden z naszych, — spojrzał w oczy Fiszkuna porozumiewawczo, — on tam pisze. To ja zaczekałem na niego i z nim poszedłem do restauracyi. Rozmawiałem. On mi powiedział, że Falutyński cały swój towar do Rosyi wysyła przez ich dom, — sięgnął ręką do kieszeni, wyjął zatłuszczony pugilares, poszukał i trzymając papier w palcach, mówił dalej: — ja mu zapłaciłem za każdy adres pół rubla.

— Daj mi, — zawołał Fiszkun i szybko pochwycił papier.

Podszedł do okna i nałożywszy szkła czytał. Od czasu do czasu głośno cmoknął, wy-

rzucił z gardła wyraz monosylabowy i rzekł po chwili nie odrywając oczu od papieru:

— Szymon!... to dobre i pewne firmy... ja ten papier schowam, on nam będzie potrzebny.

Szymon, który miał wynotowane wszystkie te adresy, odpowiedział:

— Dlaczego nie masz schować?... Nu, a teraz co będzie?

Fiszkun starannie schował papier do pugilaresu i powiedział z uśmiechem:

— Te adresy, to pieniądz, czy ty wiesz o tem?... On tobie tanio oddał.

— Ale co ja się napracowałem? co nachodziłem?... Co teraz?

— Zaraz... ja się namyślę, — odrzekł Fiszkun zapalając cygaro, — a cobyś ty zrobił?

— Ja? — mówił Markun i po dobrej chwili dodał: — jabym poszedł teraz między szewców, kupiłbym towaru... i obniżyłbym cenę dla odbiorców w Rosyi... oni przyszliby do nas i tak poderwałbym goja, że on musiałby zbankrutować.

— To niezła myśl, ale droga długa i kosztowna, ja mam lepszą.

— Nu?

— Ja gojowi zrobię propozycyę, że sam zajmę się eksportem...

— A jak on się nie zgodzi?

— On musi się złapać na taki interes... ja z kupcami moskiewskimi to robiłem i było dobrze. Czy ty myślisz, że on mądrzejszy?

— Dlaczego miałby być lepszy od innych? I niech się on tylko zgodzi, to my jemu poradzimy, — zaśmiał się głośno i zatarł ręce.

— Co nam zwlekać? — zawołał Fiszkun wstając, — to jest brylantowy interes. Czy ty wiesz, ile wynosi eksport obuwia z Warszawy?

— Nu?

— Słyszysz? Osiem milionów rubli! Milionów! — powtórzył z naciskiem.

— Aj, aj!

— Nu, niech my weźmiemy w ręce tylko połowę eksportu... ty sobie oblicz, jaki to interes. Rozumiesz?

Markun tylko zajęczał z wielkiej rozkoszy i po chwili szepnął:

— Niech będzie jedna trzecia...

— Ty tak nie mów! — oburzył się Fiszkun, — taki interes opłaca się dobrze, jak on wielki... największy. Czy nie tak?

— Ja to wiem, — odpowiedział cicho.

— Taki goj, jak Falutyński, on ma złoty interes w ręku, ale on nie ma głowy. Co on może zarobić, jak jego drogo wszystko kosztuje... Nu, ja już idę do niego.

— Nu, ja tobie, Mojsze, życzę szczęścia... niech tobie Pan Bóg pomoże.

— Ty, Szymon, przyjdź wieczorem, my pogadamy.

— Ja będę.

Fiszkun wszedł do sklepu Stanisława Falutyńskiego. Okiem znawcy obejrzał sklep bez błyskotek, bez ozdób rzucających się w oczy, a niepotrzebnych; czuć w nim jednak było ład, porządek i zamożność. W gablotkach pełno było towaru, od najwykwintniejszych pantofelków damskich, do grubych butów myśliwskich.

— Czem mogę panu służyć? — spytał z uprzejmym, stereotypowym uśmiechem subjekt stojący za ladą.

— Ja przyszedłem do gospodarza, — odpowiedział Fiszkun po rosyjsku, — czy on w domu?

— Nie wiem, — i zwracając się do praktykanta: — idź, zobacz, czy pan w kantorze... — Proszę, niech pan usiądzie, — wskazał fotelik.

— Nie trzeba... zaraz pójdę do gospodarza, — przystąpił do otwartej gablotki, oglądał buciki.

Wrócił praktykant i rzekł:

— Pan majster zajęty... kazał zapytać jaki interes?

— Co to znaczy? — zawołał Fiszkun gniewnie, zdawało mu się bowiem, że polskie odezwanie się chłopca było rozmyślnem lekceważeniem jego, jako rosyjskiego kupca. — Jeśli ja do ciebie mówię po rusku, to ty powinieneś mi odpowiedzieć w tym języku.

— Nie umiem po rosyjsku, — usprawiedliwiał się zaczerwieniony pomocnik.

— A gdzie ty mieszkasz? Nu, w Rosyi, to i powinieneś znać język ruski, — hałasował.

Subjekt patrzał chmurny na Fiszkuna i gdy ten umilkł, odezwał się po rosyjsku, złym akcentem:

— Pan Falutyński zajęty i pyta co za interes?

— To wielki interes, to ważny interes... trzeba mu powiedzieć, że ja nie żaden warszawski kupiec... że ja z samej Moskwy! — ostatni wyraz podkreślił.

— Można poznać zaraz, — uśmiechnął się subjekt i do chłopca: — powiedz panu, że ten pan z Moskwy samej, w interesie ważnym.

Fiszkun czuł ironię w powiedzeniu subjekta, ale na razie nie wiedział, jak ma przeciwdziałać i chmurny patrzał wokoło.

Po chwili praktykant wrócił i rzekł obojętnie:

— Proszę pana.

— Co? — zawołał Fiszkun po rosyjsku.

— Pan czeka... proszę, — odpowiedział spokojnie po polsku.

Fiszkun spojrzał na subjekta czekając przetłómaczenia słów polskich, ale widząc go zajętego obliczaniem kasy, mruknął przekleństwo pod nosem i szedł we wskazanym kierunku.

Już w pierwszym pokoju, gdzie za jednym stołem z książkami handlowemi siedziała panna, a za drugim pod oknem, mężczyzna, Fiszkun nadał swej twarzy wyraz uprzejmości i stąpał ciszej. Zapukał do dalszych drzwi i wchodząc przemówił prawie serdecznie:

— Zdrastwujtie!

— Dzień dobry, — odpowiedział mężczyzna przy biurku i spojrzał ciemnemi, wyrazistemi oczyma na wchodzącego, — proszę siadać, — wskazał krzesło poblizkie — jaki ma pan interes?

— Daruje pan, — zaczął Fiszkun po rosyjsku, — ale ja nie znam waszego języka... ja ruski człowiek.

— Nic nie szkodzi, — uśmiechnął się Falutyński podkręcając wąsa, — rozumiem po rosyjsku, tylko nie mówię. Zatem o co idzie?

— Mnie bardzo ciężko rozumieć... ja was... przepraszam, jak imię ojca waszego?

— U nas, w Polsce, niema zwyczaju łączyć

imienia syna z imieniem ojca, mów mi pan po nazwisku... Falutyński i koniec...

Fiszkun, zgorszony, spojrzał złem okiem na gospodarza i rzekł po rosyjsku:

— To bardzo dziwne, że wy, panie, nie znacie ruskiego języka, chociaż handlujecie z Rosyą.

— Nie mam czasu na dyskusye, — odparł Falutyński zniecierpliwiony, — jaki pan ma interes? — i nerwowo zaczął układać papiery na biurku.

Fiszkun spostrzegł, że wszedł na niewłaściwą drogę i może zepsuć sobie interes. Pomyślał, że jeśli ten goj taki uparty, to co mu zaszkodzi zrobić ustępstwo? Znał przecież z Wilna cokolwiek polskiego języka i nadając swej twarzy wyraz dobroduszności, zaczął kaleczyć po polsku:

— Nu, panie Falutyńki... ja dla was z interesem... bolszym... my w kupie zrobimy... fein geschäft.

— Mów pan po rosyjsku, bo trudno mi zrozumieć, a nie mam czasu. Czego pan chce?

— To jest taki interes... pan jest najpierwsza firma w Warszawie i wszystkie pierwszorzędne sklepy w Rosyi biorą pański towar... ale to mało... Pan może zarobić krocie, czy pan nie chce zarobić?

— Dobrze... cóż dalej? — odpowiedział dość obojętnie.

— Co?... nu, ja zaraz powiem... ja widzę, że pan ma za dużo do roboty... panu brakuje czasu. Czy nie tak?

— Przecież sam mówiłem o tem, — odparł tonem zniecierpliwienia.

— Nu, tak... a ja chcę panu dać nietylko setki tysięcy rubli, ale i dużo wolnego czasu, — a widząc jego znudzoną minę: — ja nie taki sobie kupczyk, tylko kupiec moskiewski... pan napewno słyszał o firmie M. D. Fiszkun i syn, a Fiszkun... to ja! — wyciągnął rękę do uścisku.

Falutyński podał swoją i spytał:

— Zatem jaki pan ma interes do mnie, panie Fiszkun?

— Ja zaraz powiem... pan teraz sam wysyła towar, sam prowadzi korespondencyę, sam książki, sam musi pamiętać o wszystkiem, sam ściągać należytości, dyskontować weksle... nu, a ilu zarwie?... ilu nie zapłaci na termin? Czy ja o tem nie wiem?... Czy nie tak?

— Bywa różnie. Z początku zarwali mnie ci i owi, ale teraz wysyłam tylko firmom pewnym.

— Ja to wiem... ale czy to jest interes? to jest sobie małe gospodartwo. Jak pan opłaci materyał, robotę, sklep, ludzi, to i co panu

zostanie? Może kilka tysięcy. I czy to się opłaci?

— Czego właściwie pan chce? Siedzi pan tu od pół godziny i jeszcze nic nie wiem.

— Pan nie pożałuje tego czasu... ja powiem krótko... Ja zakupię towar pański, zapłacę panu na miejscu, i będę wysyłał na swoje ryzyko do Rosyi.

— Hm... tak? — spojrzał bacznie na Fiszkuna, — więc to cały interes? — uśmiechnął się.

— Kto mówi, że cały? — obruszył się Fiszkun, — ja ten interes rozwinę. On taki będzie wielki, że pan sam go nie pozna... Ja wyszlę pański towar nietylko do firm, którym pan wysyła, ale do innych... ja znam całą Rosyę jak moją kieszeń... a pan bez żadnego kłopotu i ryzyka sprzeda towar na miejscu. Czy ja źle radzę? czy to nie jest złoty interes dla pana?

— Szkoda pańskiej wymowy, — uśmiechnął się Falutyński, — no, i mego czasu, bo z tej mąki nie będzie chleba.

— Co?... Przepraszam pana, ale ja nie dobrze rozumiem... co pan powiedział?

— Że nic z tego. Za stary wróbel jestem, ażebym się dał złapać na takie sidła, — zaśmiał się, — szukaj pan sobie innego interesu.

Te słowa powiedziane tonem swobodnym,

a jak się Fiszkunowi zdawało lekceważącym, podrażniły jego ambicyę i dumę. On, do którego kupcy rosyjscy odnosili się z zaufaniem, a współwyznawcy tak cenili, szanowali, zwracali się do niego o radę, traktowany jest jak pierwszy lepszy frant przez goja, i to Polaka, który nawet planu operacyi handlowej nie chce wysłuchać. Chciał już wstać i wyjść, ale kusił go dobry interes... a może się uda? Zdusił w sobie gniew i rzekł z przymileniem:

— Pan żartuje... pan nie chce wierzyć... nu, ja to rozumiem, bo pan nie wie, kto z nim mówi. Moje słowo tyle warte, co gotówka, na mnie można liczyć... Jak Fiszkun mówi, że kupuje towar, to Fiszkun płaci.

Spostrzegłszy jednak, że Falutyński słucha obojętnie i tylko od czasu do czasu patrzy drwiąco na niego, dodał:

— Ja wiem, że pan wysyła towar swój do Baszkirowa do Moskwy, do Sołtynikowa w Petersburgu, niech pan ich spyta, kto jest Fiszkun?

— Ależ ja wierzę, że pan kupiec, że pan ma pieniądze, — rzekł znudzony, — lecz nie potrzebuję eksportera i nie chcę.

— Co to znaczy?... — Dlaczego? Czy moje pieniądze gorsze?... Nu, niech pan pomyśli. Ja panu daję czysty interes jak samo złoto... ja drugi raz nie przyjdę. Panu samo szczę-

ście wchodzi do ręki, dlaczego pan odtrąca? Poco? Naco?

— Dosyć tego, — wstał z krzesła. — Panie Fiszkun, jak każdy Polak i ja chcę być niezależnym, a gdybym z panem zrobił umowę, byłbym zawisły od pana, tego nie chcę.

— Czy to ostatnie słowo pana? — Fiszkun podniósł się, wyprostował i złemi oczyma mierzył Falutyńskiego, — niech się pan namyśli... niech mi pan powie przynajmniej, co jest złego w moim interesie?

— Dziwi mnie, że pan, jako kupiec moskiewski, nie rozumie sprawy, — rzekł Falutyński z odcieniem ironii, — jeśli mam, dajmy na to, dwudziestu odbiorców, dwóch lub trzech zawiedzie mnie w terminie, ale reszta płaci. I nie ja ich szukam, lecz oni mnie szukają i proszą. Jeśli ja mam jednego eksportera... chociażby nim był pan Fiszkun, to w razie bankructwa, wszystko tracę. Rozumie pan?

Ta wzmianka o możliwem bankructwie oburzyła Fiszkuna:

— Co to jest? Jak pan śmiesz do mnie tak przemawiać!? — wołał, coraz bardziej podnosząc głos. — Ja ruski człowiek i nie pozwolę na to, ażeby mnie taki pan z Warszawy... Polak, — dodał wzgardliwie, — obrażał. Ja panu pokażę, co znaczy ruski kupiec!

Falutyńskiego oczy zabłysły, wyprostował się i rzekł z naciskiem:

— Wynoś się!... Za drzwi!

— Co!?... Ty śmiesz, — krzyknął Fiszkun pobladły, lecz Falutyński nacisnął już dzwonek i do służącego, rosłego chłopa, zawołał:

— Wyrzuć tego żyda.

Fiszkun zmiarkował, że nie da rady służącemu i rzekł głosem przyciszonym z pasyi:

— Nie trzeba... ja sam wyjdę, — i szybko cofał się ku drzwiom popychany zlekka, a gdy się znalazł w drugim pokoju, dość daleko od służącego, dodał: — nu, panie Falutyński... my się zobaczymy!

Niezwykły ten hałas zwabił ze sklepu subjekta i pomocnika, którzy stanęli we drzwiach, a subjekt rzekł groźnie do Fiszkuna:

— Cicho!... Nie wrzeszcz pan, bo źle będzie!

— Nu... wy mnie popamiętacie! — odgrażał się drżąc z gniewu.

— To później... a teraz precz!

Wyszedł ze sklepu i nienawistnie spojrzał na firmę. Najpierw połknął zgęszczoną ślinę, a spieczone z gniewu grube wargi wyrzucały z pasyą syczące przekleństwa i złorzeczenia na Falutyńskiego, na Warszawę, na całe polskie społeczeństwo.

Z natury zawzięty, wierzący w swój ro-

zum i potęgę pieniędzy, tem boleśniej odczuł to lekceważenie go przez Falutyńskiego. Z goryczą wspominał każdy jego uśmiech ironiczny, spojrzenia, wreszcie ten rozkaz wyrzucenia go za drzwi.

W bezsilnej złości przygryzał grube wargi z przystrzyżonymi wąsami, oczy pałały gniewem i szeptał głucho:

— Ja ciebie, goju... a w o j d e s i e... a r e j l i m i e... wyrzucę, zgniotę... ty pójdziesz po żebrach... ja cię opluję, skopię nogami... i ciebie, i twoją żonę, i twoje dzieci...

Po wyrzuceniu tych przekleństw i gróźb trochę się uspokoił, a chociaż wiatr listopadowy był zimny, otarł dłonią spocone czoło, sapał ciężko, a po chwili poczuł wielkie zmęczenie. Na razie miał zamiar wsiąść do dorożki, ale pożałował pieniędzy i zwolna powlókł się do domu.

— Co tobie, Mojsze? — zawołała żona widząc go chmurnym, z oczyma zaczerwienionemi.

— Co ma być? nic mi nie jest, — odburknął gniewnie i zrzuciwszy szybko wierzchnie okrycie, wszedł do jadalnego pokoju i zawołał: — Daj mi herbaty... niech ja się uspokoję.

Wkrótce żona wniosła szklankę herbaty i z wielką troskliwością przyglądała się mę-

żowi, który chmurny, patrzał surowo i wrzuciwszy cukier do szklanki, zwolna mieszał łyżeczką.

— Mojsze, — przemówiła nieśmiało, przysiadłszy się do stołu, — co tobie się trafiło nieprzyjemnego? Ty mi powiedz... tobie to ulży.

— Co mi pomoże gadanie? Czy ty mi poradzisz? — westchnął i rozejrzawszy się po pokoju dodał: – czy Sasza i Aleksy w domu?

— Aleksy jeszcze nie wrócił, on bardzo zajęty, — mówiła z przejęciem o swym ukochanym synu, — on ma twój rozum... on będzie bogaty.

— Tak... on sprytny, ale ryzykowny, Sasza będzie ostrożny, — chwalił swego ulubieńca — jego firma będzie pewna... on może dojść wysoko.

— Daj mu Panie Boże, tylko, że on taki dziwny... on się nie modli, tylko książki gojów czyta.

— Co chcesz? on się uczy, — odpowiedział ojciec, ukrywając swój niepokój o syna, gdyż i on zauważył, że Sasza zaniedbał obowiązki religijne, co go martwiło, — a gdzie on jest?

— Pewno czyta, — rzekła lekceważąco, — i niech on się uczy, ale dlaczego on i Sonię namawia do książek... na co jej ta nauka?...

Ja nad książkami nie siedziałam, a czy ja zła żona? zła matka?

— Nu, kto mówi, że ty zła?... Ale teraz inne czasy, a jak Sonia pójdzie za mąż, to książki nie weźmie do ręki... ja to wiem...

— Niech ona tylko idzie raz za mąż, — westchnęła matka, — im prędzej, tem lepiej. Dawniej była ona ciekawa do gospodarstwa, pomagała mi, a teraz ani zajrzy.

— Nu, ja pomyślę o niej, w Moskwie mnie pytano o nią, ale ona była za młoda...

Wszedł Sasza, a ojciec widząc go, uśmiechnął się i zachęcał:

— Siadaj... napij się herbaty.

Sasza zawahał się, a matka wstając z krzesła dodała:

— Zaraz ci przyniosę... ty pogadaj z ojcem, on ma zmartwienie.

— Jakież to? — siadł przy stole, — czy ojciec dostał złe wiadomości?

— Poco mi złe listy? — westchnął, — alboż mało mam zmartwień codziennie?

— Zmartwienie nie jest nieszczęściem i można je zawsze usunąć, — uśmiechnął się Sasza, — trzeba tylko chcieć, bo zmartwienie jest w nas samych i tylko od nas zależy.

— Ty rozumny,—uśmiechnął się ojciec, ale jak mam pozbyć się zmartwienia z powodu ciebie?

— Ja martwię ojca? — zdziwił się.

— Czy to nie zmartwienie, że ty kłócisz się z Aleksym, jak gdybyście byli wrogami?

— Nu, tak źle nie jest,—uśmiechnął się,— my tylko nie możemy się zgodzić na to, co dobre, a co złe. Ja mu życzę powodzenia, ale nie pójdę jego drogą, a że czasem głośno się spieramy, to trafi się i między małżeństwem.

— Co ty wiesz o małżeństwie? — uśmiechnął się i patrząc na wchodzącą żonę mówił: — żona, według naszych praw, musi być posłuszna mężowi, ona nie może mieć innego zdania, bo nasz zakon powiada: „wszystko co mąż chce uczynić z żoną swoją, może czynić, jakby z rybą, którą kupił u rybaka..." ale to bieda i mnie to bardzo martwi, że ty, Sasza, nie pilnujesz zakonu; w nim jest prawdziwa mądrość życia, a nie w twoich pogańskich książkach...

— Jeśli ty chcesz, Sasza, ojcu zrobić przyjemność, — odezwała się matka, — i nie martwić go, ty zachowuj przepisy nasze, ty czytaj nasze święte książki... ty rób tak, jak twój ojciec, dziad i pradziad robili.

Sasza, zamyślony, milczał nie podnosząc oczu ze stołu, zdawało się ojcu, że syn czuje skruchę i korzystając ze sposobności rzekł:

— Tak, Sasza, cała mądrość, co wolno, a czego nie wolno, co sprawiedliwe, a co grze-

szne, co prawda, a co kłamstwo... to wszystko w naszych książkach napisane, a chcesz, to ja ci dam do pomocy naszego chazena, Szymona Spitzmana, on zna się na rzeczy, to pobożny człowiek.

Sasza podniósł swe ciemne oczy na ojca i mówił poważnie:

— Ja czytałem nasze księgi, w nich jest dużo mądrego... chazena nie potrzebuję, on wie tyle co w książkach, to ja sam mogę przeczytać.

— Ale on biegły w piśmie świętem, on starszy, on dużo czytał... ty z nim pogadaj... ja cię proszę o to.

— Dobrze ojcze, mogę to zrobić dla ciebie... pójdę do niego.

— Nie, już on sam przyjdzie... nu, i ja ci mówiłem, naco ty Sonię zachęcasz do książek? Ona przecież kobieta, wystarczy, jak umie czytać, pisać, trochę muzyki, powieści, wierszów Puszkina i Lermontowa, ale naco jej nauka?

— Ojcze, — uśmiechnął się, — a przecież w naszych książkach napisane: „kto nie żyje z mądrymi, wart jest śmierci", a jak ona ma żyć z mądrymi bez nauki? Jeśli ona się garnie do książek, czy należy ją odpędzać?

— Widzisz, Sasza, jak tobie potrzebna jest nauka, — zauważył ojciec, — ty nawet nie wiesz, że gdyby było dziewięciu wyznawców

a milion kobiet w miejsce dziesiątego mężczyzny, to jeszcze niema pełnego zgromadzenia i brakuje obecności Boga, albowiem kobiety się nie liczą, a ty chcesz, ażeby ona żyła z mądrymi w piśmie pańskiem? Naco im ona?

— Niech ona żyje dla męża i dzieci, to będzie dobrą i bogobojną niewiastą, — odezwała się matka, — a do mądrych niech się nie miesza, to nie jej rozum.

Sasza słuchał nachmurzony, chciał coś rzec, lecz powstrzymał się i powiedział łagodnie:

— Dajmy temu pokój, różnimy się w tej sprawie... Nu, jakie ojciec miał zmartwienie w mieście?

Fiszkun przypomniał sobie nieudały interes, zajście u Falutyńskiego, lekceważenie jego osoby i majątku i sromotne wypędzenie. Wzburzyła się w nim krew, poruszył się na krześle, brwi zmarszczył, w oczach błysnęła nienawiść i rzekł głuchym głosem:

— Ja dziś trafiłem na goja, na takiego łajdaka i zbója, że ja nie spocznę, póki się nie zemszczę na nim... jabym go zabił, zadusił za to, co on mi śmiał zrobić.

Gniew jego był tak szczery, oburzenie tak wielkie, że i żona i syn odczuli boleść jego, i Sasza odezwał się patrząc ze współczuciem:

— Ojcu może zaszkodzić taka irytacya, stratę pieniędzy można odrobić, ale zdrowia trudniej. Od tego on łajdak, żeby oszukiwał... ile ojciec poniósł szkody?

To pytanie stropiło starego, bo istotnej szkody nie poniósł, odparł tedy wymijająco:

— Czy to się da zaraz obliczyć?... ale ten goj ośmielił się zarzucić mi bankructwo... on natrząsał się ze mnie, po rusku nie chciał rozmawiać... jemu się zdawało, że on pan... Co tu dużo gadać, on mnie obraził i wszystkich naszych. Czy rozumiesz?

— Jak ja mam rozumieć, kiedy nie wiem, o co poszło?

— Czy tobie to nie wystarcza, że on twego ojca skrzywdził? że mi wymyślał? — zawołał gniewnie, — czego ty chcesz więcej? Czy miał mnie zabić?

W tej chwili weszli Markun i Aleksy, który słysząc w przedpokoju gniewny głos ojca, zapytał z progu:

— Co się stało? Co jest ojcu?

— Co? — zawołała matka oburzona, ojca twego oszukał... skrzywdził... sponiewierał jeden goj!

— Jaki to goj!

— Tutejszy.

— Co!? — krzyknął gniewny, — Polak?!... Jak on śmiał to zrobić z naszym?... I ojciec nie

wybił mu wszystkich zębów? Nie skopał go nogami?

— Nu, co miałem począć? Jak była cała kupa... może dziesięciu... może więcej? Albo ja wiem?

— Od czegóż policya? Ona musi bronić Ruskich od napaści innoplemieńców. Czy ojciec był na policyi?

— Ja byłem taki oburzony i zły, że nawet nie pomyślałem o tem.

— To źle, tych Polaków trzeba zaraz nauczyć, jak mają się zachowywać z nami... Ja idę teraz na policyę, ja go zaskarżę, ja go nauczę... Jak on się nazywa? gdzie mieszka?

— Aj, nieszczęście! — wmieszała się matka troskliwa o syna, — naco tobie Aleksy te awantury? Ojciec sam to zrobi, — i spojrzała na męża błagająco.

— Nie, niechże ojciec mówi, — grał rolę bohatera Aleksy, — ja muszę nauczyć tego Polaka... ja sam pójdę do niego, wybiję mu zęby, połamię mu wszystkie żebra! Ja nie mogę znieść tego, ażeby taki ubliżał nam, moskiewskim kupcom. Jeśli takiemu Polakowi raz jeden się przebaczy, to on sobie zaraz na gorsze rzeczy pozwoli... czy nie tak?

Fiszkun z wdzięcznością i uznaniem spojrzał na syna, skinął głową na znak zgody, a po chwili rzekł:

— Siadaj Aleksy i ty Markun, ja wam coś powiem...

Gdy usiedli, zwrócił się najpierw do żony:

— Malciu, ty im daj herbaty... Ja sam chciałem zaskarżyć go do sądu,—mówił zwolna,— i on byłby skazany na pięć, dziesięć dni, nu, i co z tego? Ci goje polscy uważają sobie za honor siedzieć w ruskiem więzieniu... on byłby posiedział, a jaka dla mnie korzyść?

— To prawda, — mruknął Markun.

— Nu, tak, — skinął głową Aleksy, — ale co ojciec myśli? Tego nie można mu darować... to nam wszystkim zaszkodzi... on będzie się chwalił, że naszym tak zrobił...

— Ty, Aleksy, nie potrzebujesz mnie uczyć, co ja mam z nim zrobić? — uśmiechnął się przebiegle,—ja go zniszczę, zrobię żebrakiem, on do mnie przyjdzie po prośbie, a ja pokażę mu drzwi, jak on mnie... ja go każę wyrzucić! Co?

— Czyż on ojcu kazał wyjść? — spytał Sasza, czerwieniąc się.

— Kto ci to mówił?—zawołał oburzony, — on mi tylko groził... nawet i to nie... on miał taką minę... a mnie to wystarcza, ja przecież kupiec moskiewski... a on co? Taki dziad, taki hołysz!

— Tylko niech mu ojciec nie daruje, — odezwał się surowo Aleksy, — bo ojciec za

dobry, a to może nam wszystkim popsuć interesa... Czy wie ojciec, co ja dziś słyszałem?

— Nu, skąd ja mam wiedzieć?

— Ja, z moim znajomym, zaszliśmy do restauracyi...

— Dlaczego ty, Aleksy, chodzisz po restauracyach? — przerwała mu matka, — czy ty nie masz domu? czy ja ci żałuję?

— Poco mama się miesza? Ja miałem interes do sekretarza cyrkułu, czy ja jego do nas zaproszę?

— Nu, nie, ty gadaj, Aleksy, — powiedział ojciec. Czy ty zrobił z nim co trzeba?

— Ja zrobił, — skinął głową, — i ja mu pokazał napis szyldu mego, a on mi powiada: ot, miło spotkać na obczyźnie swego, wy prawdziwie ruski człowiek i pilnujecie naszego języka... ja to dołożę naczelnikowi, będzie z was kontent, bo Warszawę trzeba nam koniecznie zrobić rosyjską.

— Aj, aj, on tak powiedział! — zawołał ucieszony Markun, — to ważne słowo, ono warte dużo.

— Ja nie mówię: nie — rzekł Fiszkun, — taki sekretarz może wiedzieć skąd wiatr wieje... ale dużo na to nie można rachować.

— A ja myślę, że nic, — odezwał się niespodzianie Sasza, — bo i kto nas wypędził?

— Sasza! — zawołał ojciec, — ty mówisz

głupstwa... to jest polityka. Oni nas na jakiś czas wypędzili, ażeby swoi dorobili się pieniędzy, i oni chcą nas wypróbować, czy można na nas liczyć?

— Domysły, przypuszczenia... plotki, — uśmiechnął się Sasza, — nic nam nie dadzą, a jak pogodzą się z Polakami, to nas znów wypędzą.

Stary chciał coś odpowiedzieć, ale przerwał mu Aleksy:

— Co ojciec będzie rozprawiał z takim upartym kozłem? — śmiał się, on nawet tak prostej rzeczy nie rozumie, że gdzie dwóch się bije, my musimy trzymać z mocniejszym, bo dlaczego i my mamy być bici ze słabszym?

— Tak, tak, — mruczał Markun.

— Aleksy zawsze ma rację, — dodała rozpromieniona matka, — on mądry.

— Nu, dlaczego ty milczysz? — zawołał wesoło Aleksy, — może usłyszymy coś mądrego od Saszy?

— Nu, ja nie mogę zgodzić się z twoją mądrością.

— Ojcze, słyszysz? — zawołał drwiąco Aleksy, — on chce trzymać z Polakami... aj, co to za rozum?!

Stary spojrzał chmurnie na Aleksego, na Saszę i rzekł:

— Ty, Aleksy, nie obrażaj brata twego; czy Sasza waryat, żeby szedł z Polakami? Co on może zarobić na tem? A chociażby i miał zarobek, to czy on porzuci swoich?

— Nu, ja nie wiem — powiedział złośliwie Aleksy, — czy on kiedy odprawia modlitwy, minche albo marew? Ja nie widziałem tego, może mama widziała?

— Cicho, Aleksy! — zawołał ostro ojciec, — nie twoja rzecz... ja wiem, że Sasza zawsze będzie wierny zakonowi... Nu, teraz idźcie, ja mam pogadać z Szymonem Saulowiczem.

Gdy opuścili pokój, Markun spytał półgłosem:

— Mojsze, nu i co?

— Co?... On nie chciał nawet słuchać, on sobie żartował ze mnie, kpił...

— To łajdak! — mruknął Markun.

— Łajdak? to mało... to bezczelny złodziej! On wszystkie zyski ma z Rosyi i nie chce mówić po rosyjsku.

— Nu, i jak ty, Mojsze, z nim skończył?

— Co miałem kończyć? kiedy nie zacząłem interesu. On się na mnie rzucił jak wściekły pies, ale ja mu to odpłacę.

— Nu, co będzie? On goj, ty możesz z nim zrobić, co zechcesz, ale co słychać z interesem?

— On będzie... a Falutyński, ten pies, ten osioł, pójdzie na żebry.

Markun spojrzał bacznie w oczy gospodarza i rzekł po chwili:

— Mojsze, ja tobie coś powiem.

— Nu...

— Ty zanadto bierzesz sobie do serca słowa tego goja, ty pomyśl, co to jest goj? On jest pies, osioł, bydlę, co mnie obchodzi jego ryk? Niech on sobie ryczy, a ja zrobię interes.

— Jak ja ci mówię, że interes stoi, to on jest pewny.

— Ale jak?

— Ty wiesz, że dom eksportowy Leopolda Kleinwega wysyła obuwie... nu, my zrobimy spółkę, i ani jednej pary nie wyszle Falutyński... on musi zbankrutować, w tem moja głowa.

— A co ze mną będzie? — spytał Markun zaniepokojony.

— Z tobą?... Ty będziesz miał swoją część... Dlaczego ty pytasz?

— Nu, Mojsze, posłuchaj. Kleinweg jest z naszych... czy nie tak?

Fiszkun bębnił palcami po stole i zawołał zniecierpliwiony:

— Ty mów!

— Jak on ma dobry interes sam... poco

jemu spólnika? — pogładził brodę i patrząc bystro, mówił: — on nie zechce... i mój plan lepszy, kupować obuwie i wysyłać z obniżeniem ceny.

— Na twój plan mamy czas... ja najpierw rozmówię się z Kleinwegiem.

W przedpokoju odezwał się dzwonek i za chwilę wszedł Juda Suderow, który w progu mówił po przywitaniu:

— Wielka szkoda, że was nie było dzisiaj na minche.

— Nu, co się stało? — spytał Fiszkun.

— Dziś była bardzo ważna rozmowa.

— Jaka?

— Pierwszy zaczął Ozyasz Izakowicz i powiedział, na co my mamy się kłócić z tutejszymi? Czy reb Dawid nie powiedział, że mamy iść w kupie? że nam będzie dobrze, że nam oddadzą srebro i złoto swoje?

— Co dalej?... Ja to już słyszałem, — odrzekł Fiszkun, — co inni na to?

— Inni podnieśli wielki hałas, każdy mówił, nikt nie słuchał... Dopiero Pinkus trochę ich uspokoił, nu i ja do nich kilka słów przemówiłem.

— Co ty mówił? — spytał Markun.

— Ja im po prostu powiedziałem, że nas w prywiślańskim kraju jest blizko dwa miliony, a w samej Warszawie dwieście siedem-

dziesiąt tysięcy, czyli trzecia część Warszawy; nu, dlaczego ona cała nie ma być nasza? Czy źle mówiłem? — spojrzał na Fiszkuna, czekając jego pochwały.

— Wy, Juda Salomonowiczu, powiedzieliście dobre słowo. Wszystko dobre mówią cyfry... nu, co dalej?

— Ja im też wyłożyłem, — zaczął podniecony Suderow, — że jak my będziemy razem, kto nas przemoże? Polacy nie są ani do handlu, ani do przemysłu, tylko my, to kto tu zapanuje? kto weźmie w ręce ich bogactwa?

— Nu, nu, u was głowa, — pochwalił znów uśmiechnięty Fiszkun.

— Tylko nam nie trzeba się kłócić, ale iść razem, w kupie, a ci nasi, tutejsi, oni politykują z Polakami. Naco to? poco? Nam trzeba wziąć wszystko w ręce, niech oni nam służą, a nie chce który z nich, to niech go szlag trafi, ja nie będę go żałował, — śmiał się głośno, — nu, ani wy?

— Niech przepadnie, — zaklął Markun.

— I na czem stanęło? — spytał gospodarz.

— Wybraliśmy komitet, żeby między nami a tutejszymi nastała zgoda.

— To dobrze, — mruknął Fiszkun, chociaż w głębi duszy był niezadowolony, że bez niego uchwalono rzecz tak ważną.

— Nu, do komitetu wybrano i was, Mojżeszu Dawidowiczu, ja z tem do was przychodzę, czy przyjmujecie wybór?

Twarz Fiszkuna rozjaśniła się, pochlebił mu ten wybór i rzekł po pewnej chwili:

— Co ja mam robić? Swoim życzę jak najlepiej, dlaczego nie mam być w komitecie?

— Ja wiedziałem, że tak będzie—uśmiechnął się Suderow, — wy dobry i mądry człowiek... I wszyscy was proszą, ażebyście poszli do Kleinwega... do Leopolda Kleinwega...

Gospodarz z Markunem zamienili wymowne spojrzenie.

— On ma wielkie znaczenie u tutejszych... jemu trzeba wytłomaczyć, że nam trzeba iść razem... to my zawojujemy cały ten kraj.

— Ja to wiem, — skinął głową Fiszkun i kręcąc brodę dodał po namyśle: — ja i tak do niego miałem iść w interesie, ja pójdę.

— A teraz ja mam wam coś powiedzieć, Mojżeszu Dawidowiczu.

— Mówcie.

— Nam trzeba zbliżyć się z tutejszymi nietylko w interesach, ale żyć razem, mieć te same przyjemności, zabawy... Czy nie tak?

— Ja słucham, — skinął głową gospodarz.

— Wy, Mojżeszu Dawidowiczu, wychowaliście dobrze, chwała Panu Bogu, wasze dzie-

ci... wy sam i żona, to u nas najpierwsi... wy zróbcie początek, a za wami pójdą inni.

— Co ja mam zrobić?

— Wy przyjechaliście teraz do Warszawy, złóżcie wizyty tutejszym... to ich dobrze usposobi.

— Nu, ja się namyślę.

— Co tu zwlekać? Tutejsi przyjmą was z otwartemi rękami... czy oni nie wiedzą, kto jest Fiszkun? — uśmiechnął się, — wy macie dwóch synów kawalerów i córkę pannę... czemu nie mają się zabawić? To im wyjdzie na zdrowie.

— Mojsze, — odezwał się dotychczas milczący Markun, — dlaczego nie masz iść z rodziną do Kleinwega? on także ma córkę i dwóch synów.

— Może pójdę... ja nie wiem, — powiedział wymijająco, nie będąc pewnym, jak się ułoży interes z Kleinwegiem, — a może wam herbaty, Juda Salomonowicz?

— Nu, nam herbata nigdy nie zaszkodzi, — uśmiechnął się.

Gospodarz wyszedł na chwilę, a gdy wrócił, zaczęła się ożywiona rozmowa o znajomych, kto i jakie interesa rozpoczął.

— Nu, a wy, Juda Salomonowicz, czy macie jaki interes na myśli? — spytał Markun.

— Ja mam... ale teraz czeka mnie wielki

kłopot w domu, to ja nie mam głowy, — westchnął.

— Jaki to kłopot? — rzekł gospodarz.

— Z moją żoną, ona nie chce siedzieć w Warszawie.

— A gdzie ona chce?

— Do swoich wraca... Ona bezdzietna, to nic jej nie wiąże.

— A dlaczego ona bezdzietna? — spytał Fiszkun.

— Ja byłem z nią u najsławniejszych doktorów, oni powiedzieli, że dziecka nie może mieć.

— Czemu nie wzięliście rozwodu? — dorzucił Markun, — wy przecież młody człowiek, możecie mieć pociechę z dzieci. Ile wam lat?

— Ja mam trzydzieści pięć lat... ja dawno chciałem rozwieść się, ale jej familia tak prosiła, że ja jeszcze czekałem.

— To wam teraz bieda, Juda Salomonowiczu, bez żony źle, — współczuł Markun.

— Ja się też ożenię... tylko wpierw założę interes. Jak on mi pójdzie, to mogę wziąć i najbogatszą.

— Jakiż to interes? — dopytywał się Fiszkun zaciekawiony.

— Na razie nie mogę powiedzieć, ale to wam mówię, że wy, Mojżeszu Dawidowiczu,

pierwsi się dowiecie, bo potrzebna mi wasza mądra rada.

— I jaki to interes? — badał Markun, — manufakturny? galanteryjny? eksportowy? przemysłowy?... naco te wielkie tajemnice, czy my nie swoi? — i patrzał przenikliwie, gdyż zrodziło się w nim podejrzenie, iż Suderow ma zamiar zacząć z obuwiem.

— Co wy, Szymonie Saulowiczu, taki ciekawy? — uśmiechnął się Suderow, — mój interes nie wejdzie nikomu z naszych w drogę.

— Naprawdę? — spytał powątpiewająco.

— Klnę się na moją duszę, — i zwracając się do gospodarza: — nu, Mojżeszu Dawidowiczu, wy postarajcie się o zgodę synów Izraela, a my będziemy rządzili w tym kraju.

— Czy ja sam tego nie chcę? Jak nas tu jest dwa miliony, to muszą się spełnić słowa reb Dawida.

— I ja tak myślę, — dodał Suderow.

Zaś Markun zawołał z twarzą rozjaśnioną:

— One się spełnią! Ja wiem!

## V.

Fiszkun zaraz nazajutrz udał się na ulicę Chmielną, do domu eksportowego Leopolda Kleinwega.

W biurze, przedzielonem od publiczności drewnianą baryerą, zastał trzech pisarzy zajętych pracą, z których jeden, spytał go uprzejmie:

— Czem mogę panu służyć?

Trochę dotknął Fiszkuna polski język, ale ze względu, że pytający był żydem, odpowiedział grzecznie po rosyjsku:

— Ja chciałbym z gospodarzem się zobaczyć, czy jest w kantorze?

— Zaraz zapytam, — rzekł po rosyjsku — a kogo mam zameldować?

— Mojżesz Dawidowicz Fiszkun.

Po chwili, w progu przyległego pokoju zjawił się prokurent firmy, młody, z brodą szatyn, z rysami semickiemi i spytał:

— Czego pan chce od szefa?

— To mój osobisty interes, ja mogę go załatwić tylko z gospodarzem.

— No, niech pan zaczeka... ja się spytam.

Gdy wrócił po pewnym czasie, powiedział znacznie uprzejmiej:

— Szef prosi pana Fiszkuna.

Ten ton głosu mile połechtał próżność przybysza i z uśmiechem zadowolenia poszedł do wskazanego biura.

— Zdrastwujtie! — zawołał z progu tonem serdecznym.

— Dzień dobry, panie Fiszkun... proszę siadać — wskazał krzesło.

Ta polska odpowiedź zmroziła wesołość Fiszkuna, spojrzał bacznie na Kleinwega. Był to człowiek nizki, szczupły, mocno szpakowaty, z wąsami siwemi i prócz ciężkich powiek i nosa garbatego, nic nie zdradzało semity.

— Daruje pan, ale ja nie umiem po polsku — powiedział uprzejmie Fiszkun.

— Prawda... to przez zapomnienie — mówił złym akcentem po rosyjsku — jak się ma klientelę polską, człowiek się przyzwyczaja.

— Ja to rozumiem, — skinął głową Fiszkun — ale mimo tego, mnie to dziwi trochę.

Kleinweg lekko spochmurniał, lecz nie zmieniając uprzejmego wyrazu twarzy spytał:

— Czemuż mam zawdzięczać przyjemność poznania pana?

— Ja wam zaraz powiem, panie Kleinweg... ale, daruj pan, jak wasze „otieczestwo?“

— Ojciec nosił imię Wilhelm... ale mówcie do mnie po prostu Kleinweg, taki u nas zwyczaj.

— Nu, dziwny zwyczaj, — potrząsł Fiszkun głową — tak panie Kleinweg, słuchajcie. Ja wiem, że was tutejsi bardzo szanują i cenią, wszyscy o was mówią... wasze słowo znaczy bardzo dużo... nu, i ja cieszę się wśród swoich zaufaniem, oni wierzą memu słowu i zawsze po radę do mnie przychodzą.

— Tak, tak... słyszałem o was, panie Fiszkun, dużo dobrego.

— A czy ja dla swoich mogę być zły? — uśmiechnął się — my zawsze powinniśmy się trzymać, jeden drugiemu pomagać, wspierać, bo i co byłoby z nas wśród goimów. Czy nie tak, panie Kleinweg?

— Wy macie racyę, panie Fiszkun... o co idzie?

— Jest dwie sprawy, panie Kleinweg... z jedną, to mnie do was przysłano... druga, to moja osobista. Od której mam zacząć?

— Wszystko mi jedno — rzekł dość obojętnie.

— Ta sprawa nasza... wspólna... ja ją zo-

stawię na koniec, a najpierw pomówię o moim interesie.

— Słucham.

— Wy, panie Kleinweg, wysyłacie różne towary do Rosyi... ja to wiem... Wysyłacie też warszawskie obuwie, bo dlaczego nie macie wysyłać, jak od was żądają?

Kleinweg, przy wzmiance o swym eksporcie, spojrzał baczniej na mówiącego i jął pilniej słuchać.

— No tak... cóż dalej?

— Oprócz was wysyła ten towar dużo innych eksporterów, a pomiędzy nimi jest też jeden przeklęty goj, Falutyński — powiedział z obrzydzeniem.

Kleinweg uśmiechnął się z lekką ironią i spytał tonem grzecznym:

— Panie Fiszkun, kto pana tak mylnie poinformował o Falutyńskim?

— Nu, ja wiem, dlaczego tak mówię.

— Pan się myli, panie Fiszkun, ja znam dobrze Falutyńskiego, to porządny człowiek i uczciwy kupiec.

Z przykrem zdziwieniem wysłuchał tych słów Fiszkun i uśmiechnął się drwiąco:

— Panie Kleinweg, ja sądziłem, że mówię z naszym, dla którego swój jest bratem, a widzę, że pan masz słabość do gojów i antysemitów.

— Czy dlatego, że pochwaliłem Falutyńskiego? — uśmiechnął się.

— Nu, panie Kleinweg, jeśli ja współwyznawca, Fiszkun, powiadam wam, że ten goj, to gorszy psa, wam powinno to wystarczyć, bo ja bez powodu ważnego nie brudziłbym swoich ust jego nazwiskiem.

Ta gorąca przemowa nie podziałała jednak dostatecznie na Kleinwega, bo spytał chłodno:

— Wolno wiedzieć powody pana?

— Ja powiem. On mnie, Fiszkuna, nazwał bankrutem, prawie oszustem, zachował się grubiańsko, groził mi biciem... Czy to panu wystarcza? — kończył z goryczą.

— Jeśli tak było, pan masz prawo o nim źle mówić.

— Co znaczy jeśli? — zawołał gniewnie — to, ja, Fiszkun, mówię i powinno panu wystarczyć, — a następnie dodał spokojniej: — wy tu dziwni ludzie, swoim nie dowierzacie, a goimów bierzecie w obronę.

— No, niech się pan uspokoi... o co panu idzie? jaki interes?

— Ja chcę się zająć eksportem obuwia, chwała Bogu, mam trochę kapitału, dlaczego on ma leżeć?

— Zapewne... kapitał powinien pracować... cóż dalej?

Ja przyszedłem poradzić się pana w jaki

sposób wziąć się do interesu. Przychodzę jak swój do swego... ma goj zarabiać, przecież lepiej, że swój założy interes.

— Pan stawiasz mnie w kłopotliwem położeniu, — zaczął Kleinweg — pan będziesz moim konkurentem i żądasz rady... to nie uchodzi.

— Nu, ja wiedziałem, że pan mi tak odpowie... ale klnę się na wszystkie świętości, że ani jednego z odbiorców pana nie obsłużę... zakażę moim ajentom chodzić do nich.. Czy my nie możemy razem zrobić interesu? Dlaczego goimy mają zarabiać?... My cały handel weźmiemy w swoje ręce. Czy to źle?

— Hm... widzi pan, — mówił z namysłem Kleinweg — obuwie stanowi w moim eksporcie tylko jeden dział, nie chcę ryzykować zbyt wielkiego kapitału... ja mam swoich pewnych odbiorców, inni również mają... walka będzie trudna i długa, a nieuczciwa konkurencya może zniszczyć cały przemysł i przyniesie nam, eksporterom, bardzo poważne straty.

Fiszkun na razie zdumiał się, co ten człowiek mówi o nieuczciwej konkurencyi? o jakiemś zniszczeniu przemysłu?... Co to ma znaczyć?

Nagle uśmiechnął się, zrozumiał grę. Kleinweg, nie chcąc mu wprost odmówić pomocy, odgrywa komedyę; nu, na komedyę jest ko-

medya, i on potrafi ją zagrać. Twarz swoją ubrał w żałobną powagę i rzekł:

— Jak wy możecie mieć takie brzydkie myśli o mnie, panie Kleinweg? Ja chcę ten przemysł warszawski rozwinąć, rozszerzyć... dlaczego on ma iść tylko do Rosyi europejskiej? Czy w Irkucku, Astrachaniu, Władywostoku, nie mieszkają urzędnicy, wojskowi i różne damy? Niech on tam pójdzie, niech oni płacą... ale dlaczego goimom mają płacić za to, że my damy odbiorców? Dlaczego taki goj, Falutyński ma zarobić, a nie ja?... Nu, komu się należy zarobić, jemu? czy mnie?

— Naturalnie, jeśli pan zyska nowe rynki zbytu, pan powinien zarobić.

— Nu, i ja mam stosunki, mam drogi, i tych mniejszych eksporterów my zjemy — uśmiechnął się — i zostaniemy tylko my i nasi, a nasi potrzebują zarobku, bo u nich bieda, u nich głód.

— Ja to wiem, — westchnął — ale uprzedzam pana, że to trudny interes. Szewcy warszawscy trzymają ze sobą, towar drogi, zarobek niewielki... No, i taki naprzykład Falutyński, ma swoją markę, nie będzie łatwo wyrugować go od kupców moskiewskich i petersburskich.

— To już moja głowa... czy interes stoi? Przystępuje pan do spółki?

— Już powiedziałem, że nie mogę i nie chcę wkładać znaczniejszego kapitału w jeden dział mego domu.

– Nu, a pomoże mi pan? Da mi pan wskazówki? Niech mi pan da gatunek skóry, jej cenę, adresy garbarni, majstrów, ceny... a ja sam rozpocznę interes.

— Hm... to mogę zrobić, ale pod warunkiem. Wy, panie Fiszkun, nie wyślecie ani jednej pary, ani żadnego ajenta do moich odbiorców... to są moi. Rozumiesz pan?

– Ja nietylko dam słowo, ale zobowiążę się na piśmie do tego... naco mi wasi odbiorcy? Czy Rosya taka mała, że nie pomieści nas dwóch? — zaśmiał się — a kiedy dostanę te szczegóły?

— Kiedy? Czy panu pilno?

– Jak wy możecie tak pytać, panie Kleinweg? Każdy dzień to strata, a wydatki wielkie, mam przecież chwała Bogu dzieci i ja przyzwyczajony żyć dobrze i nie żałować dzieciom.

— Ja polecę prokurentowi memu, ażeby przygotował dla pana potrzebne wskazówki, za kilka dni niech się pan zgłosi. A gdzie pan mieszka?

— Na Twardej; ja mam cztery pokoje, przedpokój i kuchnię, ja drogo płacę, ale jak kto ma dzieci, to co ma robić?

— Ile pan ma dzieci?

— Pan Bóg dał mi troje. Mój starszy syn, Aleksy, on ma teraz swój interes.

— Jaki?

— On robi w towarze platerowanym, jak mu się powiedzie, to zrobi wkrótce pieniądze.

— Platerowany? — zdziwił się lekko — to niełatwy interes... ja znam się na nim, bo sam eksportuję dużo tego towaru.

— Mój syn Aleksy ma swój rachunek i dobry, kiedy ja mu dałem kapitał na prowadzenie.

— Czy to spółkowy interes?

— Teraz tylko ja i on, a jak będzie trzeba, on znajdzie wspólnika.

— No... zapewne brata.

— Brata?... Saszę?... Nie, on jeszcze młody, on ma dwudziesty rok, i on lubi książki, — westchnął — on chce się uczyć, już zdał sześć klas w gimnazyum... ale pan wie, jak naszych nie dopuszczają.

— Wiem... wiem — westchnął — i ile to kosztuje, bo i ja mam syna w tym wieku.

— Ja jeszcze mam córkę, Sonię, ona ma siedemnasty rok, ona edukowana i w głowie ma dobrze.

— A do jakiej szkoły ona chodziła?

— Ona?... Do pensyonatu prywatnego... jej

nauka drogo mnie kosztowała, ale teraz takie czasy, że i dziewczęta muszą się uczyć.

— A tak... tak. I ja mam córkę w tym wieku, ona bardzo muzykalna.

— Ileż pan ma dzieci?

— Dwóch synów i córkę.

— To tak, jak ja! — zawołał Fiszkun — jak to dobrze się składa.

— Dlaczego?

— Zaraz powiem... to jest ten drugi interes... nasi mnie uprosili, żebym do was, panie Kleinweg z nim przyszedł.

— Więc pan jesteś delegatem, i od kogo?

— Nu, nasi... my, z Moskwy, mamy nasz b e t h a m e d r i s z, tam schodzą się sami kupcy, dobre firmy i oni mnie wysłali... to bardzo ważny i bardzo delikatny interes... Czy pan wie, ile nas jest w prywiślańskim kraju?

Kleinweg trochę zdziwiony spojrzał na mówiącego, a ten prawił w dalszym ciągu:

— Nas jest dwa miliony, a w samej Warszawie dwieście siedemdziesiąt tysięcy... pan wie, co to znaczy?

— No?

— To nasz cały kraj... dlaczego nasi mają cierpieć biedę, kiedy do nich może wszystko należeć, a goje będą nam służyć. Czy nie tak?

— To fantazya, panie Fiszkun — uśmiechnął się niedowierzająco.

— Co fantazya!? — zawołał — to prawda! Jak my będziemy iść razem, co Polacy zrobią, nu, co?

— Zapominasz pan, że ich jest przeszło dziesięć milionów.

— To i co? Czy mają w ręku handel? czy mają przemysł? fabryki?... Oni mają ziemię, niech ją uprawiają, ale my będziemy kupowali i eksportowali; oni mają lasy, ale my kupimy drzewo... my będziemy głową, a oni rękami co dla nas robią; czy to źle?

— Byłoby bardzo dobrze, panie Fiszkun, gdyby wszyscy żydzi byli tacy jak ja i pan, ale takich jest może dwa, może trzy tysiące... a reszta? Czy pan był na Nalewkach? na Muranowie? w naszych małych miasteczkach?

— Ja to wiem, ale każdy z nich jest mądrzejszy od goja... oni będą nam pomocą... My to już wszystko obmyślili i tak będzie... Czy pan wie, co powiedział reb Dawid Friedman z Pińska?

Uśmiech niedowierzania i lekceważenia przemknął na twarzy Kleinwega, ale natychmiast spoważniał i spytał:

— Cóż takiego?

Uśmiech ten, jakkolwiek przelotny, dostrzegł Fiszkun, zgorszył się tem i rzekł z naciskiem:

— Wy w tym kraju tak opolaczeli, że nie znacie sławy i chluby Izraela, reb Dawida. Od śmierci błogosławionego reb Akiby nie było na ziemi mądrzejszego człowieka.

— Wierzę... cóż reb Dawid powiedział?

— Reb Dawid rzekł: idźcie razem jak bracia, pilnujcie zakonu, pomagajcie sobie we wszystkiem, a gdzie wy będziecie, ziemia będzie wasza, całe złoto i srebro nieobrzezanych będzie wasze, a oni będą waszymi niewolnikami... Tak on powiedział! — kończył z dumą.

— Bardzo ładnie, — podjął Kleinweg — tylko, że skoro przyszliście do nas, to najpierw zaczęliście nam szkodzić, kłócić się, usuwać się od nas... Ileż to ja skarg i żalów słyszałem.

— Ja to wiem... i dlatego dzisiaj do was przyszedłem. Nam wszystkim potrzebna zgoda, nam trzeba żyć jak bracia, to goimów pokonamy i oni będą naszymi niewolnikami.

— Ależ tego i my pragniemy — ożywił się Kleinweg — wprawdzie nie chcemy wszystkich Polaków mieć niewolnikami, bo my liczymy się z faktami... ale chcemy zgody w Izraelu i żyć zgodnie z mieszkańcami tego kraju.

— Nu, ja was, panie Kleinweg, miałem za lepszego... polityka. Wy tu wogóle w tym kraju zapatrzyliście się w małe, gubernialne

miasteczko i nie wiecie, co Sybir, Kaukaz, Turkiestan...

— Niech nas pan nie uczy, panie Fiszkun, my także znamy geografię... ale i to wiemy, kto nas nienawidzi, krępuje we wszystkiem.

— Poco te rzeczy paskudne wypominać... nu, a co było w Babilonie? a co było, jak nam zburzono święte nasze miasto? A czy my nie wytrzymali tego? Oni wszyscy poginęli, nu, a kto żyje?... My liczmy się ze silniejszym, a słaby będzie naszym niewolnikiem. My wszystkich zwyciężymy, bo do nas należy cały świat, czy nie tak?

— Hm... to przyszłość pokaże, może blizka, może daleka, ja nie wiem, na teraz jednak, my tu mieszkamy i musimy dążyć do znośnego życia i rozwoju.

— Tego i my chcemy, ale nie godzimy się na wasze środki i sposoby. Polacy nam nic nie dadzą, a co od nich potrzebujemy, możemy sami sobie zabrać, nie pytając o ich pozwolenie. To z kim mamy się liczyć? Bo kto nam da dostawy? kto ma siłę? kto policyę? wojsko? komu muszę się opłacić, ażeby mieć spokój? Nu, komu? Z tymi tylko musimy się liczyć. Czy nie tak?

— No... i cóż dalej? — spytał spokojnie Kleinweg.

— Jakto, co dalej? — zawołał podrażniony

Fiszkun — trzeba żebyście zrozumieli naszą politykę i szli z nami. Poco wy sobie zawracacie głowę Polakami? Nam trzeba trzymać się kupy, a wszystkiego dokonamy. Cóż wy na to?

— Hm... co tu mówić? My przecież we dwóch nic nie decydujemy... Pan jesteś tego zdania, ja innego, ale to nam nie przeszkadza pomagać sobie, wspierać się wzajemnie.

- Nu, a kto rozstrzygnie między nami? Czy my mamy gubernatora? — zaśmiał się — my możemy tylko między sobą to zrobić.

— Ja się namyślę... poradzę się z innymi... to sprawa zbyt ważna, ażebym sam decydował i my niepotrzebnie tracimy czas na dyskusyę. Czy może mi pan dać realne warunki ugody?

— Co za warunki? Jakie warunki?... Ja tego nie rozumiem. My pierwsi przychodzimy do was i chcemy zrobić zgodę, wy chodźcie z nami i będzie wszystko dobrze.

— A my powiadamy, uśmiechnął się Kleinweg — chodźcie wy z nami i nam wszystkim będzie dobrze... i do czego to prowadzi?

— Cóż wy myślicie, panie Kleinweg?

— Ja myślę, że trzeba ażebyśmy się do siebie zbliżyli, poznali się, zrozumieli... a przez to samo upadną te powierzchowne różnice, które nas na razie dzielą.

— Nu, dobrze... i my tak sądzimy. Ja pierwszy dam dobry przykład, nam trzeba żyć ze sobą. Ja przyjdę do pana z familią w odwiedziny... wy macie dzieci, niech się oni poznają, zabawią, a my sobie pogadamy.

Kleinweg, któremu ta wizyta nie bardzo smakowała, zmusił się do uprzejmości i rzekł z uśmiechem:

— Bardzo nam miło będzie powitać państwa u nas... tylko, że my cicho, skromnie żyjemy, ja cały dzień zajęty w kantorze.

— A pan myśli, że ja próżnuję? śmiał się głośno — ja cały dzień na nogach, a pan ma interes pewny, wszystko jak w zegarku. U mnie jak w karczmie, jeden interes wyjeżdża, drugi interes przyjeżdża — śmiał się głośno.

— To do czasu i nie wątpię, że wkrótce zajmie się pan interesem stałym.

— I ja tak myślę — wstał z krzesła — i kiedy mam przyjść po informacye?

— Za trzy, cztery dni — podał rękę na pożegnanie — bardzo przyjemnie mi było poznać pana.

— Ja także kontent z tego... a my jutro lub pojutrze będziemy z familią. Gdzie pan mieszka?

Kleinweg dał swój adres, a gdy pożegnał gościa, zawołał do siebie prokurenta i rzekł:

— Panie Moryc, u mnie był Fiszkun z Moskwy, pan go widział?

— Tak jest.

— On chce założyć interes eksportowy z obuwiem. Co pan na to?

— Ja myślę, że on nas może poderwać... to była w Moskwie dobra firma.

— Może pan ma racyę... On prosi mnie o informacye co do skór, garbarni, szewców, ceny... niech mu pan da... nie nasze ceny, ani nazwiska naszych dostawców... tylko ogólne. Pan mu da wykaz, niech on szuka.

— Rozumiem.

— On tu będzie za dwa dni, niech pan przygotuje.

## VI.

— Ojczulku — zawołała Irena Kleinweg, ładna, szczupła szatynka — a kiedy przyjdą ci Ruscy?

Ojciec spojrzał na zegar, wiszący w jasno oświetlonym jadalnym pokoju, a który wskazywał siódmą i rzekł:

— Przypuszczam, że około dziewiątej i prosiłbym was — spojrzał na żonę i syna — bądźcie uprzejmi dla nich, to nie jest zwykła, formalna wizyta.

— Czy to komisya egzaminacyjna? — zaśmiał się wesoło, ciemny blondyn, Mieczysław Kleinweg.

— Prawie zgadłeś, Mieciu — uśmiechnął się ojciec — bo to próba zbliżenia się Litwaków z nami.

— Ja myślę, że skończy się na próbie.

— Dlaczego Mieciu? — spytała matka, nizka blondynka ze śladami minionej piękności na pulchnej twarzy.

— Bo ci Litwacy zachowują się arogancko, chełpią się swą odrębnością, a wszystko co nasze lekceważą.

— Nie znam ich, nie mogę wiedzieć czy nie przesadzasz — odparła matka — a podaj ojcu popielniczkę.

Mieczysław postawił przed ojcem, który dopijał herbatę, popielniczkę i usiadł na swem miejscu.

— Ty sądzisz ich zbyt surowo — powiedział ojciec po chwili — zważ, że oni całe życie przepędzili zdala od nas, przejęli się inną cywilizacyą; ich tu wszystko razi.

— Co ich ma razić? — uśmiechnęła się Irena — czy mnie, Warszawiankę, razi Wiedeń, Paryż, wogóle zagranica?

— Irenko, ja ci powiem, co ich razi — zawołał brat wesoło — ich razi kultura nasza, sztuka, życie... im się zdaje, że skoro mówią po rosyjsku, my powinniśmy się im w pas kłaniać, wszędzie ustępować i potulnie znosić ich bezczelność.

— Mieciu! — rzekł ojciec surowo — ty zachowaj dla siebie podobne sądy... nie zapominaj, że to są nasi bracia, wygnańcy, że oni zmuszeni są szukać u nas schronienia, pracy, zarobku.

— Ach, ojczulek uderza w strunę sentymentu — zaśmiała się Irena — i ja jestem

gościnna, ale niechże gość do mnie się stosuje, niech nie rządzi w moim domu. Co powiedziałaby mama, gdyby nagle weszli goście i zaczęli krzywić się i krytykować, że stół źle nakryty, że jedzenie niesmaczne, meble źle ustawione, ubranie niewłaściwe...

— Że używamy wstrętnego języka — dorzucił Mieczysław.

— A, tak, tak — mówiła Irena — jakże wyglądałaby mama, co powiedziałby ojczulek tym miłym i uprzejmym gościom?... Jakże chciałabym widzieć miny szanownych gospodarzy! — śmiała się wesoło.

Wtem odezwał się ostry dzwonek w przedpokoju.

— To chyba nie Teodor — rzekła matka, spoglądając na zegar.

— Za wcześnie dla młodzieńca — uśmiechnęła się Irena — pewno nasz braciszek robi przegląd pań przed teatrem.

Przez jadalny pokój przeszła szybko zgrabna pokojówka do przedpokoju i po chwili dał się słyszeć gwar głosów. Weszła pokojówka, a gospodyni spytała:

— Kto tam, Zuziu?

— Jacyś obcy... pytają czy państwo w domu.

— To pewnie Fiszkunowie! — zerwał się z krzesła Kleinweg.

— Klociu, idź do salonu — dodał znikając w przedpokoju.

— Chodźcież i wy — zwróciła się do dzieci.

— Zaraz, niech się tylko starzy usadowią — zaśmiał się Mieczysław.

— Nie, nie... pozbędziemy się prezentacyi wstępnej — dorzuciła Irena.

W przedpokoju słychać było głośne słowa Fiszkuna, cieńszy a przenikliwy głos jego żony.

Wreszcie otworzyły się drzwi do salonu i pierwszy wsunął się Fiszkun w czarnym anglezie, który źle skrojony plątał się między nogami, a kołnierz podsuwał się wyżej kołnierzyka od koszuli.

Widząc gospodynię stojącą na środku salonu, posunął się ku niej z uśmiechem na grubych ustach, lewą ręką w białej rękawiczce odrzucił plątające się poły, skłonił się, poprawił podsuwający się kołnierz i wyciągając prawą rękę bez rękawiczki, ujął dłoń gospodyni i złożył głośny całus, mówiąc:

— Dobry wieczór, madame! — i obracając się mówił dalej po rosyjsku: — pozwólcie, że przedstawię wam moją żonę, Malcię — stanął obok Kleinwegowej, jak gdyby chciał przypilnować jej znalezienia się.

Panie podały sobie ręce i w tej chwili Malcia nachyliła się, przyciągnęła Kleinwegową

do siebie i głośno dwa razy ucałowała, mówiąc po rosyjsku:

— Bardzo mi przyjemnie z wami się poznać. Nasi mężowie w przyjaźni żyją, to i my możemy.

— A tak... tak... niechże pani usiądzie — powiedziała gospodyni wskazując fotel.

— Zaraz — zawołał Fiszkun — nu, a nasze dzieci, czy wy nie chcecie poznać się z nimi? Sasza! — skinął na syna, stojącego nieporadnie przy krześle — chodź tutaj... to, madame, jest mój młodszy syn, Sasza; on lubi tylko książki i bardzo dużo czyta.

— To będzie uczony — uśmiechnęła się gospodyni.

— Co? Uczony? Taki zawsze goły, a ja chcę syna bogatego; on sobie znajdzie dobry interes... nu, Sonia, to moja córka, skończyła pensyonat, chociaż taka młoda.

— Ładna panna — odezwała się po polsku gospodyni.

— Nu, ona ma urodę po mnie — uśmiechnął się z zadowoleniem — jak byłem młody, to byłem do niej podobny... Malciu, czy tak?

— Dlaczego nie? — uśmiechnęła się.

— Niechże państwo siadają — zapraszała gospodyni.

Fiszkunowa, szeleszcząc jedwabną suknią, przesunęła się między fotelami i stołem i za-

siadła na środku kanapki, rozkładając spódnicę, ażeby się nie zmięła. Bacznie obejrzała skromną suknię gospodyni, rzuciła okiem na jej ręce, na których dostrzegła tylko obrączkę i jeden pierścionek, i zwolna zaczęła ściągać jasne rękawiczki.

— Pani daruje — rzekła gospodyni, siadając na foteliku — że będę mówiła po polsku, ale nie władam dość biegle rosyjskim...

— Nic nie szkodzi — zawołał Fiszkun — ja wolę zły język ruski, aniżeli wasz tutejszy... ja mam taki gust.

— A może pani mówi po niemiecku? — spytała gospodyni w tym języku.

— Ja dawniej umiałam — odpowiedziała rumieniąc się — ale nie używałam, to wychodzi z głowy.

— Czy po polsku nie rozumie pani?

— Dlaczego nie? Trochę rozumiem, ja musiałam się nauczyć, bo służące nie umieją inaczej gadać — westchnęła.

Fiszkunowa spojrzała z lubością na swą rękę z czterema pierścieniami, co spostrzegłszy gospodyni chwaliła:

— Ależ pani ma śliczne pierścionki.

— Niczego sobie - uśmiechnęła się — ja lubię brylanty... ten kosztuje siedemset rubli...

— Który to Malciu? — zawołał mąż.

— Ten od Zarubajewa.

— A, ten!? To cała historya — rzekł Fiszkun — ja wam opowiem zaraz. Ja kupiłem w marcu od niego pszenicę z dostawą na sierpień, dziesięć tysięcy pudów i dałem zaliczkę. W kwietniu on znowu żąda pieniędzy na tę samą pszenicę. Ja powiadam dobrze, a co będzie, jak pan nie dostawi na sierpień? Wtedy on zdjął pierścień i powiada: wasz pierścień, jeśli nie dostawię.

— Nu, ja dałem pieniądze, a w sierpniu leje deszcz i leje, on mi dostawił dopiero dziesiątego września. Zarubajew upominał się o pierścień, ale on był przecież mój. Dla świętej zgody dałem mu sto rubli, bo powiedział mi jubiler, że wart siedemset... nu, ja darowałem go mojej Malci — śmiał się głośno.

W czasie tego opowiadania weszli cicho do pokoju Irena i Mieczysław. Słuchając Fiszkuna spojrzeli na siebie porozumiewawczo, a gdy skończył, odezwał się Mieczysław ze spokojną ironią w głosie:

— To był doskonały interes.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę, ojciec chmurnie, matka zmieszana; Sasza i Sonia poczerwienieli, tylko Fiszkun nie stracił humoru i dodał:

— Ja zawsze robię doskonałe interesa, to dla mnie nie nowina... a wy kto taki, młody człowieku?

— Mieczysław Kleinweg.

— Mój młodszy syn — dodał ojciec.

— Nu, poznajcie się ze Saszą.

— Moja córka Irena — prezentowała matka.

Młodzi spojrzeli badawczo na siebie, oceniali się wzrokiem.

Gdy pierwsze lody poznania zostały przełamane, młodzi uczuli się skrępowanymi w salonie, mimo, że siedzieli na uboczu, Irena i Sonia osobno, a dwaj chłopcy oddzielnie, wówczas rzekł półgłosem Mieczysław:

— Irenko, ratuj!

— Cóż takiego?

— Etykieta tego salonu przyprawia mnie o mdłości — zrobił minę omdlewającą, co rozśmieszyło młodych.

— Czegóż żąda pacyent? — uśmiechnęła się.

— Powietrza i swobody... chodźmy do gabinetu, a w salonie zostawmy interesa i nudy.

Wszyscy czworo powstali, a gospodyni pytała:

— Gdzież to młodzi idą?

— Do gabinetu, mamo — odpowiedziała Irena.

— Poco do gabinetu? — zawołał Fiszkun — tu możecie się zabawić.

— O, nie! — odrzekł Mieczysław — my mamy nasze złote interesa i obawiamy się konkurencyi.

— Ten syn pański dowcipny — śmiał się Fiszkun — on zaraz do interesów, to tak, jak mój starszy, Aleksy.

— Gdzież pan Aleksy? — spytała uprzejmie gospodyni.

— Aleksy — pochwyciła Fiszkunowa — on teraz bardzo zajęty... on ma brylantowy interes... u niego głowa. On tu przyjdzie, ja mu mówiłam, że w domu kolacyi nie będzie.

— Jakiż to interes prowadzi pan Aleksy?

— Z towarem platerowanym, on już wynajął sklep, magazyn, najął już...

— Malciu! — przerwał surowo Fiszkun — póki interes nie jest otwarty, to sza... cicho... to może szkodzić.

— Szkodzić!? — zawołała przestraszona — czy ja mogę szkodzić Aleksemu?!

Wszczęła się ogólna rozmowa, co może szkodzić interesom, a co pomódz.

Tymczasem młodzi zasiedli przy stoliku w gabinecie. Stół był oświetlony jasną lampą, a obok leżały dzienniki i tygodniki polskie i niemieckie.

— Otwieram posiedzenie rzekł wesoło Mieczysław — pierwszy punkt, wybór języka... czy pani — zwrócił się do Soni — mówi jakim europejskim językiem?

— Ja ... — zarumieniła się - uczyłam się

wprawdzie na pensyi po niemiecku i po francusku, ale nie mówię dobrze.

— No, a pan? — spytała Irena.

— Niby umiem po niemiecku, nawet czytam książki — powiedział zmieszany Sasza — ale dużo w tem żargonu naszego.

— Więc — zaczął Mieczysław — zanim się nauczycie języka miejscowego... będę próbował waszego.

— A czy pan nie umie po rosyjsku? — zdziwiła się Sonia.

— Z Rosyaninem umiem mówić jego językiem, bo on jest w swem prawie, ale z wami?

— Nu... — chciał mówić Sasza.

— Język francuski — przerwała Irena — bardzo bogaty i piękny, posiada wspaniałą literaturę, czyż dlatego w życiu codziennem mam mówić po francusku?

— Ja nie tak myślałem — rzekł Sasza.

— Sasza, daj spokój — odezwała się Sonia — przecież ty sam mówiłeś, że my musimy zastosować się do środowiska, w którem żyjemy.

— Zastosować!? — uśmiechnęła się Irena.

— Powiedziałam co złego? — zawołała Sonia.

— Jak można mówić frazesem: »trzeba się zastosować«. Kiedy to jest prawem, koniecznością, hasłem ludzkości — mówiła zarumieniona.

— Ja tego nie rozumiem — powiedział Sasza, patrząc na nią badawczo.

— Cóż wy czytaliście, jeśli nawet tego nie rozumiecie? — zaśmiała się nerwowo.

— O dużo! — rzekła Sonia — Sasza zajmuje się filozofią, a ja historyą i dużo czytamy.

— Bardzo pięknie — uśmiechnął się Mieczysław — a kto z was zajmuje się życiem dzisiejszem?

— Ach, daj pan spokój — powiedziała z grymasem niechęci Sonia — życie codzienne takie nudne, przykre, puste... pod tym względem wyręcza nas zresztą nasz brat Aleksy.

— No, tak — ironizował Mieczysław — pani pojmuje życie dzisiejsze jako złote interesa w handlu, zarobki wielkie... rozumiem — skinął głową z uśmiechem politowania.

— Kiedy ja pana nie rozumiem — broniła się Sonia — to życie dzisiejsze... — umilkła.

— To nie historya! — zaśmiał się — bo nie jest drukowana i oprawiona, ale ona się tworzy, ona żyje i my bierzemy w niej udział.

— Naturalnie, wy nie wiedzieliście o tem — powiedziała Irena — bo pan zajmuje się filozofią, zapewne egipską, a pani historyą może starożytną.

Sonia spojrzała na brata, szukając pomocy,

ale Sasza milczał, patrząc badawczo to na Irenę, to na Mieczysława.

— Irenko! — odezwał się brat — bądźmy gościnni... ty mów z panią o strojach... a ja z panem o teatrze i pięknych niewiastach.

— Nu, nie tak — przemówił zwolna Sasza — dotychczas wy nas pytali, a teraz ja was zapytam.

— I owszem... słuchamy.

— Tak powiedzcie mi otwarcie, czy wy oboje — spojrzał na Mieczysława i Irenę — Żydzi, czy Polacy?

— Jeśli idzie o wyznanie, to Żydzi — odpowiedział Mieczysław — a z przekonania Polacy.

— Ot, dziwna rzecz — zaśmiał się Sasza ironicznie — dlaczegóż z nas się wyśmiewacie? Nu?

— Tak jest, dlaczego? — dodała Sonia gorąco.

— Zwolna... zwolna — uśmiechnął się Mieczysław.

Tu Mieczysław z ferworem opowiedział co myśli o Żydach na stałe zamieszkałych w Polsce, o ich stosunku do kraju i podobieństwie Żydów do Polaków.

— Pan jednak — wtrąciła Irena — jest innego zdania i woli pan kij, niż...

— Jak pani może tak źle o mnie sądzić? — rzekł z żalem — czy ja na to zasłużyłem?

— Ależ, bo pan taki jakiś spokojny, wahający i obziera się pan ciągle trwożliwie za siebie — odparła szybko Irena.

— Co robić? — westchnął — ja już taki; ja wiem co było, a nie wiem co będzie?

— Poco tyle słów — zawołał nagle Mieczysław — powiedz pan szczerze, czy pan reakcyonista, czy postępowiec?

— Nu, dlaczego mam być reakcyonista? — zaśmiał się — czy dawny system dał mi co dobrego? dlaczego mam dążyć do jego powrotu?

— Zatem jesteś pan postępowcem — rzekła Irena, wpatrując się w niego.

— Naco to pytanie? — uśmiechnął się — każdy Żyd tylko od przyszłości może się poprawy bytu spodziewać.

— Nareszcie usłyszeliśmy przyzwoite słowa — zaśmiała się Irena wesoło — a pani co na to? — zwróciła się do Soni.

— Ja!? — zawołała z błyszczącemi oczyma — ja zawsze za postępem... przecież my Żydówki w gorszem jeszcze skrępowaniu żyjemy, aniżeli oni — wskazała na chłopców.

— Więc po dyskusyi — zaśmiał się Mieczysław — a na zakończenie powiem wam, że każdy z nas to zuch...

Mieczysław coraz bardziej się zapalał w apologii Polaków chrześcijan, podnosząc ich bohaterstwa, zasługi i zalety.

— Któż mi więc może być bliższym tutaj od Polaka? — kończył Mieczysław zarumieniony, z błyszczącemi oczyma.

Sonię porwał ten zapał, wpatrywała się w niego, cała zasłuchana, a gdy skończył, powiedziała mimowolnie:

— Ot pięknie! — i zaczerwieniona umilkła.

Wśród chwilowej ciszy rzekł Sasza z dobrym uśmiechem:

— Nu, Sonia, my i tu znaleźli ludzi... ja się tego nie spodziewał.

— Dla Warszawy, to nie bardzo pochlebne — zaśmiała się Irena — czy pan sądził, że my ludojady?

— Ot, u pani zawsze żarty, ale ja się nie gniewam, my dojdziemy do zgody — powiedział Sasza poważnie.

— Słuchajcie — zwrócił się Mieczysław do Soni — czy znaliście ludzi? podkreślił ostatnie słowo.

— No, tak... należeliśmy do... kółka...

— Soniu! — upomniał brat surowo.

— Ach, Sasza! — zaśmiał się Mieczysław — a któż z nas nie należy do kółka? Kto z nas usuwa się od tego?

Sasza patrzał na Mieczysława wielkiemi oczyma i szepnął:

— I wy tutaj tak śmiało mówicie o kółkach?

— Alboż my tu nie swoi? — uśmiechnęła się Irena.

— Czy i pani należy do kółka? — spytała zaciekawiona Sonia.

— Naturalnie.

— Ach, to moje marzenie — zawołała Sonia z błyszczącemi oczyma.

— Przecież należała pani?

— Byłam na trzech kółkach, mówiono dużo o Marxie, o Kautskym...

— To zapewne były kursa ekonomiczne lub przygotowawcze?

— Ja nie wiem... jedna z moich przyjaciółek wprowadziła mnie tam i — dodała półszeptem — mam kilka broszur socyalnych.

— Tak? — uśmiechnęła się Irena — u nas znajdziecie ich dużo.

— Proszę was, pożyczcie mi — złożyła ręce.

— I owszem... ale nie zrozumiecie, bo to są polskie wydawnictwa.

— Jaka szkoda — powiedziała z żalem — a czy sądzicie, że mogłabym się nauczyć po polsku?

— To przecież od was zależy.

— Wskażcie mi nauczycielkę, będę do niej chodziła, bo w domu byłby ogromny gwałt — uśmiechnęła się.

— O czem tak rozprawiacie z tajemniczą miną? — zawołał Mieczysław patrząc na obie.

Irena spojrzała w oczy Soni, nie wiedząc, czy ma mówić o treści rozmowy, ale Sonia rzekła:

— Ja nie mam tajemnic przed Saszą.

— O cóż idzie? — dopytywał się Mieczysław.

— Sonia chciałaby się uczyć po polsku i radziła się o nauczycielkę.

— Ty, Sonia, chcesz po polsku? — zdziwił się Sasza.

— Dlaczego nie?...

— Hm... a co ojciec powie? co Aleksy?

— Czyż mają wiedzieć? — zaśmiała się — a czy wiedzieli, że do kółek chodziliśmy?

— Irenko — odezwał się brat — dlaczego ty nie miałabyś uczyć panny Soni? Zresztą i ja pomogę w razie potrzeby.

— To prawda! — zawołała Irena.

Sonia zamiast odpowiedzi spojrzała z zapytaniem na brata, który po chwili odpowiedział:

— Ty, Sonia, rób jak chcesz, ale w domu, i u nas i u was potrzeba powiedzieć, że to po francusku.

— Niech i tak będzie — zaśmiała się Irena — i jako nauczycielka będę ci mówiła »ty«, ale i ty Sonia, tak samo musisz do mnie przemawiać.

— Ja tego dawno pragnęłam — powiedziała naiwnie — tylko bałam się obrazić ciebie.

— Zabawna jesteś — śmiała się Irena — przecież my obie radykalistki.

— To prawda, Irenko.

— A cóż z nami będzie? — spojrzał Mieczysław na Saszę.

— Zaraz... czy wy należycie do jakiego związku?

— Nie! — odpowiedział stanowczo.

— A dlaczego?

— Nie chcę być krępowany.

— A jak zapatrujecie się na nacyonalizm? — dopytywał się Sasza z miną sędziego śledczego.

— Dla mnie wszyscy ludzie są braćmi, wszystkich równo miłuję, ale że ze wszystkimi trudno, no i niepodobna porozumiewać się, więc wolę grupę, która mi najbardziej odpowiada, a tą grupą jest polska partya. Rozumiecie?

— Nu, wy mój człowiek — podał mu rękę. — Dla mnie jest za mało wierzyć w talmud i jego proroctwa.

— Co rozumiecie pod tem?

— Alboż wy nie wiecie? — uśmiechnął

się z wyrozumiałością — według talmudu my jesteśmy jednym, jedynym narodem wybranym; cały świat do nas należy, a reszta, ci nieobrzezani, to nasi niewolnicy.

— Czy studyowaliście talmud? — zapytał z żywością Mieczysław.

— Ja tylko czytałem — odpowiedział spokojnie — wszystko trzeba czytać.

Wśród chwilowej ciszy posłyszeli ostry głos Aleksego, mówiącego po rosyjsku:

— Ja was, madame, i was, panie gospodarzu, przepraszam za narzucanie się — głośne ucałowanie ręki — no ja posłuszny syn, kazali mi przyjść, przychodzę.

— Kto to? — spytała cicho Irena.

— Mój brat Aleksy.

I znów w milczącym gabinecie posłyszeli słowa:

— Co? Warszawa? Ja tu w przejeździe i ona dla mnie dom zajezdny, moja izba, bo płacę; boją się mnie i słuchają, bo ja Ruski...

— Nu, ja nie znalazłem, ani na ulicy, ani w restauracyi, ani w kawiarni człowieka, któryby miał swoje zdanie; to pokorne bydło wobec nas Ruskich.

Mieczysław chmurny uderzył ręką w stół i rzekł:

— No, dzisiaj go znajdzie — i z bezwiednym żalem spojrzał na Saszę i Sonię.

— Mieciu! — upomniała siostra — on przecież nasz gość.

— Gość! Gość! — ofuknął ją — ale nie mój!

— Twoich rodziców — dodała łagodnie.

— U was, madame — zabrzmiał znów głos Aleksego — salon niczego... nu, nie jest tak piękny, jak u nas w Moskwie... u nas symetrya, ot co... nu, a u was nieład... tam dwa krzesła... tam malutka kanapka... znów kwiaty... nu, nieporządek.

— Ja nie krytyk... nawykł do ładu, do porządku, a u was nie trzyma się jedno drugiego.

— No! No! — mruknął Mieczysław.

— Nie gniewajcie się na niego — rzekł Sasza — on jest tylko jednostronny, on za dużo o sobie trzyma.

— Chodźmy! — wstał Mieczysław — chcę go obaczyć, musi być zabawny.

Irena nie ruszając się z miejsca, rzekła:

— Będzie dość sposobności przy kolacyi... przymknij drzwi, Mieciu, mówmy o naszych sprawach.

— To najlepsza rada — powiedział z uznaniem Sasza.

— Kiedyż, Soniu, przyjdziesz na lekcyę?

— Nie wiem, kiedy ci dogodnie?

— U nas obiad o trzeciej, więc przyjdź o piątej, dobrze?

— Będę jutro.

— Wiecie, Mieczysławie — przemówił Sasza — ja mam dla was dużo sympatyi, wy szczery człowiek.

— Skądże to pochlebne zdanie o mnie?

— Ja was poznałem od pierwszych słów tam — wskazał oczyma na salon — wy nie ukrywaliście waszej myśli i sądu.

— To było niewłaściwe — oświadczyła Irena stanowczo.

— Co znaczy niewłaściwe! śmiał się Sasza — trzeba być szczerym, nie dbać o formy kłamliwe. Czy nie tak, Mieczysławie?

— Hm... nie bardzo... Jeśli naprzykład człowiek krzyczy, hałasuje, puszcza wodze swej szerokiej naturze... to jest wtedy sobą, ale każdy z nas powie o nim: jakiż to barbarzyńca.

— Nu, tak... ale dlaczego ja mam coś uznawać, chwalić, jak mi się to nie podoba... naco to kłamstwo?

— Dlaczegóż wy, Sasza, chcecie obnosić siebie, jak obraz święty i wołać: patrzcie, ja inny... patrzcie, ja szczery — śmiała się Irena — ma wszystko jest czas, wszystko ma swoje miejsce właściwe.

— Nu, wy mądrze mówicie — uśmiechnął się — i ja chcę od was się uczyć.

— Irenko! Proś do stołu — zawołała matka otwierając drzwi do gabinetu.

— Zaraz.

Weszli do jasno oświetlonego pokoju jadalnego równocześnie z gośćmi ze salonu.

Aleksy miał włosy starannie ufryzowane, rozdzielone po środku, wąsy do góry nastrzępione. Ubrany był w anglez, na razie rozpięty i widać było głęboko wciętą kamizelkę i gors koszuli, naszywany rosyjskimi wzorami. Krawatkę seledynową, kunsztownie zawiązaną, przytrzymywała szpilka z brylancikami. Zobaczywszy Irenę, uśmiechnął się zalotnie, co nadało jego twarzy z wysuniętą brodą i grubemi wargami wyraz satyra; posunął się ku niej, uderzając się jakby z rozkoszy lewą ręką w jasno-żółtej rękawiczce po udach.

— Nu, bardzo mi przyjemnie poznać taką piękność... wy w Moskwie nawet moglibyście zrobić karyerę waszą pięknością... ot i zapomniał ja przedstawić się: Aleksy Mojżeszowicz Fiszkun, z Moskwy... nu, siadajmy obok siebie, będzie nam weselej — i gotował się do podania ręki.

Fiszkunowa, zachwycona elegancyą syna, patrzała po obecnych z dumą rozpromienioną.

Ojciec z uśmiechem radości trącił łokciem Kleinwega, mówiąc półgłosem:

— Jaki ten Aleksy salonowiec, on umie podobać się pannom.

Irena na powitanie podała końce palców Aleksemu, udała, że nie rozumie propozycyi sąsiedztwa przy stole i zwróciła się do Soni:

— Chodźmy... siądziemy obok siebie... a może pan Sasza z nami?

Aleksy zmarszczył brwi, lecz natychmiast się rozpogodził i mówił z uśmiechem zalotnym:

— Nu, wy się drożycie ze swoją osobą, ja się nie dziwię... ale jak my się poznajomimy, to sami zażądacie mego towarzystwa — i nie odstępował jej boku.

Zniecierpliwiona Irena rzuciła tonem niechętnym:

— Dziękuję panu... wolę Sonię — i obie poszły.

— Nu, dziwna grzeczność... u nas inaczej.

— U was baty za nieposłuszeństwo — odezwał się Mieczysław.

— Wy znacie Moskwę? — spytał drwiąco Aleksy.

— Znam niektóre okazy z tego miasta — zaśmiał się swobodnie.

Kleinwegowa, chcąc przeszkodzić dalszej wymianie słów, zawołała:

— Proszę siadać... pani — zwróciła się do Fiszkunowej, lecz ta już usadowiła się na pierwszem miejscu.

Obok niej z prawej strony usiadła Kleinwegowa, za nią Fiszkun, Aleksy, Mieczysław, Sasza, dwie panny i wreszcie obok Fiszkunowej z drugiej strony Kleinweg. Jedno nakrycie zostało niezajęte.

Fiszkunowa bacznie zlustrowała nakrycia stołowe, odwróciła widelec, chcąc się przekonać, czy jest wybita próba srebra, dotknęła obrusa, badając gatunek, i okiem znawczyni oceniła wartość porcelany.

Aleksy, włożywszy po dwa palce do dwóch kieszonek kamizelki, zasyczał przez zęby i pokręcał głową, wpatrując się w dwie patery z owocami.

— Nu, u was jak w raju — zaśmiał się ironicznie — tyle owoców! To dobre dla oczu, ale nie do jedzenia.

— Nikt nie zmusza — odezwał się Mieczysław.

— Wy, młody człowieku, nie rozumiecie mnie... ja sobie przypominam, że u nas w Moskwie, dają na stół bieługę, łososie, jesiotry i jedzą do woli, a czy się kto pożywi owocami? to dobre dla panien, które udają, że nic nie jedzą i że nic nie kosztuje ich utrzymanie — śmiał się głośno.

— On mówi prawdę — pochwyciła uradowana matka — na zaproszonej kolacyi u nas wystawniej... mniej półmisków i porcelany, ale jest co jeść...

— Mniej szkła — zawołał Fiszkun, pokazując grubym palcem na stojące przed nim trzy kieliszki rozmaitej wielkości — ale jest co pić.

Mieczysław i Irena z uśmiechem patrzyli to na ojca, to na matkę, wspominając swą rozmowę niedawną przy herbacie.

— No, tak — przemówił Kleinweg — co kraj, to obyczaj, u nas jedzenie i picie jest tylko dodatkiem do miłego towarzystwa.

— Ale ten dodatek — śmiał się Aleksy — to jak ubranie na człowieku; i jaki gwałt podniosłaby madame Kleinweg, żebym ja goły przyszedł?

— Jaki on dowcipny! — cmoknęła zachwycona matka.

— On bywał w pierwszych domach kupieckich — rzekł ojciec rozpromieniony.

— Bez niego nie obeszła się żadna zabawa... nie mógł się opędzić zaproszeniom... a jak on tańczy! — wzniosła oczy do góry — jak baletmistrz skacze.

Służąca wniosła dymiący parą półmisek, postawiła na blacie kredensu i zajęła się sprzątaniem talerzyków po przekąsce.

— Nu, piękna dziewczyno — zawołał Aleksy, przytrzymując swój talerzyk — czy ty mi żałujesz jedzenia?

— Zuziu! podaj półmisek z tartynkami — rozporządziła gospodyni po polsku.

— Nu, tak na sucho? — śmiał się Aleksy — ja mogę się udławić.

— Aleksy! nie mów tak — zawołała matka — ty się napij.

— Mieciu, podaj wódkę — pospieszyła Kleinwegowa.

Syn wstał i stawiając butelkę przed Aleksym, spytał:

— Czy tak u was?

— Nie, nie tak, u nas przed każdym stoi butelka... Ktoby nastarczył z nalewaniem? i piją, weselą się... i damy także piją słodką.

— Jak u nas w karczmach — zaśmiał się Mieczysław.

— Może wy chodziliście po karczmach — zawołał Aleksy — ja tylko w restauracyach.

Mieczysław poczerwieniał, ale ojciec zawołał po polsku:

— Mieciu, podaj mi reńskie wino.

Pokojówka roznosiła półmisek z karpiem na sposób angielski podanym, a Aleksy jadł tartynki po kieliszku wódki.

— Niechże pani pozwoli więcej — prosiła gospodyni.

— Dziękuję — odpowiedziała Fiszkunowa z grymasem niesmaku — ja nie lubię tak podanej ryby, ja lubię nadziewaną, bez ości... Dzieci, uważajcie, może trafić się nieszczęście... i ty, Mojsze... a możebyś nie jadł takiej ryby?

— Jakaż pani troskliwa! — uśmiechnął się ironicznie Kleinweg.

— Ja zawsze taka... kogóż ja mam pilnować, jak nie męża i dzieci?

Aleksy na razie odmówił karpia, racząc się kawiorem, lecz gdy ujrzał odchodzącą pokojówkę, zawołał:

— Słuchaj! Ja także chcę... daj mi tutaj rybę.

Zuzia zbliżyła się z półmiskiem, a on nabierając na talerz, mrugnął okiem do niej i spytał:

— A jak ci na imię, piękna dziewczyno?

Zuzia zmierzyła go pogardliwie i milczała.

— Nu, powiedz... nie pożałujesz.

— Panie — rzekł głośno Mieczysław po polsku — tu nie restauracyjna zabawa.

Aleksy poczerwieniał i zawołał:

— Co pan chcesz?... Ja was nie rozumiem... jak wy do mnie mówicie?

— Po polsku.

— Nu, tak mówcie do stróżów, do służby, ale nie w naszem towarzystwie.

W tej chwili stary Fiszkun, który palcem szukał ości w ustach, zakaszlał się.

— Aj! Aj! — zerwała się z krzesła żona — Mojsze, ty się dławisz!

Fiszkun wypluł na posadzkę jedzenie z ust i rzekł:

— Malciu, ty siadaj... Aleksy, ty nie krzycz. Czy ty nie wiesz, że ty w gościnie u przyjaciół?

Gdy się uciszyło, spytała Fiszkunowa głośno:

— Dla kogo to próżne nakrycie?

— Dla syna naszego, Teodora.

— A co on robi?

— Jest pomocnikiem adwokata przysięgłego — odpowiedziała gospodyni.

— Aj, on pisarz!? Co to za interes? — uśmiechnęła się ironicznie.

— Malciu! — upominał mąż — ty tego nie rozumiesz, poco gadasz? On będzie adwokatem.

— Ot szczęśliwy człowiek — westchnął Aleksy — on może mieszkać w Moskwie, aj, żebym ja miał uniwersytet!

— Chciało się Zosi jagódek — zaśmiał się Mieczysław.

— Czy wy do mnie mówicie? — spytał z groźną miną Aleksy.

— Wy przecież nie rozumiecie po polsku — odparł z uśmiechem.

— Nu, ja widzę, że wy do mnie coś cierpicie, młody człowieku.

— Ja niecierpię — powiedział dwuznacznie.

Irena tymczasem z wielkiem ożywieniem rozmawiała z Sonią i Saszą o nowych powieściach i o teatrze.

— Muszę was oboje zaprowadzić do teatru, zobaczycie, jakich my artystów mamy.

— Ale czy ja zrozumiem? — powątpiewała Sonia.

— Będę ci tłómaczyła... ojczulku — zwróciła się po polsku — dobrze? tylko raz jeden lożę w Rozmaitości.

— Na kiedy?

— Mieciu, co jutro dają? - spytała Irena brata po polsku.

— Jutro?... Trzy komedyjki... wiem, że jest „Złoty Cielec".

— Ach, to wyborna komedya — zaśmiała się — i pysznie grają... to jutro loża dla nas, ojczulku, bardzo proszę.

— Dobrze, ja ci kupię.

— Więc pójdziemy razem... Sonia, pan Sasza, Miecio, ja... no i mama, dobrze?

— Nu, a wy mnie nie chcecie? — uśmiechnął się Aleksy.

— To przecież polski teatr, nie przypuszczałam, że pan zechce.

— Ja z wami, mademoiselle, wszędzie pójdę, nawet na polską komedyę.

— Znudzi się pan.

— Nie z wami, mademoiselle.

— Irenko! — upomniała matka — uważaj... jeśli pan Aleksy prosi...

— Będzie za ciasno może — odezwał się Mieczysław — jest tylko pięć krzeseł.

— Nu, to ja sobie kupię bilet i w czasie pauzy złożę pięknej pannie wizytę, czy dobrze?

— Jak pan chce — odpowiedziała obojętnie i zwróciła się do Saszy.

To ubodło próżność Aleksego i rzekł drwiąco:

— Wy, mademoiselle, napróżno czas tracicie kokietując Saszę — zaśmiał się — on kocha się tylko w książkach.

Przy tych słowach śmiał się głośno, a wtórowała mu matka.

— Aleksy, ty chociaż teraz w gościnie, daj spokój Saszy — stanął Fiszkun w obronie syna.

— Czego ojciec chce? Czy ja go ugryzę? — śmiał się.

Zuzia zmieniała talerze i nakrycia. W przedpokoju dały się słyszeć kroki i w otwartych drzwiach stanął Teodor, brunet, szczupły, nizki, z przyciętą, ciemną brodą.

— Przepraszam, że się spóźniłem — przemówił dźwięcznym głosem po polsku — ale były ważne sprawy.

— Syn mój, Teodor... państwo Fiszkun — prezentował Kleinweg.

Teodor kolejno podchodził, witał się i usiadł na niezajętem miejscu obok Aleksego.

— Zuziu, podaj panu Teodorowi rybę! — rozporządziła gospodyni.

— Dziękuję mamie, nie przynoś, Zuziu, wystarczy mi pieczyste — wskazał na półmisek stojący na bufecie.

— Jaka sprawa przetrzymała cię, Teodorze, dzisiaj? — spytał ojciec.

— Teatralna — szepnęła półgłosem Irena.

— Zgadłaś Irenko — uśmiechnął się — bo proces artysty-aktora z dyrekcyą — i dalej mówił po rosyjsku: — to naszych gości nie interesuje... Pan dawno w Warszawie? — spytał sąsiada.

— Niestety! — westchnął Aleksy — już sześć tygodni siedzę w tej dziurze.

— No, no, przyznaj pan, że nasze miasto jest europejskie, wesołe, ożywione, czyste...

— Co?... Co wy mówicie, Teodorze Leopoldowiczu!? Prześlicznem miastem jest Moskwa. To najpierwsze w Europie.

— A byliście, panie Fiszkun, w Paryżu, Wiedniu? w Berlinie?

— A wy, znacie Moskwę?

— Znam, oryginalne miasto, ale nie wiem, czy wyżyłbym tam długo.

— Nu, a ja wam chcę zaproponować interes... możecie w kilka lat zrobić grube pieniądze.

— I owszem, słucham — i nabrał pieczystego na talerz — jestem nawet ciekaw.

— To bardzo dobry interes. Wy macie studya uniwersyteckie, to wam wolno mieszkać w Moskwie — a widząc, że Teodor je — czy uważacie?

— Naturalnie... pozwoli pan, że zjem i jestem na usługi.

— Nu, jak u was pierwsze jedzenie — mówił obrażony — to ja milczę.

— Zaraz... tylko skończę, przecież niema nic pilnego.

— U nas, w Moskwie, najpierw interesa, a potem zabawa dopiero, picie, dziewczęta.

— Gdzie państwo mieszkacie? — zwrócił się do starego Fiszkuna.

— My?... Na Twardej, ja drogo płacę i chociaż nas pięć osób, ja muszę trzymać cztery pokoje z przedpokojem i kuchnią.

— Jest i pasaż, i strych, i piwnica, i wszystkie wygody — dodała Fiszkunowa.

— To nieprzyjemna ulica, hałaśliwa i brudna, z powodu kramów.

— Ale ja między swoimi, nas tam dużo mieszka w tej stronie. Interes to ja założę na pryncypalnej ulicy, żeby zwabić goimów, ale mieszkam blizko swoich, taka już moja natura.

— Nu, a inni — rzekł z przekąsem Aleksy — wolą się pchać między goimów... to rzecz gustu.

— Ma pan zupełną słuszność... no, a jaki miał pan interes?

— Nu, taki... niech pan przesiedli się do Moskwy; dla policyi otworzy pan biuro adwokackie... a dla swoich klientów będzie pan miał składy... wy będziecie najważniejszy nasz ajent, inkasent, pełnomocnik do handlu... Nu, to złoty interes.

— Aj, aj, możecie łatwo i dużo zarobić — zapalał się z kolei stary Fiszkun — zawiążecie przez naszych stosunki z kupcami, prowizya pewna, a może kapnie i dobra sprawa adwokacka.. oni dobrze płacą. Nu, co wy na to?

— To niemożliwe — zaśmiał się Teodor. — Skończyłem prawo nie w tym celu, ażeby być ajentem lub pośrednikiem. Tu w Królestwie Polskiem będę adwokatem i chleba mi nie zabraknie, poco mi obce bogi?

— Niech się pan namyśli, naco te udawania? — zaśmiał się Aleksy — ja nie znam nikogo, ktoby nie chciał zrobić majątku.

— I ja chcę... ale nie w ten sposób. Pomijam moją adwokaturę, ale proponowane zajęcie jest obejściem prawa i ryzykuję całą przyszłość, bo i o więzienie łatwo.

— A czy pieniądze nie opłacą tego?... one wszystko mogą — rzekł Fiszkun.

— Jak kiedy... miłości i przyjaźni pan nie kupi — uśmiechnął się.

— Aj, aj... jaki pan młody — zawołał Aleksy — najpiękniejszą dziewczynę dostanę za złoto... a od przyjaciół będę musiał uciekać.

— Każdy zechce pożyczyć — dodała z uśmiechem Fiszkunowa — my to znamy.

Nareszcie było po deserze i po francuskich winach. Obaj Fiszkunowie zapalili cygara i rozparłszy się, opowiadali o kupcach moskiewskich, o interesach, o przemyśle.

Młodzi wstali wcześniej od stołu i w gabinecie bawili się wesoło, a ponieważ sympatyzowali ze sobą, więc wkrótce zawiązały się nici przyjaźni i ze zwykłą młodym szczerością opowiadali swe wrażenia i zamiary na przyszłość.

Gdy starsi przeszli do salonu, musiała Irena zaprodukować swą muzykę: grała jeden z mazurków Chopina i grała go dobrze.

— Nu, to niczego kawałek — zadecydował z miną znawcy Aleksy, wyjmując cygaro z ust. — Nu, mademoiselle, a zagrajcie coś naszego.

— Nie umiem.

— Wielka szkoda, ale na drugi raz ja przyniosę nuty i wy dla mnie zagracie... czy dobrze?

— O ile potrafię — odpowiedziała Irena chłodno i wstała od fortepianu.

Nareszcie goście gotowali się do odejścia. Gospodyni, czyniąc zadość formom towarzyskim, prosiła Fiszkunową, ażeby jeszcze nie odchodziła.

— Ja nie mogę — mówiła rozsiadając się z powrotem na kanapie — mój mąż będzie zmęczony... i Aleksy także, a on ma interesa.

I znów wlokła się rozmowa banalna, bez treści.

Gdy Fiszkunowa po raz drugi, na dany przez męża znak, wstała, już jej nie zatrzymano.

Po ich odejściu cała rodzina zgromadziła się w jadalnym pokoju, a gdy matka chowała skrzętnie pod klucz resztki kolacyi, odezwała się Irena:

— No, mamo, ojczulku... przyjemni goście, nieprawdaż? — śmiała się — zwłaszcza ten Aleksy i starzy oboje!

— Czy mama widziała, jak ona badała nakrycia stołowe? czy srebro, czy platery? — zawołał Mieczysław.

— Dajcie spokój — łagodził ojciec — oni

są inni, ale uczciwi, pracowici i wzmogą nasz handel.

— Ja nie jestem tak pobłażliwy, jak ojciec — przemówił Teodor — do swej kultury specyalnej dodali spryt i przebiegłość, to są niebezpieczni ludzie.'

— Fałszywie ich sądzisz... oni są tylko zbyt przejęci inną kulturą, ale z czasem przejrzą... i do nich musimy pójść, trzeba im oddać wizytę.

— Ja, nie! — rzekł stanowczo Teodor — Nie myślę się zmuszać... a ty Irenko?

— Ze względu na Sonię, pójdę.

— A ja dla Saszy — dodał Mieczysław.

— I trzeba ci było, Irenko, proponować ten teatr jutrzejszy? — powiedziała z wymówką matka.

— Kiedy bo ta Sonia taka dobra... od jutra mam z nią lekcyę.

— Czegóż będziesz uczyła?

Irena spojrzała na Mieczysława, który szybko odpowiedział:

— Języka francuskiego, tak przynajmniej umawiały się.

## VII.

Sasza w swym pokoju zabierał się do nauki historyi, gdy weszła matka:

— Sasza, do ciebie przyszedł chazen, Szymon Joselowicz, jego tu ojciec przysłał.

Nie była mu miła ta wizyta, czuł się bowiem nieusposobionym do dysputy religijnej, a chcąc odłożyć tę chwilę odwiedzin, rzekł:

— Mamo, ja nie chcę dziś z nim mówić... mnie niema w domu.

— Ja nie mogę tego zrobić... ojciec gniewałby się i czy dla twego kaprysu ma z niczem odchodzić chazen?

— Nu, niech on przyjdzie — westchnął.

Za chwilę wszedł do pokoju, szczupły, wysoki Spitzman, z twarzą niemal ascetyczną i gładząc brodę, powitał po rosyjsku siedzącego.

— Dziękuję wam, Szymonie Joselowiczu, że przyszliście... usiądźcie proszę — wskazał na krzesło.

Chazen podał rękę, usiadł i mówił:

— Ja do ciebie przyszedłem, nietylko na prośbę ojca twego, ale ja sam byłem niespokojny o ciebie. Ty się otaczasz trucizną pogańską, — ręką wskazał na książki — to może zatruć twoją duszę.

— Dziękuję wam za waszą troskliwość, — odpowiedział uprzejmie — ale powiedzcie mi, czy spragniony podróżny nie napije się z przydrożnej studni, tylko ma czekać aż dojdzie do domu?

— On się napije... ale w domu on się oczyści. I ja chcę, żebyś ty, Sasza, poznał prawdziwy zdrój mądrości i pił z niego.

— Cóż ja mam robić? — podniósł oczy na chazena.

— Co... ty czytaj, ty zastanawiaj się, ty pamiętaj... ja wiem, że ty czytałeś talmud, ale czy ty znasz Majmonidesa „orła synagogi?“ czy ty znasz ben Akibę? czy ty czytałeś pisma błogosławionych rabi naszych?

— Nie.

— A ja czytałem... ty mnie pytaj, a ja ci odpowiem.

— O cóż mam pytać?

— Ty pytaj o to, co tobie cięży na sercu, co gniecie twoją głowę, co ci dokucza i nie wiesz, gdzie prawda?

— O, chazenie! — uśmiechnął się Sa-

sza — gdybyśmy cały rok siedzieli, nie jedli i nie pili, tylko jabym pytał, a ty odpowiadał, to i tak nie skończylibyśmy i nie rozwiązali wszystkich wątpliwości.

— To gadanie, — wzruszył chazen ramionami — prawda jest jedna, a tę prawdę objawił Bóg tylko synom Izraela... dzieci Noego jej nie znają i dlatego są ciemni.

- Ja nie mogę w to uwierzyć, chazenie, wszyscy ludzie szukają prawdy.

Roześmiał się głośno chazen i rzekł drwiąco:

— Czy ślepy co obaczy? Czy głuchy usłyszy? Jak ty Sasza, niby rozumny, możesz tak mówić? Czy ty nie wiesz, co w talmudzie stoi?

— Cóż takiego?

— Ty posłuchaj: „nasienie obcego, który nie jest z Izraela, jest nasieniem zwierzęcem", a dalej znów: „domy goimów są domami zwierząt"; a Manachem mówi, że nasze dusze pochodzą z Ducha Bożego, a dusze nieobrzezanych z nieczystego ducha... I jak ty możesz takiego nieobrzezanego, takiego osła i psa, równać z dziećmi Izraela? Gdyby nas nie było, nie byłoby na ziemi żadnego błogosławieństwa, ani słońca, ani deszczu, bo my milsi Panu Bogu od aniołów.

Sasza słuchał chmurny tych słów, a gdy Szymon skończył, rzekł łagodnie:

— Chazenie, ja jestem żydem i chcę nim być, ale wedle starego zakonu, wedle pisma świętego... talmud to późniejsza naleciałość... ty nie powołuj się, ani na Misznę, ani na Gemarę.

Szymonowi oczy zabłysły, brwi ściągnęły się gniewnie i zawołał:

— Sasza, ty nie bluźnij, ty nie mów tak ohydnej rzeczy... żebym ja nie był przyjacielem twego ojca, to ja potrzebuję tylko rabinowi powiedzieć jedno twoje słowo... a na ciebie padnie klątwa, cherem... czy ty to rozumiesz? — kończył pełen gniewu i grozy.

Sasza pobladł, on wiedział dobrze co to cherem, jeszcze z lat chłopięcych, i bał się go instynktownie, a gdy uprzytomnił sobie rozpacz ojca, zdjął go lęk i rzekł niemal pokornie:

— Szymonie Joselowiczu, ja się tylko źle wyraziłem... ja szukam prawdy u nas, to ja mogę się pomylić.

Lecz chazen był chmurny, złem okiem mierzył winowajcę i mówił gniewnie:

— Talmud... czy ty wiesz, że sam Pan Bóg z aniołami po całych nocach ćwiczy się w talmudzie, że Asmodeusz, król dyabłów, co nocy przychodzi do nieba na tę naukę? A ty, taki

robak, taki proch, ty wątpisz?! Ja tego nie mogę tobie darować... nu, powiedz, czy talmud jest święta księga?

— Ona jest — odpowiedział Sasza spuszczając oczy, wstydził się bowiem własnej słabości.

— Nu, i tak jest naprawdę, i co w talmudzie napisane, ty musisz wierzyć, taki jest zakon. Czy wierzysz?

Sasza obdarzony z natury umysłem krytycznym, już oddawna stracił ślepą wiarę dziecięcą, lecz tradycya i pierwsze wrażenia religijne pozostały mu w tym stopniu, że nie wyrzekł się zupełnie wiary, i teraz, gdy wysłannik ojca z surową, ascetyczną twarzą stawiał mu pytania śledcze, nie miał odwagi wypowiedzieć własnych, jeszcze nieskrystalizowanych przekonań. To też na pytanie chazena odpowiedział cicho:

— Ja wierzę.

— Nu, dobrze... To pamiętaj, że twoim bliźnim jest tylko wyznawca zakonu; bo czy może być twoim bliźnim pies albo inne zwierzę?... a każdy goj to pies i osioł. Co ci nieobrzezani mają, to oni sobie naszą własność przywłaszczyli, bo cały świat tylko do nas należy. A czy ty wiesz, co będzie, jak przyjdzie mesyasz?

— Nie, ja tego nie wiem.

— To ja ci powiem. Ziemia będzie rodziła gotowe placki i wełniane szaty dla nas, a każde ziarno pszenicy będzie grubsze, aniżeli dwie nerki wołu. Każdy z nas będzie miał dwa tysiące osiemset niewolników i trzysta dziesięć światów, a przez siedem lat będziemy palili broń zdobytą na nieprzyjaciołach.

Sasza, po namyśle, postanowił, ze względu na spokój domu, nie spierać się z chazenem w sprawie talmudu, a chcąc się go pozbyć w krótkim czasie, przytakiwał jego wywodom.

— Ja to czytałem — mruknął.

— Nu, a dlaczego ty kłócisz się z twoim bratem Aleksym? Co ty jemu masz do zarzucenia?

— To są drobne spory domowe — odparł wymijająco.

— Sasza! — gestykulował rękami chazen — ty kłamstwem splamiłeś usta twoje... On mi mówił, że ty gniewasz się na niego, bo on w błąd wprowadza goja, — zaśmiał się drwiąco — o, Sasza! dlaczego ty nie studyujesz talmudu? tam jest wszystko, co potrzeba do spokoju duszy i sumienia.

— Ja wiem o tem.

— Nu, jak ty wiesz, to dlaczego kłócisz się z bratem? W talmudzie przecież stoi: syn Izraela nie może kraść i oszukiwać goimów,

on tylko bierze, co jest jego, bo co ma goj, to jest jak dobro opuszczone, jak piasek morski, pierwszy ze synów Izraela, który weźmie je w posiadanie, jest prawdziwym właścicielem.

— Szymonie Joselowiczu, a czy brat mój wie, kto kupi ten towar?

— Nu... jeśli bliźni kupuje, to on powinien go ostrzedz, bo bliźniego nie wolno oszukiwać, taki jest zakon.

— Nu, chazenie — rzekł Sasza wstając z krzesła — ja z wami nie mogę dysputować... ja widzę, że za mało znam talmud... ja muszę go czytać.

— I ty mądrze zrobisz, bo ty znajdziesz ukojenie... Czemu ty wstajesz? Ja mam jeszcze czas.

Sasza usiadł w milczeniu, a chazen zaczął:

— Ojciec mi mówił, że ty nie odprawiasz przepisanych modłów, co to znaczy? Czy ty nie chcesz iść do raju?

— Owszem chcę — uśmiechnął się.

— To pilnuj zakonu, módl się, przestrzegaj przepisów... a dostaniesz się do raju i będziesz jadł przez samego Boga solone mięso samicy lewiatana, i mięso olbrzymiego wołu, który codziennie tysiąc gór wypasa, i nadzwyczajnie tłuste gęsi, a pić będziesz wino,

które stoi od szóstego dnia stworzenia świata. Czy ty to rozumiesz?

— Naturalnie — zaśmiał się z naiwności i barbarzyństwa wyobraźni.

— Nu, ja rozumiem twój śmiech, tobie podobają się te łakocie — uśmiechnął się — i wszyscy synowie Izraela będą to jedli i pili... Jeszcze jedno słowo mam ci do powiedzenia.

— Jakie?

— Mnie mówiono, że ty uczysz twoją siostrę pogańskich nauk... naco to jej? poco? Czy ty chcesz, ażeby ona była nieszczęśliwa?

— Ja? — spytał zdziwiony.

— Nu... przecież twój ojciec znajdzie dla niej męża, a jak ona nie będzie posłuszna mężowi, to co się stanie? Mąż, według zakonu może wszystko z żoną uczynić, jakby z kawałkiem mięsa, który kupił u rzeźnika, on może jeść pieczone, gotowane albo smażone... nu, a jak ona bunt podniesie, to co?

W umyśle Saszy stanął obraz znieważanej Soni, którą szczerze kochał i zawołał:

— Nie, c h a z e n i e! Ona dostanie dobrego męża.

— Oj, Sasza, — pokiwał głową z politowaniem — czy dobry mąż, czy zły, on ma nad nią wszelkie prawo, bo tak chce zakon... To ty jej nie ucz, nie dawaj książek, bo niewiasta nie może być mędrsza od swego męża.

— Dobrze, chazenie... ja usłucham — rzekł Sasza, postanawiając sobie bronić Sonię w razie potrzeby.

— Nu, ja już dosyć czasu straciłem z tobą,— ja tu jeszcze przyjdę, ja zobaczę czy ty się ćwiczysz w księgach świętych.

Zaleciwszy mu modlitwy i pilne przykładanie się do zrozumienia i utrwalenia w pamięci przepisów i praw, wyszedł chazen, a Sasza słyszał, jak w przedpokoju uspakajał matkę co do jego prawowierności.

Po wyjściu chazena, Sasza zamknął talmud rozłożony, schował go na półce pomiędzy innemi książkami i założywszy w tył ręce, przechadzał się po swym pokoju, rozmyślając nad tą narzuconą mu lekcyą.

Nie zastanawiał się nad prostackiemi wyobrażeniami o Bogu, raju, mesyaszu, to dobre dla ciemnego tłumu, ale z goryczą rozmyślał o tej egoistycznej etyce, zastosowanej do nizkich instynktów, drzemiących na dnie duszy każdego człowieka.

To wyobrażenie o wybranym przez Boga narodzie, ileż nieszczęść przyniosło żydom. Oni tylko są ludźmi, oni tylko mają boską duszę... więc w stosunku do goimów nie obowiązują żadne przepisy moralności, uczciwości, poszanowania praw. Nie wolno się nawet

litować nad goimem i nie wolno go ratować chociażbyś widział ginącego.

Cóż dziwnego, że nas wszystkie narody nie cierpią, gdy brakuje nam wszelkich zasad etycznych względem innych, nieobrzezanych?

I wzmagał się w nim żal, rosła w nim gorycz do tych nauczycieli i przewodników tłumów żydowskich, którzy pod grozą kar doczesnych i wieczystych trzymają w ciemnocie i w ślepej wierze wyznawców starego zakonu.

Ale czy i te narody, wśród których żyjemy, nie są winne? Dlaczego oni nas nienawidzą, zamiast zbliżyć się z wyrozumiałością? z przebaczeniem? To przecież rozbroiłoby nas, z koniecznej wdzięczności musielibyśmy być lepszymi. Ich wina jest także wielka.

Cicho otworzyły się drzwi do jego pokoju i zajrzała Sonia.

— Sasza, co tobie?... Tu był chazen, co on tobie mówił?

— Ja, Sonia, i tak nie bardzo wierzyłem, a teraz ja już utraciłem wiarę... i to ci powiadam, Sonia, ty nie oddawaj twego syna ani do chederu, ani do żarliwych, pobożnych nauczycieli...

— Sasza, gdybym miała syna, to ja jego wychowam bez religii, niech on sobie sam wybierze, jak dorośnie.

— Ty dobrze mówisz, Sonia — stanął przed nią, a przypomniawszy sobie słowa chazena dodał: — ale ty nie wiesz, czy twój mąż na to się zgodzi?

— Ja wyjdę tylko za takiego, który będzie miał moje przekonania.

— Nu, a ojciec? a matka? — rzekł po chwili.

— Czy ja niewolnica, ażeby mnie oddawali bez mej woli? — zaśmiała się — już ja sobie poradzę... ale ja przyszłam zapytać się ciebie, czy ty pójdziesz ze mną do Kleinwegów?

— Ja sam nie wiem... co ja tam będę robił?

— Pogadasz z Mieczysławem... czy oni ci się nie podobają?

— Dlaczego nie? Tylko, że oni są inni... i Mieczysław i Irena.

— Jakto inni?

— Oni są weseli, im dobrze... wolni są, uczą się...

— A ty, czy się nie uczysz? Czy ojciec zmusza ciebie do interesów? czy ci źle w domu? — mówiła nie bez wyrzutu i zdziwienia.

— Ty mnie nie rozumiesz, — powiedział chmurny i usiadł przy stole — oni mają spokój w domu, a u nas interesa, zarobki, go-

rączka... i w dodatku, chazen — zaśmiał się ironicznie.

— Co tobie, Sasza, ty tego dawniej nie mówiłeś? Tobie było dobrze.

— Nu, ja teraz starszy, ja dużo widzę, ja myślę.

— A dlaczego ty mi nie mówisz, my przecież razem trzymamy.

— Przyjdzie czas, to ja ci powiem... ale teraz ja sam nie wiem czy dobrze widzę... ja chciałbym się mylić, — westchnął głęboko — na co się zda ciebie niepokoić?... Czy matka wie, że ty idziesz na lekcyę do Ireny?

— Już mówiłam i mama zgodziła się chętnie, i ojciec także.

— Nu, tak... bo to nic nie kosztuje, — zaśmiał się z goryczą — ja pójdę zresztą z tobą... w ich domu ja inaczej oddycham i jestem spokojny.

Z uderzeniem godziny piątej zadzwonili do mieszkania Kleinwegów.

Otworzyła im sama Irena i podając rękę, rzekła z przyjaznym uśmiechem:

— Witajcie... czekałam na ciebie, Soniu.

— Jeśli niema Mieczysława, — przemówił Sasza — to przyjdę później.

— Zaraz przyjdzie i prosił was, żebyście zaczekali, no, chodźmy, — a widząc, że chce

wejść w paltocie: — rozbierzcie się w przedpokoju, taki u nas zwyczaj.

— Ja chciałem tylko krótką chwilę zaczekać — odpowiedział Sasza, zdejmując palto.

Weszli do gabinetu, w którym wczoraj siedzieli. Na kanapce zajęły miejsce Irena i Sonia, pod oknem usiadł Sasza i wziął w rękę francuską ilustracyę.

— Zaczniemy wprost od czytania, znasz przecież litery łacińskiego alfabetu?

— Znam.

— Zasada jest ta: tak się czyta, jak napisano, wymawia się wszystkie litery. No, zaczynaj, Soniu, — wzięła przygotowaną książkę w rękę — to jest czytanka dla dzieci... wybierz co ci się podoba.

— Kiedy ja nie wiem co? — powiedziała zarumieniona.

— Ach, pierwszy lepszy wierszyk.

Sonia zaczęła z trudem bąkać słowa: „szła ulicą dziecina, biedna, wynędzniała...“

Irena poprawiała wymowę, prostowała akcent, tłomaczyła znaczenie słów.

Sasza od czasu do czasu podnosił oczy z rysunków na siedzące dziewczęta. Zdawało mu się, że Sonia nie umie naśladować wymowy Ireny, która tak dźwięcznie, tak czysto mówi.

Czuł, że gdyby go uczyła Irena, on zro-

biłby ogromne postępy i nie pozwoliłby Irenie tak się zamęczać powtarzaniem tych samych dźwięków.

Treść jednak wierszyka dotychczas wcale go nie zajmowała, wtem posłyszał słowa: „to żydziak, a któż widział wspomagać żydziaka!“ a równocześnie Irena przetłomaczyła:

— No, żydziak, to po waszemu j e w r e j...

Od tej chwili pilnie słuchał dalszego ciągu, a w sercu zbudził się żal do Ireny, że wybrała wiersz wyśmiewający niedolę żydowską.

Lecz gdy posłyszał i zrozumiał ostatnie słowa wierszyków:

„On bliźni, nic nie znaczy w wyznaniu różnica,
Wszak jednakowo słońce wszystkim nam przy-
[świéca...“ —

Wstał, zbliżył się do stołu i wskazując na książkę trzymaną przez Sonię, spytał Irenę:

— Co to za książka?

— Czytanka dla polskich dzieci, jest prawie w każdym domu.

— A kto to pisał?

— Jachowicz, on dużo pisał wierszyków dla dzieci i wcale ładne.

— Proszę was, przetłomaczcie mi ten wierszyk po rosyjsku.

Irena dosyć biegle, chociaż bez właściwego akcentu przetłomaczyła. Sasza słuchał w skupieniu i przypomniał sobie swe rozmyślania

po wizycie i nauce chazena. Jakaż to wielka różnica etyczna... i patrząc na spokojną twarz Ireny, spytał:

— Czy was nie rozczula ten wiersz?

— Aż rozczula!? — uśmiechnęła się — co to, to nie. Jest ładny w uczuciu, ale nie żadne arcydzieło.

— Ale jego myśl!? — nalegał Sasza — on przecież w żydzie widzi bliźniego, ta goimka daje mu chleb.

— Więc co?... To się zdarza... my również dajemy biednym katolikom jałmużnę.

— Wy? — zdziwił się.

— No, my!... czy to co dziwnego?

Sasza spojrzał porozumiewawczo na Sonię, westchnął i rzekł:

— Wy inni!... Ja to widzę.

— Nie rozumiem — patrzała mu prosto w oczy z odcieniem zdziwienia.

— Nu, widzicie, dla talmudystów bliźnim jest tylko ich współwyznawca.

— A, o tem mówicie, — zawołała Irena — to inna sprawa. Nie wszyscy chrześcijanie stosują się do bajki Jachowicza, nie wszyscy żydzi do talmudu, ale to starzy... my, młodzi, wyznajemy inne zasady, my idziemy równi z równymi, wolni z wolnymi.

Wszedł Mieczysław, a po przywitaniu spytał:

— O czem mówiliście?

— O etyce, — odpowiedziała Irena — i zdaje się, że Sasza ma pewne wątpliwości.

— Jakie, Sasza?

— Zaraz... wpierw spytam was, czy wy bywacie w domach chrześcijańskich?

— My znamy dużo chrześcijan, ja mam kolegów, Irena koleżanki.

— Nu, i jak wam u nich? Czy oni was przyjmują jak swoich?

— Wśród młodych niema żadnej różnicy.

— A wśród starszych?

Mieczysław spojrzał na Irenę i przez chwilę milczał, wreszcie rzekł:

— Starsi nie widzą nas tak chętnie, oni nie wiele wiedzą o nas młodych... im zawsze się zdaje, że wszyscy żydzi to wyzyskiwacze, egoiści, bez społecznej etyki i że wszyscy ciążą do tego ciemnego tłumu nieprodukcyjnych faktorów i pośredników.

— Nu... a co wy na to?

— Wiecie Sasza, — zaśmiał się Mieczysław — wy macie zdolności na sędziego śledczego.

— Niech i tak będzie, — uśmiechnął się — ale kto nie pyta, ten błądzi... nu, co wy na to?

— My wierzymy, że to się zmieni na lepsze, przecież wiekowe błędy nie dadzą się usunąć w jednym dniu.

— Nu, to są słowa, ażeby się uspokoić, — rzekł lekceważąco Sasza. — Kto chce cel osiągnąć, ten musi iść do celu, on nie może stać i czekać. Ja wiem co robi bund; on się gromadzi, on szuka zwolenników, on namawia, prosi, grozi... i to robota.

Mieczysław chodził po pokoju chmurny, czuł że Sasza miał racyę i że czekał odpowiedzi.

— Czy sądzicie, Sasza, — odezwała się Irena — że nasi nic nie robią? Ja wiem od ojca, że założono szkółki dla chłopców i dziewcząt, że są szkoły rzemieślnicze, że stopniowo szerzy się oświata... Zapewne, że idzie to z trudem, że walczyć trzeba z ciemnotą, z przesądami, z uprzedzeniami... ale to idzie naprzód.

— Niech i tak będzie, — uśmiechnął się niedowierzająco — ale to na dziesiątki lat rozłożona praca, może nawet na dłużej... a nam trzeba gwałtownego przewrotu...

— I będzie, Sasza, — zawołał Mieczysław — od tego my, młodzi.

— Wiecie wy co, — patrzał na Irenę i Mieczysława — ja także będę się uczył po polsku... Ja będę przychodził z Sonią. Czy dobrze?

— Ja mam więcej czasu od Miecia, który jest zajęty, — rzekła Irena — będę was oboje

uczyła, ale uprzedzam, że... będę dawała stopnie.

— To dobrze, że i Sasza będzie się uczył... on i mnie przypilnuje, — uśmiechnęła się Sonia — i my wkrótce będziemy z wami mówili po polsku.

— Tem lepiej, — powiedziała Irena — bo nie mówić po polsku w Warszawie jest wprost nieprzyzwoicie.

— Nu, a jak kto nie umie? — uśmiechnął się Sasza.

— Ależ każdym językiem, o ile cię zrozumieją, możesz mówić, — zawołał Mieczysław — byle się nie chełpić, nie krzyczeć, nie narzucać, jak to robią litwacy.

— Mieczysławie, dlaczego ty źle mówisz o litwakach, czy oni nie są twoi bracia? — mówił Sasza z odcieniem żalu.

— Czy dlatego, że mój współwyznawca źle robi, ja mam go chwalić? — uśmiechnął się Mieczysław — a zresztą, ja mówię o nich wśród swoich, a nam niewolno zamykać oczu na ich błędy i wady.

Weszła Zuzia, zawiadamiając, że herbata na stole.

— Spieszcie się, moi młodzi państwo, — mówiła z dobrym uśmiechem Kleinwegowa — za pół godziny musimy być w teatrze.

— Czy ojciec będzie? — spytał syn.

— Dziś ma zajęty wieczór, są jakieś narady handlowe.

— A pan Teodor Leopoldowicz? — rzekł Sasza po chwili.

— Nic mi nie mówił.

— Sasza! — odezwał się Mieczysław — nie mów do nas i o nas „Leopoldowicz“, u nas niema tego zwyczaju.

— Nu, dobrze, ja mogę nie mówić.

## VIII.

Teatr był pełny. Panie postrojone zajęły loże, a przed rozpoczęciem widowiska napełniła się sala gwarem półgłośnych rozmów, przywitań, krótkich frazesów; czuć było nastrój wesoły i swobodny.

W jednym z bliższych sceny rzędów krzeseł stał w jaskrawej krawatce, w kamizelce koloru malinowego, z licznymi brelokami u zegarka, Aleksy Fiszkun i dumnem, pogardliwem spojrzeniem mierzył gromadzącą się publiczność. Pewność siebie i lekceważenie innych malowały się nietylko w twarzy, ale i w ruchach. Przechodzący obok niego musieli się ostrożnie ciasnem przejściem przesuwać, gdyż wysunął nogę rozmyślnie.

Wyzywającem spojrzeniem lustrował zajęte loże, a gdy spostrzegł Kleinwegową i resztę towarzystwa, ostentacyjnie podniósł w górę kapelusz, uśmiechnął się i niemal zawołał:

— Zdrastwujtie!

Publiczność w krzesłach spojrzała na niego trochę zdziwiona, a ktoś rzekł półgłosem:

— To ci ananas — co wywołało śmiechy i dowcipy inne.

W tym czasie, jeden z widzów przeciskając się obok Aleksego niechcący go nacisnął Ten odepchnął przechodzącego i zaczął głośno wołać po rosyjsku:

— Co to jest!? Czy wy ślepi, nie widzicie, że ja tu stoję?!

— Przepraszam pana — rzekł uprzejmie zaczepiony.

— Co wy gadacie? Ja was nie rozumiem, to moje miejsce, ja zapłacił — niemal wołał za odchodzącym.

— A to małpa malinowa! — zawołał ktoś z boku, a inni śmiali się, lecz wogóle zachowanie się Aleksego wzbudziło u jednych niesmak, u drugich niechęć.

W loży Kleinwegów, ta postawa zaczepna Aleksego wywołała u Kleinwegowej uśmiech politowania i z pewnem dumnem zadowoleniem spojrzała na swe dobrze wychowane dzieci. Irena i Mieczysław patrzyli ze złośliwem zadowoleniem na rozrzucającego się Aleksego, a Mieczysław szepnął:

— Sasza, twój brat, to okaz godny menażeryi.

— On tylko zarozumiały — starał się bronić brata, gdyż i jemu nie podobało się to wyzywające zachowanie się Aleksego.

Po pierwszej jednoaktówce wszedł Aleksy do loży i kołysząc się, to na jednej, to na drugiej nodze, witał się hałaśliwie:

— Wy, mademoiselle — zwrócił się do Ireny — wyglądacie jak królowa piękności, jaki u was biust, jaka figura i ręka... Ja wam przyniósł słodycze — podał półfuntowe pudełeczko.

Irena zaczerwieniona wzięła cukierki i odwróciła się, a matka rzekła dość ostro:

— Panie Fiszkun... ciszej... tu teatr, nie mieszkanie prywatne.

— Wy, madame, zanadto wrażliwi i grzeczni... jak ja zapłaciłem, to jest moje miejsce i wszystko mi wolno robić...

— Bez przykrości dla innych — dorzucił Mieczysław.

— Nu, tak... ale ja muszę pilnować, ażeby mi było także przyjemnie.

Sonia, chcąc odwrócić tę niemiłą dla siebie rozmowę, rzekła:

— Aleksy, jakże ci się podobała gra aktorów?

— U nas w Moskwie, w kabaretach, lepszych widywałem — odpowiedział z miną wzgardliwą — i ta publika... śmieje się, bije brawo, jak gdyby było za co.

— A dla mnie aktorzy grają wybornie — dodał Sasza — i publiczność bardzo przyjemna.

— Co ty wiesz!? — zadrwił Aleksy — jak ty się nie rozumiesz, to nie wtrącaj się do rozmowy starszych.

— Panie Aleksy — spojrzała Irena surowo — używa pan dziwnego tonu względem brata... u nas jest swoboda przekonań i poglądów.

— To u was — zaśmiał się — ale my wprowadzimy tu nasze zwyczaje, u nas młodzi muszą słuchać starszych, bo oni mają doświadczenie. Czy nie tak, madame?

Dzwonek uwolnił Kleinwegową od odpowiedzi. Aleksy ze słowem: dowidzenia, udał się na swe miejsce.

Już sam początek komedyi nie podobał mu się i syknął kilka razy przez zęby. Gdy ujrzał semickie typy i ich ruchy na scenie, rzekł półgłosem:

— To obraza narodowości!

Sąsiedzi, niezadowoleni z tej przerwy, zawołali dyskretnie:

— Psst!... Psst!... Cicho!

Aleksy ze złośliwością powiedział znów półgłosem:

— Co to psst?... To mnie obraża!

Wtem wszedł na scenę bankier wybornie

ucharakteryzowany i cały teatr zabrzmiał oklaskami. Aleksy, oburzony, że w polskim teatrze ośmielają się przedstawiać śmiesznie żydów, zaczął gwałtownie sykać, nareszcie gwizdnął.

Artysta, grający bankiera, słysząc te syki i gwizdnięcie, zwrócił się w tę stronę sali, uśmiechnął się z politowaniem i palcem dotknął czoła.

Ta mimika wymowna wywołała huragan oklasków, lecz tem silniej gwizdał i sykał Aleksy.

Już poprzednio zachowanie się Aleksego zwróciło uwagę woźnych, inspektora i urzędnika policyi, a teraz wobec gwizdu, podszedł inspektor i rzekł grzecznie po polsku:

— Prosiłbym pana o spokojne zachowanie się w teatrze.

— Co to jest? — krzyczał Aleksy — jak pan przemawia do mnie.

— Milcz pan — rzekł inspektor po rosyjsku — i proszę wyjść z teatru!

— Ja zapłaciłem... mnie wolno sykać, co to jest!?

Ten spór głośny zwrócił uwagę części publiczności, a sąsiedzi Aleksego, dawniej już oburzeni, wołali:

— Wyrzucić go!... Precz z nim!

Szybko podszedł urzędnik policyi, stanął przy Aleksym i rozkazał:

— Nie rozprawiać!

Wobec policyi Aleksy natychmiast złagodniał i zaczął się pokornie usprawiedliwiać:

— Ja nie znałem zwyczajów... daruj pan... ja tylko trochę sykałem.

— Precz z nim! Precz! — wołali ci i owi słuchacze.

Aleksy ujrzał przed sobą wstyd wyrzucenia ze sali i to w obecności Kleinwegów, którzy przypatrywali się temu, prosił też coraz pokorniej:

— Daję słowo honoru, że będę cicho... zostaw mnie pan.

Ta jego pokora obudziła współczucie sąsiadów i ci i owi wołali:

— Niech zostanie!... prosimy nie przeszkadzać!... Na bok!... Nie widzę! — te i podobne okrzyki rzucano z miejsc sąsiednich.

— No, ja was zostawię, ale siedźcie spokojnie i cicho.

Całe to zajście trwało bardzo krótko, ale na tyle głośno, że zwróciło uwagę Kleinwegowej i towarzystwa w loży.

Irena uśmiechała się ze złośliwym tryumfem; Sonia, czerwona aż po włosy, spuściła oczy, udając, że nic nie słyszy, ani widzi. Sasza patrzał surowo i z wyrazem przykrości

na Aleksego; zaś Mieczysław współczując ze swym towarzyszem, rzekł z cicha:

— Nic mu nie będzie, a nauczy go to rozumu.

— Nu, zawsze to wstyd — westchnął Sasza.

W czasie dalszego przedstawienia, Aleksy powstrzymywał siłą woli swój gniew, a gdy rozlegały się salwy oklasków, on ostentacyjnie kładł ręce na poręczy krzesła i złem okiem mierzył salę.

Gdy raz wśród grzmotu oklasków spojrzał na lożę Kleinwegów, ujrzał ku swemu zgorszeniu, że rozbawione towarzystwo oklaskiwało artystę na równi z innymi widzami.

Nareszcie spuszczono kurtynę, a gdy minęły wywoływania artystów, zwrócił się Aleksy do swych sąsiadów z rodzajem usprawiedliwienia:

— Wiecie panowie, to nie żadna sztuka... To sobie komedyanci pozwalają — zaczął, lecz sąsiad najbliższy ze słowami:

— Nie rozumiem pana — odwrócił się od niego.

Tak samo postąpił i drugi sąsiad. Aleksy tedy zły i wzburzony poszedł do loży, gdzie zaraz z progu zawołał:

— Jak wam nie wstyd oklaskiwać tych podłych komedyantów?... ja się nie tak bar-

dzo dziwię wam, madame i wam, mademoiselle... ale Sonia!?... ale Sasza!?

— Ciszej, panie Aleksy — rzekła z naciskiem Kleinwegowa — już raz o to prosiłam.

— Nu... jak mam być cicho — zniżył głos — jeśli na scenie z nas się wyśmiewają... i was to cieszy?

— Panie Aleksy — powiedziała Kleinwegowa z powagą i z zimną grzecznością — tu ani czas, ani miejsce na spory i nauki... Gdzie pański ojciec dzisiaj?

— On pewno robi umowy... ja coś słyszałem, ale on żeby tu był, toby się zatrząsł z gniewu... Aj, żeby tu byli nasi... oniby roznieśli teatr!

— Irenko, spójrz na krzesła... jest Lola — rzekła Kleinwegowa — w czwartym rzędzie.

— A prawda... zobaczyła nas... jak dobrze dziś wygląda... Mieciu, jest i Szczutkowski... stoi pod filarem... spytaj się go, o której godzinie jutrzejsze zgromadzenie?

Miecio wyszedł, a matka spytała:

— Jakie to zgromadzenie, Irenko?

— To literackie.

— A pan Szczutkowski, kto?

— On ma czytać referat o nowych kierunkach w poezyi.

— Nu, ja widzę, że ja tu nie potrzebny — zauważył Aleksy z kwaśną miną.

— Ale cóż znowu? — uśmiechnęła się Kleinwegowa — siadaj pan na miejscu Miecia... pogadamy... Pan bywał często w teatrze?

— Ja, bardzo często... w każdy wieczór, jak nie w teatrze, to na zabawie... młodemu nudno w domu, czy nie tak?

— To musi być męczące życie — zauważyła Irena.

— Ja sobie odpocznę, jak się ożenię... wtedy będzie mi przyjemnie w domu... Młoda żona rozwesela — zaśmiał się.

— A tak... czy lubi pan koncerty?

— Jak muzyka wesoła, to ja idę... a czy smakowały wam, mademoiselle, moje cukierki?

— Dziękuję... były dobre.

— Ja sam dla was wybierałem.

Wszedł Mieczysław i równocześnie zadzwoniono.

— Ja już idę... ja będę czekał na was... pójdziemy razem. Dobrze?

— Tak jest — skinęła mu głową Kleinwegowa.

Gdy wychodzili z teatru, Aleksy szepnął kilka słów Soni i Saszy na osobności. Pod filarami na dole, zatrzymał Kleinwegową i rzekł:

— Wy, madame, sądzicie, że my nie znamy form... a my znamy.

— Nie wątpię, panie Aleksy — odpowiedziała uprzejmie.

— My, ludzie szczerzy i serdeczni... my okazujemy w czynach naszą wdzięczność, nie w słowach.

— Dobrze, panie Aleksy... chodźmy, możemy rozmawiać, idąc.

— Nu, nie... wy mnie posłuchajcie, madame... W domu, u was, wy nas nakarmili i napoili... to kosztuje. Potem wzięliście Sonię i Saszę do teatru, to także pieniądz... to wy mi nie odmówicie i pójdziecie na kolacyę razem z mademoiselle.

W czasie tej rozmowy Sonia szepnęła do Ireny:

— Moja droga, chodź z nami, nigdy nie byłam w tutejszej restauracyi... zabawimy się... poproś mamy.

A równocześnie Sasza mówił na ucho Mieczysławowi:

— Aleksy pewno chce naprawić swój dzisiejszy błąd. Namów matkę... pójdziemy.

Obojgu młodym, Irenie i Mieczysławowi uśmiechały się te odwiedziny restauracyi, jako niezwykłe dla nich zakończenie wieczoru teatralnego.

Kleinwegowa, po wysłuchaniu Aleksego, odpowiedziała uprzejmie:

— Dziękujemy panu za zaproszenie, ale to niemożliwe... już późno, a jutro Miecio i Irena mają lekcye.

— Madame, posłuchajcie — uśmiechnął się — ja wiem, że wy nie chcecie narazić mnie na koszta... ale to będzie skromna kolacya, trochę wódki, trochę pieczeni i piwo.

— Nie, panie Aleksy — szła dalej.

— Nu, ja jutro otwieram mój sklep, u gojów bywa poświęcenie, a ja na moje szczęście chcę zjeść z wami i z piękną mademoiselle, waszą córką, kolacyę... Czy wy mi źle życzycie?

— Przeciwnie, życzę panu powodzenia...

— Mamo, chodźmy ten jeden raz — powiedziała Irena.

— Wstąpmy — doradzał Mieczysław — ja zapłacę ze swoich.

— Nie... nie — upierała się Kleinwegowa, lecz gdy wszyscy zaczęli prosić i namawiać, uległa.

— Nu, my zawsze postawimy na swojem — zaśmiał się Aleksy — A gdzie pójdziemy?... Może do Corso? — wskazał na jaskrawe latarnie.

— O, nie! — zawołał Mieczysław — najlepiej do Muellera. U niego można dobrze zjeść i wypić.

— Nu, niech będzie i Mueller, mnie wszystko jedno komu płacę... ot, w Moskwie, ja wiedziałbym gdzie zaprowadzić.

Weszli przez sklep do pierwszej sali, gdzie był wolny tylko jeden stolik pod oknem. Inne

stoliki i dalsze pokoje były zapełnione gośćmi. Stolik był trochę za mały na sześć osób, ale ostatecznie pomieścili się.

Aleksy stukając głośno o stół zawołał ostro:

— „Czeławiek!“

Goście przy innych stolikach z pewnem lekceważeniem patrzyli na hałasującego Aleksego.

— Co to za restauracya? — krzyczał głośno — dzwonka niema, usługi żadnej!

— Ciszej... ciszej — prosiła Kleinwegowa.

Wtem Aleksy zobaczył przechodzącego subjekta i zawołał:

— Człowieku, tutaj! Czy nie słyszysz, że ja wołam... ja chcę coś zjeść.

Subjekt z miną poważną i surową zbliżył się miarowym krokiem i kładąc spis potraw na stół, spytał tonem obojętnym:

— Co pan pozwoli z kuchni?

Aleksy rzucił okiem na kartę, pochwycił ją i zawołał:

— Jak ty do mnie przemawiasz? Jaką kartę mi dajesz? — z temi słowy cisnął kartę na podłogę, pod nogi subjekta.

Ten, z miną zawsze poważną i surową, schylił się, podniósł kartę i rozprostowywał, a Aleksy, mimo prośb Kleinwegowej i Ireny, krzyczał:

— Ja nie rozumiem waszego podłego języka!

— Za drzwi z nim! — zawołał ktoś z gości.

Subjekt wpatrzył się surowo w twarz Aleksego i rzekł zimnym, spokojnym tonem:

— Pan zachowuje się jak łobuz w karczmie... proszę opuścić lokal — i ręką wskazał drzwi.

Aleksy, który sądził, że tutaj naprawi swą opinię nadwerężoną zajściem w teatrze, zawołał gniewnie:

— Jak ty śmiesz do mnie tak przemawiać!? — a zwracając się do gości, oświadczył: — panowie, ten człowiek ubliża nam...

Jeden z gości uśmiechnął się wzgardliwie.

— Proszę wyjść, bo zawołam służbę i każę wyrzucić! — zawołał subjekt.

W tej krytycznej dla pań chwili zjawił się nagle we drzwiach Teodor Kleinweg, poznał towarzystwo, a słysząc ostatnie słowa subjekta, domyślił się, że Fiszkun zrobił awanturę i zbliżywszy się szybko do subjekta, rzekł bardzo uprzejmie:

— Panie Kazimierzu, bardzo proszę o chwilę spokoju... to moja matka i siostra.

Panie, które w czasie całego zajścia to bladły, to czerwieniały, uspokoiły się trochę i odetchnęły, zobaczywszy Teodora.

— Ten pan zachował się tak nieprzyzwoicie — mówił z niezmąconą powagą pan Ka-

zimierz — że zostać tu nie może. Ubliżył wszystkim i ubliżył mi osobiście.

Na ten spór wszedł na salę ze sklepu zarządzający i spytał kwaśno:

— Cóż to za hałasy?

— Ten pan — wskazał pan Kazimierz na Aleksego — wyraził się pogardliwie i rzucił mi pod nogi kartę — pokazał zmięty cokolwiek spis potraw.

— A pan? — spytał zarządzający.

— Wyprosiłem go.

— Bardzo słusznie.

— Przepraszam panów — wmieszał się Teodor Kleinweg — nie przeczę, że ten pan źle postąpił... ale dlaczego ma cierpieć moja matka i siostra?

Teodor był częstym gościem w lokalu, znano go, nie chciano zrobić mu przykrości, więc zarządzający zawyrokował:

— Ten pan — wskazał na Aleksego — może tu pozostać, ale pod warunkiem, że odwoła swe słowa i przeprosi pana Kazimierza.

— Zgoda! — uśmiechnął się Teodor, któremu zależało na tem, ażeby matka i siostra uniknęły przykrości.

Zbliżył się do stołu, przywitał się i rzekł do Aleksego:

— Pan źle postąpiłeś... tu Warszawa... i albo pan wyjdziesz, a my zostaniemy... albo odwo-

łasz pan ubliżające słowa i przeprosisz pana Kazimierza, a w takim razie zostaniesz pan i zjesz pan z nami kolacyę.

— Co to jest?! Ja zawołam policyę, ona ich nauczy! Ja nie pozwolę na takie ubliżenie!

— Panie Kazimierzu — rzekł spokojnie Teodor — czy ostatni pokój wolny?

— Tak jest.

— Proszę panie i was — spojrzał na Saszę i Mieczysława — przejdziemy tam... a pan Aleksy niech zawoła policyę, która spisze z nim protokół.

Wstali od stołu, a wówczas Aleksy zawołał:

— Nu, a co ze mną?

— Przeproś pan... za odezwanie się swoje i za niewłaściwe zachowanie się — powiedział twardo Teodor, zabierając się do odejścia.

— Nu, na ten raz ja ustąpię... co mam robić?

— Przeprosić — odrzekł obojętnie Teodor, zatrzymując się w sali.

— Niech będzie; — i Aleksy, patrząc na spokojną i poważną twarz Kazimierza, mówił: — Ja niewłaściwie wyraziłem się... przepraszam... Ja i pana przepraszam, ja sądziłem, że tu lokaje usługują — podał rękę.

Ale pan Kazimierz udał, że nie widzi wyciągniętej ręki i rzekł oschłym tonem:

— Robię ustępstwo dla pana Kleinwega... proszę do dalszego pokoju — odwrócił się i miarowym krokiem poszedł do sklepu.

Zasiedli w dość przestronnym pokoju, a Teodor zamówił kolacyę.

— Nu, u was dziwne zwyczaje — mówił chmurny Aleksy — wy nawet grzeczni dla usługi i robicie ustępstwa.

— Zachowaj się pan właściwie, a wszystko będzie w porządku — powiedział zimno Teodor, i zwracając się do matki i siostry: — Jakże dziś w teatrze? Pełno było? wesoło?

— Bardzo dobrze grano wogóle — mówiła Irena - ale Frenkiel jako Rosenblatt był nieporównany.

— Nu, to bardzo dziwna rzecz — odezwał się Aleksy — że wy, mademoiselle, przyjmujecie wesoło wyśmiewanie waszych braci.

— No, no, panie Aleksy — uśmiechnął się Teodor — sztuka nie zna narodowości i zastrzeżeń. W iluż komedyach wyśmiewa się Niemców, Francuzów, Anglików, a nikomu do głowy nie przyjdzie obrażać się o podobne rzeczy.

— To na nas zrobione — zawołał Aleksy — ażeby nas ośmieszyć, zdeptać, zniweczyć w oczach ludzi.

— Czegóż chcesz znów od Emmy i Lu-

dwika — odezwała się Sonia — i on i ona są dobrzy i szlachetni.

— Ale ci Goldsternowie, ale sam bankier Rosenblatt... już ja ich nauczę rozumu... nie wolno śmiać się z nas! i to komu? — kończył wzgardliwie.

— Panie Aleksy, pan chyba bywał rzadko w teatrze — podjął Mieczysław. — Przecież są komiczne figury szlachty, wojskowych, mieszczan, kupców, chłopów i... nikt się nie obraża. Sztuka ma swoje prawa i przywileje.

— To wasze zdanie, a ja zniszczyłbym całą sztukę, wszystko — zawołał namiętnie — gdyby ona pozwoliła sobie na karykaturę mego narodu.

Cóż za surowość! — zaśmiała się Irena.

— Nu, bo pani nie zna naszych przepisów... pani nie zna naszych przykazań.

— Przeciwnie, jestem starozakonna — uśmiechnęła się Irena — i uczono mnie przykazań.

Wniesiono kolacyę, rozmawiano o najnowszych wypadkach w Warszawie i przypadkowo zahaczono znów o dzisiejsze przedstawienie, a Sasza powiedział:

— Ja nie widzę nic złego w „Złotym Cielcu“, jeśli kto zabawny, dlaczego nie wyśmiać go, ażeby on się poprawił.

— Sasza, — zawołał Aleksy — co ty mó-

wisz? Ja się nie dziwię kobietom, one nie znają ksiąg świętych, ale ty?

— Ja nie pamiętam — mówił Sasza — ażeby gdzie było napisane, że nie wolno śmiać się z bliźnich.

— Ty głupi, Sasza — rzekł gniewnie. — Jeśli w książkach stoi: „Kto żydowi da policzek, a jest gojem, ten winien śmierci"... to jak goj ze mnie się naśmiewa, czy mam na to pozwalać?... Ja powiem w bundzie i my nie pozwolimy gojom wystawiać nas na pośmiewisko.

Odłożył nóż i widelec, i zły i chmurny patrzał w stół i rozpoczętą potrawę na talerzu.

— Wątpię, czy panu to się uda — uśmiechnął się Teodor, — tę komedyjkę grają może od dwudziestu lat i nikomu z nas nie przyszło na myśl robić z tego awanturę.

— Bo wy boicie się Polaków, a my nie, bo czujemy się tu panami położenia. A czy wolno niewolnikom wyśmiewać swoich panów?

Teodor z uśmiechem lekceważenia wysłuchał tych słów i rzekł:

— Dlaczego pan nie je, panie Aleksy? Czy panu nie smakuje?

— A pan myśli, że ja mogę jeść? — zawołał z goryczą. — Mnie jest niezdrowo. Ja jeszcze w życiu nie przeszedłem tego, co

dzisiejszego wieczora... jak opowiem, to nikt z naszych nie będzie mógł uwierzyć.

— Więc pan nie mów! — odezwała się Irena — zresztą musi pan przyznać, że z panem obeszli się grzecznie.

— Nie, nie! — śmiał się Aleksy — to nie cywilizacya, nie kultura...

Teodor zadzwonił o rachunek.

— Możesz pan źle wyjść na tem.

— Ja się nie boję... ja nie Polak — śmiał się głośno, a gdy ujrzał subjekta z książką rachunkową, wstał i sięgnął po swoje palto, udając, że nie widzi Teodora, płacącego cały rachunek.

To rozdrażniło Saszę i zawołał:

— Aleksy, ty płać... ty nas zaprosił.

— Co ty mi przypominasz... zaraz zapłacę, tylko się ubiorę.

Jednak tak długo zwlekał, aż ujrzał pieniądze w ręku subjekta i wołał za odchodzącym:

— Panie! A mój rachunek!... Ja chcę zapłacić za kolacyę!

— Już uregulowano — mruknął subjekt, idąc w głąb lokalu.

— Nu, panie Teodorze Kleinweg, to ja panu zapłacę.

Ten, pomagając matce włożyć okrycie, powiedział z ironią:

— Zapóźno, panie Fiszkun... już zapłaciłem.

— Nu, co ja mam robić, jak pan nie chce — uśmiechnął się — my spotkamy się na drugi raz i ja wtedy zapłacę.

---

## IX.

Przedsiębiorcy i kupcy handlujący obuwiem odczytali nie bez zdziwienia, jednobrzmiące ogłoszenie w gazetach warszawskich: „Potrzebni majstrowie szewscy na obuwie męskie, damskie, dziecinne, wszelkiego gatunku, Sienna 5“.

To ogłoszenie powtarzało się codziennie, a oprócz tego pod ten sam adres wzywano: kamaszników, specyalistów na szpaltowane, na szpilkowe, na wywrotki, na krajczych i t. d. i t. d.

Wsród majstrów i czeladników samoistnych wszczął się ruch wielki. Po warsztatach i mieszkaniach rzemieślników tego zawodu opowiadano sobie, że jakiś bogaty Rosyanin, poznawszy ogromne zarobki przedsiębiorców i eksporterów obuwia, sam podjął się tego interesu i chce ukrócić wyzysk, któremu ulegali rzemieślnicy warszawscy.

Naturalnie producenci obuwia poczęli lekceważyć dotychczasowych odbiorców, a przynajmniej żądać rozmaitych ulg i lepszej zapłaty.

Na razie ciągnęli gromadnie do Fiszkuna tylko ci z majstrów i czeladników, którzy mieli swój czas na zbyciu, inni, solidniejsi, pozostali przy dawnych odbiorcach.

Na złotym szyldzie widniał zdaleka napis rosyjski: „Pierwsza w kraju fabryka obuwia".

Lokal tego przedsiębiorstwa znajdował się w poprzecznej oficynie i obejmował, prócz oddzielnego składu, trzy pokoje.

Przed otwarciem tego przedsiębiorstwa stary Fiszkun cały dzień był zajęty i dopiero wieczorem wpadł do domu, kazał dać herbatę i zawołał Saszę.

— Słuchaj, ty masz już dwudziesty rok... twoja nauka kosztuje mnie dużo, teraz czas, żebyś się zajął i pomógł ojcu twemu. Cóż ty na to?

— Ja będę posłuszny... o co idzie?

— My tu siedzimy już trzeci miesiąc, teraz jest grudzień... Ja zaczynam interes, on jest ryzykowny, ale on powinien pójść. Ty będziesz starszym pisarzem u mnie, ja dam tobie trzydzieści rubli miesięcznie, a ty potrzebujesz pilnować tylko dwóch pisarzy, no i robić korespondencye.

— Ja to mogę... a jaki to interes?

— Jaki, czy ty nie słyszałeś? To jest wielki eksport obuwia warszawskiego do Rosyi... Jak mi się powiedzie, ja zarobię krocie.

— Ja życzę tego ojcu... ale tu niema żadnych podstępów, fałszów, udawania... czy to prosty interes?

— Dlaczego ty się pytasz? — oburzył się stary — jeśli twój ojciec prowadzi interes, on musi być dobry i pewny.

— Ja to wiem... ale gdyby to miał być interes taki, jak Aleksego, to ja nie chcę brać w nim udziału... ja wolę zarabiać na chleb lekcyami.

— Czy ty zwaryował, Sasza!? — patrzał mu w oczy bardziej zdziwiony, aniżeli zły — ty, mój syn, Fiszkun, ty mełamed?! Czy ja ciebie na to wychowałem i kształciłem? Co tobie jest?

— Co ma być?... Ja chcę iść drogą prawdy i sprawiedliwości... nic więcej. Ja wierzę, że ojciec jest dobry, uczciwy człowiek, to ja mogę wstąpić do interesu ojca.

— Słuchaj, Sasza — rzekł z niezwykłą powagą ojciec — ty już nie dziecko, ty masz swój rozum, to ja ci powiem, bez chwalenia siebie, że wśród naszych nikogo nie znajdziesz, ażeby mógł narzekać na mnie i powiedzieć

coś złego o Mojżeszu Dawidowiczu Fiszkunie... ja tobie życzę tego.

— To jest dużo, ojcze... ale to nie wszystko jeszcze.

— A czego ty chcesz? — zawołał.

W tej chwili weszła matka i stawiając talerzyk z resztkami leguminy obiadowej, spytała:

— O czem wy mówicie?

— Malciu, ty nie przeszkadzaj... Nu, Sasza, czego ty chcesz od twego ojca?

— Tego, żeby wszyscy – podkreślił ostatni wyraz — mówili o ojcu: to sprawiedliwy człowiek.

— Aj, Sasza — zawołała matka z wyrzutem w głosie — jak ty możesz tak mówić o twym ojcu?! Twój ojciec jest najlepszy i najsprawiedliwszy... wszyscy go szanują. U nas drzwi się nie zamykają, bo każdy przychodzi o radę, o sąd, o sprawiedliwość. Czy ty o tem nie wiesz?

Pod wpływem słów matki, spojrzeń ojca, Sasza poczuł się winnym i powiedział pokornie:

— Ja to wiem.

Stary Fiszkun odetchnął swobodniej, z pewną wdzięcznością spojrzał na żonę i rzekł:

— Nu, Sasza, ty jutro przyjdź do interesu... ty będziesz miał swoją pensyę, a ja wyręczenie.

— Co to jest? — spytała zaciekawiona.

Mąż wytłómaczył swoje zamiary i propozycyę. Za chwilę wstał i rzekł:

— Ja jeszcze raz zrobię rachunek interesu... a potem się położę, bo ja zmęczony.

W zimny poranek grudniowy przed godziną dziewiątą, Fiszkun z Saszą szli spiesznie do kantoru przedsiębiorstwa.

W pierwszym pokoju, przeznaczonym na poczekalnię, zastali tylko woźnego Seliga, w czapce z napisem rosyjskim na żółtej, metalowej obwódce, grzejącego się przy piecu.

— Selig, dlaczego tu zimno? — spytał Fiszkun.

— Czy ma być ciepło, jak mało węgla? — odpowiedział nie ruszając się z miejsca.

Pryncypał otworzył drzwi dalsze od pokoju o dwóch oknach.

Umieszczono tu cztery stoły z przyborami do pisania i poukładanymi papierami i księgami foliałowemi, oprawnemi. Było też kilka krzeseł i obita ceratą kanapka pod ścianą.

W pokoju, dwóch młodych, zziębniętych pisarzy stało pod piecem, zaś Markun we futrze rozmawiał z majstrem szewskim Joselem Abrahamowiczem Tillesem, który w przedsiębiorstwie reprezentował techniczną znajomość obuwia.

Fiszkun, w czapce barankowej, stanął na środku pokoju, pozdrowił obecnych i zwrócił się do Markuna:

— Szymonie Saulowiczu, dlaczego ty nie kazał napalić? Czy ja ci nie mówiłem?

— Ja kazałem i piec ciepły, a jak przyjdą interesanci, my się rozgrzejemy — zaśmiał się.

— Ty oszczędzisz na czem innem... ale w naszym kantorze musi być ciepło... a wy — spojrzał na pisarzy — jak wy wyglądacie? Wy musicie być weseli. Interesanci mogą stracić zaufanie.

Obydwaj uśmiechnęli się i stanęli przy stole z wyrazem gotowości do pracy.

Wraz z Saszą wszedł Fiszkun do trzeciego pokoju, swego gabinetu, umeblowanego czterema fotelikami wyścielanymi, kanapką, biurkiem i kasą żelazną. Tu było stosunkowo cieplej, zrzucili wierzchnie ubrania, a ojciec usiadłszy za biurkiem na wygodnym fotelu, zatarł ręce i rzekł wesoło:

— Nu, Sasza, to początek twojej karyery... jak ci się podoba?

— Ja zobaczę... nie wiem.

— Jak tam się ociepli, ty pójdziesz do tamtego kantoru, ja ci dam listy do pisania, ty musisz dać dobry przykład pilności moim ludziom.

— Dobrze, ojcze.

— A teraz zawołaj do mnie Szymona.

Gdy wszedł Markun, zapytał go Fiszkun:

— Czy kazałeś dorzucić węgla?

— Ja powiedziałem.

— Jest co nowego, Szymonie?

— Wczoraj było kilku na zwiadach, stróż kazał im przyjść dzisiaj.

— To dobrze... a cennik dałeś Joselowi?

— On umie już na pamięć i cennik Falutyńskiego i Kleinwega... A wiesz, Mojsze, co on mówi?

— Nu?

— Że za drogo płacimy, że tę samą robotę można mieć taniej.

— On nie rozumie interesu — uśmiechnął się pryncypał — nie z jego kieszeni idą pieniądze, niech on płaci tak, jak ułożyliśmy się.

— Aj, Mojsze, czy tylko ty pewny tego interesu? bo ja włożyłem, jak wiesz, całą połowę majątku — westchnął Markun i patrzał badawczo w twarz Fiszkuna.

— Jeśli chcesz, ty możesz dziś otrzymać twój wkład, bo ja wiem, że będę miał zyski.

— Nu, interes się zaczyna — spojrzał na zegarek kieszonkowy — akurat jest pół do dziesiątej.

W ciszy pokoju słychać było kilka głosów mówiących po polsku i rosyjską przemowę Markuna, Josela, a potem dwóch pisarzy.

Fiszkun nasłuchiwał, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka.

Wszedł szybko Markun i rzekł z progu:

— Co ja mam zrobić, oni mówią do mnie po polsku.

— Nu, każ im mówić po rosyjsku.

— Już to zrobiłem.

Fiszkun, zostawiając w pokoju siedzącego Saszę, poszedł z wielką powagą do kantoru i spojrzał na trzech mężczyzn, czysto, chociaż ubogo ubranych, w paltotach wyszarzanych, którzy na jego widok skłonili się uprzejmie.

— Nu, panowie, czego chcecie? — spytał po rosyjsku.

— Czytaliśmy ogłoszenie w dzienniku, przyszliśmy spytać, jaka to robota — odpowiedział jeden z nich.

— A po rosyjsku nie umiecie?

— Nie.

Fiszkun zamyślił się. Ani mu przyszło do głowy żądać od nich mówienia po rosyjsku, gdyż ich potrzebował i po dobrej chwili zaczął niby po polsku:

— Ot, u mienia potrzebuje imiet' rabotnikow... nu, buty — wskazał na nogi swoje.

— Buty, czy kamaszki? — spytał jeden z przybyłych.

— Nu... i jedno... i drugie...

— Ileż panu potrzeba? z jakiej skóry?

— Szyte, czy szpilkowe? — dodał inny.

— Szpaltowane?... a jak z cholewkami?

Odpowiedź na te szybkie pytania przechodziła jego umiejętność polskiego języka i rzekł:

— Nu, ja was nie rozumiem.

Naprożno silili się przybysze rozmówić się po rosyjsku, zruszczając polskie słowa. Obie strony nie rozumiały się, zwłaszcza w technicznych nazwach.

— Szymonie, co tu robić? — zawołał bezradny pryncypał.

Sasza, który stanął we drzwiach, przemówił nagle:

— Ja ojcu pomogę może... trochę umiem po polsku.

— Ty? — zdziwił się — a to jakim sposobem?

— Ja się uczyłem.

— Nu, ty spytaj ich, ile oni chcą od roboty, ja dam skórę.

Sasza postawił stosowne pytanie, lecz w odpowiedzi posłyszał taką ilość kwestyi co do sposobu roboty samej, tyle słów technicznych, których znaczenia nie znał, że po kilku bezowocnych próbach, rzekł do ojca:

— Ja ich nie rozumiem, to wyrażenia specyalne, a na szewstwie nie znam się zupełnie.

— Aj, co tu robić? — drapał się w brodę

Fiszkun — nu, tego się nie spodziewałem, ażeby nie umieli po rusku.

— Ojcze — zauważył Sasza — tu im wystarcza ich język.

— Ja to widzę, poco tłómaczysz? Ty powiedz im, że ja chcę z nimi zrobić umowę na obuwie, ja dam skórę, dam zaliczkę, ale muszę mieć pewność.

Sasza powtórzył te słowa, mówił wprawdzie po polsku, ale z trudem i z silnym akcentem rosyjskim. Po dłuższych dopytywaniach i wyjaśnieniach zrozumieli, ale znów wysunęli gatunek roboty, czego Sasza nie rozumiał i oświadczył to ojcu.

— Ty im powiedz, niech oni przyjdą z tłómaczem, to zrobimy interes.

— Co takiego? — oburzył się jeden z nich — a skądże weźmiemy tłómacza?

W tej chwili otworzył drzwi woźny Selig i zawołał:

— Jest tu trzech, czy ich puścić?

Fiszkun sądząc, że wśród nowych znajdzie się tłómacz, rozkazał:

— Niech wejdą.

Nowoprzybyli zawołali swobodnie:

— Dzień dobry! — i skinęli głowami w stronę dawniej przybyłych, jako do swoich znajomych.

Fiszkun odpowiedział uprzejmie i spytał,

kto z nich umie po rosyjsku. Wystąpił jeden z młodszych i rzekł łamanym językiem rosyjskim:

— W szkole mnie uczono, drukowane to przeczytam i od biedy zrozumiem, ale jak się mówi zwolna i dobitnie.

Fiszkun ucieszony, wyraźnie powiedział, że żąda obuwia, daje swoją skórę i spytał o warunki.

Umiejący po rosyjsku zrozumiał, ale gdy przyszło do rozmowy o warunki, zabrakło mu słów rosyjskich technicznych i porozumienie okazało się niemożliwem.

— Sasza, ty im powiedz, niech sprowadzą tłómacza.

Lecz przybyli odmówili stanowczo i poczęli narzekać na zmarnowanie czasu i czynić wymówki. Poco ich tu sprowadzono? w jakim celu dawano tyle ogłoszeń?

— Sasza, ty im powiedz, że jutro będzie już tłómacz nasz, niech oni przyjdą.

Z pomrukiem niechęci z powodu doznanego zawodu wychodzili, zastrzegając, że gdyby jutro nie zrobili umowy, to wszystkim opowiedzą o całej bladze takiej fabryki.

Fiszkun więcej z tonu, aniżeli ze słów zrozumiał niechęć i rzekł do Saszy:

— Ty ich ułagodź... niech przyjdą, oni już się rozmówią.

— To jakieś zawracanie głowy — odpowiedział jeden z nich — przyjechali do Warszawy i nawet gadać nie nauczyli się przedtem.

— Jutro wszystko będzie w porządku — upewnił Sasza.

Fiszkun patrzał drwiąco i nienawistnie za odchodzącymi i rzekł ze śmiechem:

— Nu, przyjdzie czas, że ci goje będą mnie prosili o robotę... a ja będę wybierał.

— Ojcze, czy to sprawiedliwie gniewać się na nich?...

— Sasza, ty nie gadaj, bo ja zły — następnie zwrócił się do pisarzy stojących: — Za was dwóch nie potrzebuję teraz, wystarczy mi jeden... zostanie Izaak — wskazał na jednego z nich — bo on był w interesie, a ty Szloma pójdziesz, jak mi będzie trzeba, to ja cię zawołam.

Szloma przybladł i zaczął na razie cichym głosem:

— Panie pryncypale, ja miałem inne miejsce... wy, panie, wiecie sami; co ja teraz zrobię... z czego żyć będę?

— Nu, a za co ja mam płacić tobie? Czy ty umiesz po polsku? a jak przyjdzie goj, co ty zrobisz z nim?

— Ja nie miałem umowy o polski język... — bronił się — pan pryncypał mnie krzywdzi.

Zaczęły się kłótnie, targi, ku przykrości Saszy i wreszcie po dłuższej chwili zapłacił Fiszkun Szlomie pensyę za jeden miesiąc.

— Josel — zwrócił się do szewca — my mamy umowę na kwartał, ja zobaczę, czy ty wart... ty się staraj.

— Ja to wiem — skinął Josel głową — niech ich cholera, ale ja znam mój fach, ja się nie boję.

— Szymon i ty Sasza, chodźcie ze mną — wszyscy trzej weszli do gabinetu.

— Słuchaj — zwrócił się do Markuna — ty wyszukaj z tutejszych, ale z naszych, takiego, co dobrze mówi i pisze po polsku i przyprowadzisz go do mnie, do mego domu. Także poszukaj szewca z naszych, żeby umiał po polsku, on Joselowi przetłómaczy co potrzeba.

— Ja to zrobię — upewniał Markun — ale co będzie z naszym kantorem?

— Ty postawisz Seliga, niech on mówi, że biuro będzie otwarte jutro, bo jeszcze nie gotowe.

— A co z ogłoszeniami?

— Niech idą.

Gdy Fiszkun wyszedł na ulicę, rzekł do Saszy:

— Naco ty uczyłeś się po polsku?

— Jak mamy tu żyć, dlaczego nie mam znać tego języka?

— A kto ciebie uczył?

— Kto? Ja u Kleinwegów czytałem... Mieczysław mi pomagał.

— Tylko ty nie bardzo się zaprzyjaźniaj z nimi... naco to tobie?

— Oni są dla mnie przyjemni, to ja chodzę do nich.

— Nu, jak tobie przyjemnie, to ty sobie chodź.

W kilka dni później rozeszły się wieści wśród szewców warszawskich, że „Pierwsza fabryka obuwia“ płaci wyższe ceny, jest bardzo akuratna w wypłatach, tylko wymaga dobrej roboty.

Ten ostatni warunek nie był dziwny szewcom, a że Fiszkun płacił dobrze i na gotówce mu nie zbywało, coraz więcej szewców garnęło się do niego i wchodziło w terminowe umowy.

Fiszkun pracował gorączkowo, nie dospał, nie dojadł, pilnował interesu. Korespondencya jego tak się wzmogła, że przyjął jeszcze dwóch pisarzy, a sam każdy list czytał, poprawiał, podpisywał.

Zapasy obuwia rosły, wkładał coraz większy kapitał, a eksport, mimo wysiłków, rósł stosunkowo zwolna. Kupcy rosyjscy ostrożnie

przyjmowali towar, mimo zniżonej ceny, obawiając się gorszego gatunku i roboty.

Fiszkun pomizerniał, pobladł, ale w pracy nie ustawał.

— Mojsze, ty się rozchorujesz, ty sobie zaszkodzisz — mówiła żona, patrząc na zmęczoną twarz męża.

— Ty się nie bój... ja nie mam czasu na choroby — odpowiedział, przełykając gorącą herbatę — czy nie był Sasza?

— On pewnie przyjdzie.

— Już powinien być — spojrzał na zegarek.

— Dlaczego ty nie dopytujesz się tak o Aleksego? — spytała z pewną pretensyą.

— Dlaczego? On ma swój interes... jemu dobrze idzie. On ma rozum i główkę, on dorobi się majątku.

— Jemu już czas ożenić się — mówiła rozczulona matka — on się marnuje.

— On się nie marnuje. Jak jemu ten interes z platerą się powiedzie, on wygrał wielki los i weźmie żonę choćby najbogatszą.

— Ja to wiem — uśmiechnęła się matka — za nim wszystkie dziewczęta oczy wypatrują... Nu, a co będzie z Sonią? — westchnęła.

— Co jest? — spojrzał badawczo w oczy żony.

— Źle... ona przyjaźni się z Kleinwegówną,

czyta polskie książki... ma dużo znajomych, jej prawie w domu niema. Ja boję się o nią.

— Czego masz się bać? Ona będzie miała dobry posag, to męża znajdzie.

— Mojsze, jej już czas dać męża, ona potrzebuje... ty obiecałeś wyszukać.

— Ja teraz czasu nie mam... ja pomyślę. Co jej tak spieszno?

— Nu, gwałtu niema, ale jak będzie miała męża i dom, ona będzie inna.

Wszedł Sasza i zaledwie pokazał się we drzwiach, zawołał ojciec:

— Masz listy?

— Aż pięć — sięgnął do kieszeni.

— Dawaj — i nałożył szkła, przygotowując się do odczytania. — Malcia, ty mu daj herbaty i co dobrego, on pracuje ciężko.

— Zaraz przyniosę.

Ojciec czytał przyniesione listy i uśmiechał się zadowolony. Matka i syn w milczeniu siedzieli i od czasu do czasu wpatrywali się w czytającego. Gdy ostatni list zbliżył do światła, zanim doszedł do końca listu, uderzył dłonią w stół i zawołał rozpromieniony:

— Aj, dobrze!... To bardzo dobrze!

Odłożył list rękami drżącemi z radości i rzekł:

— Sasza, Malciu... interes idzie... on już pewny...

— Nu, ja się bardzo cieszę — uśmiechnęła się żona — teraz sobie odpoczniesz. Ja wiedziałam, że tobie każdy interes się powiedzie, bo ty mądry, ty wszystko obliczysz akuratnie — zbliżyła się do męża i złożyła głośny pocałunek na jego czole.

— Nu, Sasza, a ty co mówisz? — spytał ojciec — ty przecież pracujesz w interesie... i ja ci coś powiem: ty bierzesz już sześćdziesiąt rubli na miesiąc. Czy ty zadowolony? Ty przecież w ciągu czterech miesięcy dostałeś podwójną pensyę? Czy nie tak?

— Za pensyę jestem wdzięczny; ja wprawdzie pracuję, ale nie wiem, czy moja praca tyle jest warta?

— Ona może jest więcej warta... i jak interes pójdzie, ty dostaniesz więcej, bo ty pilny pracownik. Nu, a co ty myślisz o interesie?

— Ja nie wiem... on dla mnie dziwny; ojciec płaci drożej, aniżeli inni, sprzedaje taniej od innych eksporterów... może ja się domyślam końca, a może nie?

— Nu, jak ty myślisz? — spytał ojciec zaciekawiony.

— Przypuszczam, że ojciec chce ściągnąć klientelę rosyjską do siebie, słabi eksporterzy nie wytrzymają konkurencyi... a wówczas ojciec wróci do dawnych cen i to, co zarabiało

dziesięciu lub więcej eksporterów, ojciec sam weźmie... Nu, to jest walka małego kapitału z wielkim... niech się kapitaliści drą, niech walczą; to nic nie szkodzi, bo na tem robotnik zyskuje.

— Sasza, ty dobrze mówisz — aż cmoknął z rozczulenia — ty masz głowę... ja to obmyśliłem także, ale koniec może być inny.

— Jaki? — spytał syn, patrząc bystro i surowo w oczy ojca — niech tylko ojciec nie obniża zanadto płacy robotników, bo strajk ich zabiłby przedsiębiorstwo ojca.

— Strajk? Ja się tego nie boję.

— Cóż myśli ojciec zrobić?

— Ja nie wiem... ja zobaczę... ja zrobię rachunek... poco o tem teraz gadać?

— Sasza — odezwała się matka — a co ty robisz z temi pieniędzmi, gdzie one są?

— Ja składam i oszczędzam.

— A dużo masz? — dopytywała się.

— Mam trochę — odpowiedział wymijająco.

— Może ty myślisz interes założyć? — zaśmiała się — ale ty jeszcze nie masz rozumu Aleksego.

— I nie chcę go mieć — oświadczył porywczo, lecz zaraz się uspokoił i dodał: — ja mam czas.

Wszedł Markun i Suderow, zasiedli do

stołu, a Fiszkun uradowany pomyślnemi wiadomościami, zarządził podanie kolacyi.

Sasza, który nie lubił Suderowa za jego zarozumiałość i zaciekłość stronniczą, wstał od stołu.

— Sasza, gdzie ty idziesz? – spytał ojciec — zostań, ja nie mam sekretów przed tobą.

— Chciałbym wyjść... mam dziś ważne zebranie.

— Czy wesołe, czy uczone? — zaśmiał się Suderow.

— Ani jedno, ani drugie.

— To może rewolucyjne? — zadrwił.

– Może, panie Suderow, ale dla pana miejsca tam niema.

— Ja też nie chcę.

Sasza wyszedł, a ojciec uczuł pewną ulgę, gdyż przekonania Saszy i jego poczucie etyczne krępowały starego, a nie chcąc tracić miłości i zaufania syna, dużo spraw swych i poglądów bądź zatajał przed nim, bądź też przedstawiał mu w innem oświetleniu.

– Ten Sasza, to pracowity chłopiec — chwalił ojciec — niech Szymon powie, jaki on zdolny i pilny.

— I ja wiem o tem — rzekł Suderow — on przecież wasz syn, a każdy Fiszkun ma dobrą głowę... tylko, że on unika naszych,

wdaje się z tutejszymi, a widziałem go nawet z gojami polskimi.

— Nu, co dziwnego, on przecież zna polski język — nibyto bronił Szymon, którego Sasza unikał.

— Co mówicie!? — zdziwił się Suderow — i wy, Mojżeszu Dawidowiczu, pozwalacie na to?

— Jak on chce, co mi to szkodzi... on teraz uczy się i po francusku i po niemiecku... niech się uczy... to jest potrzebne w interesie, a on kiedyś będzie pierwszą firmą, taki uczciwy i sprawiedliwy — rzekł ojciec, którego niemile dotknęła krytyka dotykająca ukochanego syna.

— Ja to wiem — pospieszył z uznaniem Suderow — on jest nietylko uczciwy, ale on mądry i uczony, z niego będziecie mieli wielką pociechę na starość.

Gospodyni ze służącą wniosły zimne mięsiwa, słodycze i goście jedli ze smakiem.

— Jaki to u was dzień dobry dzisiaj? — spytał Suderow.

Fiszkun, pewny powodzenia i nie obawiając się już konkurencyi, pochwalił się:

— Ja otrzymałem dziś więcej zamówień, aniżeli mam towaru gotowego. Interes mój stanął teraz solidnie i on będzie rósł, jak na drożdżach. Niezadługo ja będę dyktował warunki i wszyscy będą się liczyli ze mną.

— Aj, Mojsze, jakie to szczęście! — zawołał uradowany Szymon — a co ja się namartwiłem, jak ja się bałem... nu, i dobre firmy?

— Złoto, nie firmy — zaśmiał się Fiszkun — już wziąłem część firm tego podłego psa, Falutyńskiego i ja wezmę resztę... on musi zginąć, ja mu nie dam odetchnąć.

— Ty, Mojsze, dobrze zrobisz — zacierał ręce Szymon.

— Jak goj... niech przepadnie! i on i jego familia! — dodał Suderow.

— Nu, a co z Kleinwegiem? — spytał Szymon, gryząc migdały.

— Jego firmy także chcą brać u nas... ale ja uczciwy człowiek, on nasz, to ja pójdę do niego i spytam, co mam robić?

— Aj, Mojżeszu Dawidowiczu, wy rzadki człowiek! — zawołał z uwielbieniem Suderow — wy złoty człowiek! Jak wy rozumiecie nasz wspólny interes. Wszystko odebrać gojom, cały ich handel wziąć w swoje ręce; niech nasze biedaki zarobią dla swoich dzieci.

— Nu, ja już taki — potwierdził z odcieniem dumy Fiszkun — dla swoich ja mogę dużo... I ja nie mogę narzekać, Bóg mi błogosławi, ja dorobiłem się trochę majątku, dorobię się większego, i mam dzieci zdrowe, mądre, uczone. Aleksy, co mu daj Boże, dorobi

się znacznego majątku, jemu dobrze idzie. Sasza, to moja pociecha, on mądry, on bardzo sprawiedliwy i bardzo delikatny w interesach... Wiecie, on sobie składa pieniądze, on oszczędny, on dla siebie nic nie wyda... taka dobra natura.

— My wiemy — skinął głową Suderow, — nu, a czemu nie mówicie o trzeciem dziecku?

— Sonia... to piękna dziewczyna i edukowana, jej potrzeba męża mądrego, żeby on umiał z nią mówić o wszystkiem, bo ona dużo wie, dużo czyta, dużo się uczy.

Suderow uśmiechnął się przyjemnie na te pochwały i rzekł:

— Mojżeszu Dawidowiczu... czy pamiętacie, co ja wam mówiłem o moim interesie?

— Dlaczego miałem zapomnieć? — wpatrzył mu się badawczo w oczy.

— Nu, ja wam dziś mogę powiedzieć.

— Co takiego? — nachylił uszy.

— Od jutra ja mam interes... Ja sobie myślałem, że reb Dawid z Pińska, to mądry człowiek...

— Najmądrzejszy — dorzucił Markun.

— Nu, i on miał racyę. Nam wszystkim trzeba się kupy trzymać, to nam nikt się nie oprze i nasz będzie ten kraj, a goje, niewolnicy nasi.

— To prawda... on tak mówił — rzekł poważnie Fiszkun.

— Jak on tak mówił, to nie może być rozdwojenia, że to Litwacy, a to Polacy, tylko razem trzeba nam iść.

— Ja to wiem — mruknął gospodarz.

— A jak to może być? — spytał Suderow z miną tryumfującą.

— Nu?

— Oni wszyscy mają iść z nami, ich trzeba nauczyć, im trzeba to włożyć do głowy, niech oni wiedzą, co oni mogą. I ja mam sposób.

— Jaki?

Suderow, zanim odpowiedział, wyjął plik drukowanych gazet, rozwinął, jedną dał gospodarzowi, drugą Szymonowi i rzekł krótko:

— Czytajcie!

Jak tylko Fiszkun obaczył tytuł, cmoknął z radości i rzekł:

— „Dla naszych!", to dobry tytuł... on dużo mówi... nu, ja przeczytam.

Z wielkiem zaciekawieniem czytali, a ruchy oczu, głowy, rąk, wykrzykniki, świadczyły o ich wielkiem zadowoleniu. Od czasu do czasu patrzyli z uznaniem na Suderowa, który z miną dumnego zadowolenia na każde spojrzenie odpowiadał skinieniem głowy i uśmiechem.

Przeczytali wstępny artykuł, rzucili okiem

na tytuły innych i składając dziennik, spojrzeli na redaktora i wydawcę pytająco, a on zaczął:

— Ten dziennik: „Dla naszych“, on nas zjednoczy, zgromadzi, on pouczy gdzie iść, co robić? Oni, ci tutejsi, tyle lat tu siedzieli i czy umieli zgromadzić się, zespolić, rozwinąć nasz język narodowy? Nu, teraz wszyscy prawowierni pójdą z nami, ja ich poprowadzę. Oni będą tacy, jak i my, a za kilka lat tylko hołota, tylko robocze bydło będzie po polsku mówiło.

— Nu, Juda Salomonowicz — uśmiechnął się Fiszkun — wy nie dotknęliście się tutejszych interesów. I my z Szymonem chcieli tylko po naszemu prowadzić i nie było sposobu.

— To tylko początek — zawołał Suderow — jak my tu zostaniemy dłużej, już oni się wyuczą. Jak w mojej gazecie będzie, że my tylko idąc razem możemy skorzystać... to nasi po miastach, miasteczkach, po wsiach zaczną mówić po naszemu i zmuszą innych.

— Daj to Boże — rzekł Fiszkun — to byłby interes dla naszych i wy, Juda Salomonowiczu, dużo dobrego zrobicie swoją gazetą... ale co to dla was samych za interes?

— To jest brylantowy, nietylko złoty interes. Gazeta sama, to znaczy druk, papier

redakcya, cała robota pokrywa się, jak mam dziesięć tysięcy prenumeratorów, a nas jest dwa miliony... nu, niech co setny kupi, to mam zarobek na czysto od dziesięciu tysięcy, a gdzie ogłoszenia? reklamy?

Fiszkun spojrzał na warunki prenumeraty i szybko obliczył przypuszczalne dochody, wreszcie rzekł:

— To może być złoty interes.

— On będzie — dodał stanowczym głosem Suderow. — Jutro puszczam numer, zobaczycie, jaki gwałt się zrobi, żadnego z naszych nie będzie, któryby nie czytał, nie kupił.

— To bardzo być może - skinął Markun głową — i my w każdej sprawie razem pójdziemy.

— W tem cały interes — zaśmiał się Suderow.

Fiszkun, który nieustannie myślał o swym eksporcie obuwia, rzekł nagle z dobrym uśmiechem:

— Juda Salomonowiczu, wy mi zróbcie jedną przysługę.

— Jaką?

— Wy napiszcie, żeby nasi popierali i głosili moją fabrykę obuwia, ona najtańsza i najlepszy ma towar.

— Dlaczego nie? Ja to mogę zrobić... ja napiszę, że każdy, kto chce siły i panowania

Izraela, powinien swoich tylko popierać, więc niech bierze wasz towar.

— Aj, to wy napiszecie? — zawołał Fiszkun rozjaśniony.

— Ja napiszę... Nu, powiedzcie mi szczerze, Mojżeszu Dawidowiczu, jak wy myślicie prowadzić dalej wasz interes? Ja wiem, że wy dużo ryzykujecie, a gdzie zyski?

— Nu, ja dziś mogę powiedzieć — mówił zwolna, popijając ostygłą herbatę; — jak ja zduszę tutejszych eksporterów i oni odstąpią od interesu, ja tu obniżę cenę za robotę, a podwyższę cenę sprzedażną. Ja to zrobię nieznacznie, oni ani się spostrzegą, jak ja dostanę monopol na eksport.

— To bardzo dobry interes, ale ja wam coś powiem — rzekł Suderow — ja mam coś lepszego...

— Gadajcie!

— Dlaczego mają goje zarabiać i brać wasze ciężkie pieniądze za robotę, czy nasi nie potrafią?

— Ja nie wiem — wmieszał się Markun — czy nasi będą dawali taki towar, oni nie umieją.

— Tss, tss — zawołał Fiszkun — to niezła myśl... To interes...

Widać było z oczu, ze zmarszczek na

czole, że mózg jego pracuje, że on oblicza w myśli, wreszcie rzekł w żargonie:

— Dobrze... a wam, Juda Salomonowiczu, powiem, że wy macie rozum i dobrą kalkulacyę.

Juda uśmiechnął się i wyjaśniał:

— Goje nie umieją czytać naszego pisma, nie rozumieją... to my możemy nasze interesa załatwiać bez ich wiedzy. Kto z naszych ma co ogłosić, on nie będzie potrzebował iść do polskich lub ruskich gazet, on znajdzie swoją.

Fiszkun położył swą tłustą, brudną rękę na świeżym dzienniku żargonowym i rzekł:

— „Dla naszych!“, to dobry interes... a chcecie, ja mogę przystąpić do tej gazety... ona pójdzie.

Suderow z twarzą rozjaśnioną spojrzał na Markuna i mrugnął znacząco, naco tenże skinął głową porozumiewawczo.

— Wiesz, Mojsze — zaczął Markun — ty możesz być współwłaścicielem drukarni, pisma... ty możesz pisać w gazecie, co wypadnie z interesu twego... i bez twego kapitału.

— Nu, co to jest? — spytał Fiszkun, patrząc badawczo na obydwóch.

— Ja ci zaraz powiem — poprawił się na krześle, położył swe ręce krótkie a grube na stole i przebierając palcami mówił:

— Ty wiesz, Mojsze, że Juda Salomonowicz

rozwiódł się ze swoją żoną, ona bezdzietna, on cierpiał przez osiem lat i był dla niej dobry... a teraz jemu trzeba się ożenić i on chce wziąć twoją córkę, Sonię... ile ty za nią dasz?

Fiszkun poważnie wysłuchał tych słów i dopiero uśmiechnął się przy końcu.

— Co to za pytanie, ile ja dam? — wzruszył ramionami. — Ja ją kocham, ona moje dziecko, ona jedynaczka... ja muszę wpierw wiedzieć, co ma Juda Salomonowicz, czy on sam może dać wygody mojej delikatnej Soni... Nu, gadajcie!

— Ja w mój interes, w drukarnię i pismo już włożyłem gotówką osiem tysięcy rubli... możecie sami sprawdzić w książkach... Ja mam jeszcze gotówki w dobrych wekslach pięć tysięcy.

— Nu, to niewiele — powiedział obojętnie Fiszkun.

— Jakto niewiele? — zawołał Markun gestykulując rękami — on ma drukarnię, ona warta piętnaście tysięcy, on drukuje książki nasze, on ma pismo, które mu przyniesie pięćset procent, a może i tysiąc. To tobie, Mojsze, mało jeszcze?

— Mało... a jak interes nie pójdzie?

— Co on nie ma iść?! — zakrzyczał Markun — czy ty nie znasz Judy Salomonowicza? on obrotny człowiek, on ma rozum w głowie.

— Sza! — Suderow położył palec na ustach grubych, namiętnych i zaślinionych — sza! Szymonie Saulowiczu, teraz ja powiem słowo. Mojżeszu Dawidowiczu, ja dzisiaj nie biorę przecież waszej córki za żonę... za miesiąc, za dwa, wy sami obaczycie mój interes i przekonacie się; będzie on niedobry, czego uchowaj Boże, to ja wam zwrócę wasze słowo.

— Nu... ja nie wiem, ona przyzwyczajona do wygód...

— Mojsze — przerwał mu Markun — ty zważ, on ma meble po pierwszej żonie, ona przyjdzie do gotowego. On mądry, oczytany, on ją poprowadzi... nu, i honorów nie zabraknie, z takim redaktorem wszyscy się liczą, on będzie dużo znaczył nietylko u nas, ale i w urzędzie... kogo on poprze, ten otrzyma dostawy do wojska, do gubernii; czy tobie trzeba jak dziecku wszystko tłómaczyć?... Nu, powiedz słowo... ile ty dasz?

— Ile? — namyślił się — nu, ja dam pięć tysięcy rubli...

— Aj, co ty mówisz?

— To żarty chyba — spochmurniał Suderow.

— Nie, to pieniądze... i ja gotówki nie dam, ona mi potrzebna do interesu, ja będę płacił procent.

— Mojsze, Mojsze... co ty gadasz? Pomyśl

jaki człowiek ją bierze? Ty dobrze ulokujesz córkę, będziesz miał spokój w domu i prędko doczekasz się wnuków... i to wszystko chcesz za pięć tysięcy!?

— Nu, Mojżeszu Dawidowiczu — uśmiechnął się Suderow — ja nie wiedziałem, że wy tak tanio cenicie przyszłość waszej jedynaczki.

— Ona bardzo ładna, edukowana, mówi po niemiecku, po francusku, a co mnie jej nauka kosztowała? Ona i gra i śpiewa, ja z nią nie potrzebuję się napraszać... ona znajdzie męża.

— A czy myślicie — zawołał Suderow — że gdyby ona nie była edukowana, to jabym ją wziął? Ja wiem, że ona potrzebuje dobrze zjeść, dobrze się ubrać, wyjechać na wieś, mieć perły, pierścionki, ale ja potrzebuję żony i ją wybrałem... Nu, bez żartów, ile dacie za nią posagu?

Zaczęły się zażarte targi, krzykliwe wyjaśnienia, tak co do posagu, jak i wyprawy, wreszcie stanęło na tem, że jeśli interes Suderowa pójdzie, Fiszkun da Sonię z posagiem dziesięciu tysięcy, z których pięć płatnych w miesiąc po ślubie, a od pięciu będzie płacił procent.

Wszyscy trzej zmęczyli się, spocili, niemal ochrypli. Wówczas Fiszkun zawołał żonę i rzekł:

— Malciu, ja tobie coś powiem... to jest taki interes. Juda Salomonowicz Suderow prosi nas o rękę Soni... ja mu powiedziałem, że jak jemu interes pójdzie dobrze, my damy córkę.

Fiszkunowa bacznie obejrzała Suderowa i usiadłszy przy stole, spytała:

— Jaki macie interes, Juda Salomonowiczu?

— Ja mam drukarnię i dziennik: „Dla naszych", to jest taki interes, że ja rocznie mogę mieć dochodu czystego dziesięć, piętnaście tysięcy rubli.

—. Czy interes pewny? — zwróciła się z zapytaniem do męża.

— Nu, zobaczymy... zdaje się, że on pójdzie; Juda Salomonowicz obrotny człowiek, to on da sobie radę.

— A mnie się zdaje — mówiła spokojnie, — że wy musicie wpierw mieć zupełnie dobry interes. Nasza córka delikatna, edukowana, ona musi mieć swoje wygody, dobrą służbę i dostatek.

— Ja też nie myślę jej brać, póki Mojżesz Dawidowicz nie sprawdzi, jakie mam dochody.

— I on będzie dobry mąż — wmieszał się Markun, — on dla rozwiedzionej żony niczego nie pożałował, chociaż ona była bezpłodna.

— Mojsze, a jak zrobiłeś z jej posagiem? My nie możemy dawać, póki się nie przeko-

namy, czy on zdatny na męża, czy on dobry dla niej?

— To już zrobiłem — skinął głową — czy ja o nią nie dbam? czy ona nie moja córka?

— Nu, a ile wam lat, Juda Salomonowiczu? bo nasza córka młoda.

— Nie bójcie się — zaśmiał się Markun — wy będziecie babką.

— Ja mam trzydzieści pięć lat, a ona ile?

— Osiemnaście.

— To w sam raz dobre lata — śmiał się Markun — i ona znajdzie w nim dobrego męża.

— A czy mogę widywać pannę Sonię? — spytał Suderow — a może ona teraz jest w domu?

— Ona poszła do teatru — powiedziała matka, jakkolwiek nie wiedziała wcale, gdzie wyszła Sonia — i ona delikatna... wy starajcie się jej przypodobać.

— Nu, co to jest przypodobać? — zawołał Markun — czy on ma czas na to? Jak oni się pobiorą, to on już jej się przypodoba i ona będzie rozkochana w nim.

— Nie... ona inna — rzekła matka.

— To się tak mówi — śmiał się Markun — każda dziewczyna przed ślubem płacze, a po ślubie śmieje się i szczęśliwa. Ja moją żonę

przed ślubem znałem z fotografii, nu, i my żyjemy szczęśliwie... a Mojsze starał się wam przypodobać przed ślubem?

— My się nie znali, ale to dawne czasy, a teraz inne.

— Jakie inne? — uśmiechnął się Suderow — tak samo za mąż idą, tak samo dzieci się rodzą. Nic nowego nie wynaleziono.

Wszyscy zaśmiali się głośno, tylko matka była zafrasowana i rzekła:

— Ja muszę uprzedzić Sonię... to proszę was nic nie mówić o waszych zamiarach, aż póki ja z nią nie pogadam. Dobrze?

— Nu, tak być musi, kiedy matka chce — dodał mąż stanowczym głosem.

— Niech będzie — uśmiechnął się Suderow — chociaż ja wiem, że pannie Soni uśmiecha się być redaktorową.

## X.

Kleinweg siedział w swem biurze przeglądając rachunki, gdy delikatnie zapukano do drzwi i po chwili wejrzała do biura głowa prokurenta.

— Wejdź pan.

Przybyły skłonił się nizko, trzymając papiery w ręku.

— Co nowego, panie Moryc?

— Przyszła korespondencya z Rosyi — podniósł trochę rękę z listami.

— Jest co nowego?

— Trzy firmy potrzebują nas odstąpić z obuwiem... a cztery firmy z platerowanym towarem... i są listy naszych agentów.

Twarz Kleinwega zachmurzyła się i wyciągając rękę, powiedział:

— Daj pan... przeczytam.

Kleinweg kolejno odczytywał listy, a twarz jego stawała się coraz chmurniejszą. Skończył, odłożył listy na bok i po chwili spytał:

— Co pan myśli o tem, panie Moryc?

Prokurent wyprostował się i przybierając smutną minę, rzekł:

— To źle, panie pryncypale... te dwa działy naszego eksportu zmniejszają się gwałtownie od czasu tych Fiszkunów.

— Ja to wiem — mówił Kleinweg, opierając się łokciami o biurko i zakładając ręce — nie o to pytam, ale jaka rada na to?

— Tu są dwie drogi, panie pryncypale, albo będziemy dalej dopłacali, póki Fiszkunowie nie wyczerpią się i nie wrócą do dawnych cen, albo zostawmy im naszych odbiorców.

— I to wiem — westchnął Kleinweg — a co mówią na mieście o tym interesie?

— Co mają mówić? — uśmiechnął się — oni narzekają, skarżą się... Znam kilku eksporterów obuwia; oni potracili majątki; dopóki mogli, to dopłacali różnicę, zadłużyli się i rzucili ten towar.

— A Falutyński?

— Z nim się nie spotkałem, nie wiem, ale dużo majstrów go opuściło, przeszli do Fiszkuna... bo od czasu gazety „Dla naszych", kupcy po miasteczkach i wszędzie na prowincyi, zaopatrują się w towar nie u majstrów, ale u Fiszkuna, chociaż ci dają za tę samą cenę obuwie.

— Trzeba jednak przyznać — powiedział Kleinweg, rozpierając się w fotelu — że ten stary Fiszkun sprytny.

— Ale ile to jego kosztuje?... kiedy mu się zwrócą wyłożone pieniądze? A gdzie procent od kapitału?

— Już on sobie obliczył, nie mamy potrzeby się martwić — uśmiechnął się z przymusem. — On nas jednak podszedł, panie Moryc, bierze naszych odbiorców.

— Oni sami idą do niego... i co pan pryncypał każe im odpisać? Czy obniżymy towar?

— Hm... rozmówię się jeszcze z Fiszkunem, może wybadam go.

— No, a co z platerą?

— Z platerą? Szkoda mi firm naszych — westchnął. — A co mówią o Aleksym Fiszkunie?

— On robi dobre interesa... rozbija się z Ruskimi po Warszawie... podobno napytał kilka guzów, bo to awanturnik... ale sklep mu idzie.

— Hm... niedługo tego, przekonają się o gatunku i porzucą go.

— No, tak, ale tymczasem on przyniósł wielką szkodę nietylko nam, ale i fabryce.

— A cóż fabryka na to?

— Ja z boku słyszałem, że dyrektor aż

się pieni i przysiągł, że musi przychwycić Fiszkuna.

— I co mu zrobi? — powiedział Kleinweg tonem zniechęconym. — On wyrabia towar tańszy, bo lichy, ale zanim publiczność się przekona, potrwa czas jakiś.

— Tam, panie pryncypale, jak mi mówiono, są pewne komplikacye z modelami fabrycznymi i ze znakami... ja nic pewnego nie wiem, tylko słyszałem.

— O, to niebezpieczna gra! — zawołał Kleinweg — ale on chyba dosyć ostrożny i nie puszcza się na takie sztuki... łamane.

— Niech on się złamie — rzekł z nieukrywanym gniewem prokurent. — Co on ludzi porujnował! Ile towaru leży? Jak osłabł handel!? Ja coś wiem, bo moi krewni pracują w tej branży.

— Hm... panie Moryc... trzeba jednak oddać im sprawiedliwość, że są obrotniejsi od naszych, i że dużo pieniędzy z nimi wpłynęło.

— Ale naco ich używają? Czy solidny kupiec zrobi to, co Aleksy Fiszkun?... On liczy tylko na dziś, a jutro on zamknie tę budę i znów coś takiego wymyśli na zrujnowanie innych.

— No, trudno, panie Moryc, i oni chcą żyć... Otóż z obuwiem pan się wstrzyma do mego rozporządzenia... a tym z platerą

odpisz pan, że my nic możemy dać po cenie Aleksego Fiszkuna.

— Rozumiem, panie pryncypale — skłonił się prokurent i wyszedł.

Kleinweg zadzwonił u telefonu i zażądał połączenia z Falutyńskim.

— To pan... dzień dobry, pragnąłbym się rozmówić w kwestyi cen obuwia. Ceny Fiszkuna są niemożliwie nizkie. Co pan zrobi?

...Ja rozumiem, że pan nie może zniżyć. Może osobiście porozumiemy się w tej sprawie. Czy i kiedy zastanę pana w sklepie?

...Tem lepiej; czekam; dobrze; za godzinę.

Odłożył słuchawkę i wziął się do dalszej pracy.

W oznaczonym czasie wszedł Falutyński do kantoru, a po przywitaniu się i zapaleniu papierosów, rzekł Kleinweg z uprzejmym uśmiechem:

— Panie Falutyński, co pan sądzi o tej zniżce cen na obuwie?

— Zwykłe macherstwo — odpowiedział z uśmiechem lekceważącym — obniża się ceny, żeby się pozbyć współzawodników, a w danej chwili podnosi, ażeby odbić straty.

— I ja to znam, ale co pan myśli robić, czy także obniżyć?

— Ani na jeden grosz. U mnie są stałe

ceny. Chcą, niech kupują, a nie chcą, to obędę się bez tych odbiorców.

Kleinweg, trochę zdziwiony spojrzał na Falutyńskiego i rzekł z niedowierzaniem:

— Czy panu naprawdę tak mało zależy na stratach?

— Ależ, panie Kleinweg — uśmiechnął się — komuż miłe są straty w dochodach? ale nie mogę licytować in minus mego własnego towaru. Warszawskie obuwie wyrobiło sobie w Rosyi dobrą markę, bo przemysł był solidny. Zarobki majstrów i pośredników nie były wygórowane, sam pan wiesz, ale pewne, i ten dział przemysłu krajowego rozwijał się normalnie. Dziś, dzięki litwakom, weszliśmy na tory spekulacyi; to może zachwiać tym przemysłem i ja do tego ręki nie przyłożę.

— I pan żadnemu z odbiorców nie obniżył ceny?

— Nie, a pan, panie Kleinweg?

— O ile mogłem, obniżyłem; to jest do punktu tego, w którym nie tracę i nie zarabiam, ale oni żądają dalszej zniżki i grożą mi zerwaniem stosunków.

W tej chwili ktoś lekko zapukał do drzwi, a na zapytanie kto, wejrzał jeden z pisarzy.

— Czego? — spytał Kleinweg.

— Przyszedł pan Mojżesz Fiszkun, czy pan pryncypał przyjmie go?

Kleinweg, niezdecydowany, spojrzał na Falutyńskiego i rzekł:

— Pozwoli pan, że go poproszę, może dowiemy się czegoś nowego?

— Jak pan chce; to mi obojętne.

— Prosić! — zwrócił się do pisarza.

Za chwilę, kołysząc się na grubych nogach, wszedł Fiszkun. Ujrzawszy Falutyńskiego, uśmiechnął się ze złośliwym tryumfem, domyślił się bowiem, że trafił na naradę. Podał rękę Kleinwegowi, udając, że nie widzi siedzącego na kanapie gościa.

— Zdrastwujtie, gaspadin Kleinweg — przemówił.

— Dzień dobry... panowie się nie znacie zapewne — rzekł po polsku, — pan Falutyński... pan Fiszkun.

Falutyński nie ruszając się z miejsca, powiedział:

— Podobno raz widziałem tego pana.

— Nu, i ja was widziałem — mruknął Fiszkun nachmurzony, był bowiem pewny, że przedstawiony pospieszy pokornie na jego przywitanie. Obejrzał się za krzesłem, nie chcąc siąść obok Falutyńskiego, gospodarz podsunął mu fotelik, mówiąc:

— Proszę... siadaj pan — a gdy Fiszkun usiadł, zaczął po rosyjsku: — W sam czas pan przyszedł, rozmawialiśmy w interesie

obuwia... no, panie Fiszkun, jak długo potrwa jeszcze bessa? — uśmiechnął się.

— Ja nie wiem o żadnej bessie, ja sprzedaję towar według mojej kalkulacyi, a jeśli ktoś traci — spojrzał na Falutyńskiego — niech traci, dlaczego bierze się do interesu, jeśli nie zna się na nim?

— No, no, panie Fiszkun — rzekł Kleinweg — my obaj z panem Falutyńskim znamy ten interes dawniej od pana... i nie ma pan co ukrywać; pan sprzedaje ze stratą, niżej kosztów własnych.

— Czy ja z waszej kieszeni dopłacam do interesu? — zaśmiał się — czego wy wtrącacie się do mnie?

— Pan Fiszkun ma racyę — przemówił Falutyński — takie prowadzenie interesu jest rzeczą jego uczciwości i sumienia.

— Panie Falutyński! — zawołał drwiąco Fiszkun — co ma wspólnego uczciwość i sumienie z tym interesem? Pan mówi puste słowa, jak to zawsze robią Polacy — śmiał się głośno.

— Panie Fiszkun — rzekł surowo Falutyński — żadnych kpin z narodu mego, bo źle będzie — i z miny widać było, że groźbę wykona.

— Panie Fiszkun — pospieszył Kleinweg —

i ja proszę pana, nie dotykaj pan narodowości... mówmy o interesie.

Fiszkun poczerwieniał, wstał, ale zastanowił się, że ma dwóch przeciwników, zadowolił się tedy pogardliwą miną i mruknął dosyć głośno:

— Dziwna rzecz, że ruskiemu człowiekowi nie wolno się odezwać o Polakach.

— No, panie Fiszkun — wstał gospodarz i wziął go za rękę — siadaj pan. Ja nie widzę w tem nic obrażającego dla pana...

— Nu, dobrze, my przecież ludzie interesu — zapalił papierosa, a chcąc zgnębić Falutyńskiego, drwił: — nu, są wprawdzie tacy, co jak tracą, to oni krzyczą wtedy, a gdzie uczciwość, gdzie sumienie? ale ja nie z takich, czy tak, panie Falutyński?

— Ja nie przeczę — uśmiechnął się — ale są i tacy, panie Fiszkun, że sumienie im nie pozwala rujnować setek rodzin przez niemoralną spekulacyę, bo przecież odbiorcy nie pozwolą na znaczną podwyżkę ceny, więc zapłaci różnicę rzemieślnik warszawski i będzie musiał pracować za bezcen. Innego wyjścia nie widzę. Jedni mogą to nazwać interesem, a drudzy inaczej — wstał z kanapki i wziął czapkę barankową: — nie chcę panom przeszkadzać.

— Ależ pan nam nie przeszkadza — za-

wołał gospodarz — zostań pan, pogadamy o tym interesie.

— Już powiedziałem, panie Kleinweg, moje zdanie, a zechce pan szczegółów, może zajdzie pan do mnie — podał rękę gospodarzowi, skłonił się lekko siedzącemu Fiszkunowi i przeprowadzony przez Kleinwega do drzwi, wyszedł.

Fiszkun, splunął z pogardą, zamruczał przekleństwo i rzekł zjadliwie:

— Poco te honory, panie Kleinweg, dla zrujnowanego goja? Ja mam już połowę jego odbiorców i nie spocznę, póki go nie zniszczę — kończył z wyrazem zawziętości.

— To pan nieprędko odpoczniesz — zaśmiał się Kleinweg — on sam majster, ma dobrą markę i swoją klientelę polską.

— Co to za klientela? — zadrwił Fiszkun — jak ja dam kamaszki o rubla taniej, wszyscy będą kupowali u mnie. A co on mówił o eksporcie swoim? — uśmiechnął się złośliwie.

— On sobie lekceważy eksport na Rosyę i powiedział, że nie zniży na grosz swego towaru.

— Co!? Co!? — zawołał Fiszkun zdziwiony — on nie obniżył ceny!? To nie może być!

— A jednak tak jest.

— Nu, ja nie myślałem, że on taki głupi

i że tak łatwo wypuści klientelę rosyjską. Czy on taki bogaty?

— Nie... jest dosyć zamożny, tylko nie chce spekulacyi... ale to jego sprawa. Dobrze, że pan przyszedł, panie Fiszkun. Czy pamięta pan swe zobowiązanie, że pan nie ruszy mojej klienteli w Rosyi i w Królestwie?

— Ja pamiętam... i ja uczciwy człowiek, ja przychodzę właśnie w tej samej sprawie.

- Z czem, panie Fiszkun?

— Mój agent na Rosyę napisał mi wczoraj, że do niego zgłosiły się z zapotrzebowaniem te firmy, którym pan dostarcza... Nu, ja nie wydałem rozkazu do ekspedycyi, póki się z panem nie obaczę. Czy źle? czy nieuczciwie zrobiłem? Czy nie dotrzymuję danego słowa? — prostował się na krześle.

— Panie Fiszkun, my obaj kupcy, my znamy się na różnych sposobach, czy nie tak? — patrzał Kleinweg bystro na swego gościa... — Ja rozumiem grę pana; najpierw obniżyłeś pan cenę... ja, nie chcąc tracić klienteli, ekspedyowałem bez żadnego zysku, a nawet ze stratą, bo mnie lokal i ludzie kosztują... teraz ogłosiłeś pan, że bierzesz fracht na swój koszt... czy to uczciwie? Pan przecież zdobyłeś znaczną klientelę, mogłeś pozostać przy pierwszej zniżce i miałbyś pan ładne zyski.

— Panie Kleinweg — zapalił Fiszkun no-

wego papierosa i uśmiechając się mówił: — jak mi taki głupi goj gada o uczciwości, nu, ja mogę śmiać się, bo goimy mają inną uczciwość, głupią, a my mamy naszą, mądrą... Co w tem jest, panie Kleinweg, za nieuczciwość, że ja chcę więcej zarobić? Kto tego nie chce, ten jest osioł... Ja wiem, dlaczego sam płacę frachty, to mój rachunek mi każe zrobić, czy i to nieuczciwe? — zaśmiał się drwiąco.

— A wiesz pan, panie Fiszkun, żeś pan zrujnował bardzo wielu eksporterów, że dziewięć dziesiątych, to byli nasi — podkreślił wyraz — i oni stracili nietylko zarobek, ale popadli w długi?

— Nu, co ja temu winien? — wzruszył gość ramionami. — Każdy z nich mógł to samo zrobić, co ja, a ponieważ nie zrobili, to muszą tracić, na to nie poradzę.

— Zresztą to pana rzecz — zaczął Kleinweg z wielkim spokojem — czy możesz mi pan szczerze powiedzieć, panie Fiszkun, że to ostatnia zniżka z tymi frachtami?

— Ja panu tylko tyle mogę powiedzieć, że nie mam zamiaru dalej obniżać.

— Słowo uczciwego kupca? — wyciągnął rękę Kleinweg.

— Co znaczy słowo w takim interesie? — śmiał się Fiszkun — a jak mi wypadnie dalsza

zniżka, czy pan mnie zwolni ze słowa? W takiej grze trudno przewidzieć, co wypadnie. Ja wiem tyle, że jeśli mój eksport powiększy się po tej sztuce z frachtami, ja już nie obniżę ceny ani na kopiejkę.

— I wówczas zacznie się hossa? — uśmiechnął się Kleinweg.

— Ja nie wiem, czy zaraz? Pan, jako kupiec rozumie, że ja muszę być ostrożny.

Kleinweg zadzwonił i kazał sobie podać księgi eksportu obuwia. Przejrzał, obliczył z ołówkiem w ręku, wreszcie rzekł:

— Ja zawierzę pańskim słowom... ja jeszcze obsłużę moich klientów, niech pan nie wysyła.

— A kiedy pan da im znać? To sprawa terminowa, z takiemi firmami nie można żartować.

— Już niech mnie pan nie uczy — uśmiechnął się — dziś każę napisać do nich.

— Nu, dobrze; — wstał z krzesła — a teraz, panie Kleinweg, powiedz pan, czy ja z naszymi nieuczciwie wychodzę?

— No, tak... pan dotrzymuje mi słowa, ale zdziera pan ze mnie skórę swoją spekulacyą.

— A ile ja skór zostawiłem w tym interesie? — zaśmiał się — ale ja nie narzekam. Pan Bóg da, to ja na tem zarobię i odbiorę swoje z procentami — zabierał się do wyjścia.

— Jeszcze słowo, panie Fiszkun — zatrzymał go Kleinweg — siadaj pan, proszę... Rzecz w tem, panie Fiszkun; wiem, że posiadasz wielkie zaufanie u swoich; czy pan nie wpłynąłbyś, ażeby oni nie krzywdzili naszych, tutejszych, swoją bezwzględną konkurencyą.

— Co to jest?... Ja nie rozumiem — uśmiechnął się chytrze.

— Otrzymuję ciągłe skargi, słyszę narzekania, że od kiedy przyjechaliście, naszym coraz gorzej — zapalał się Kleinweg. — Kiedy taki sobie kupczyk z galanteryą płacił za sklepik sześćset rubli i żył z rodziną, przyszedł jeden z waszych, dał za sklepik tysiąc rubli i wyrzucił biedaka. Czy to się godzi? — kończył z oburzeniem.

— Nu, co ja poradzę? Ja wiem o tem, ale i nasz potrzebuje żyć — odpowiedział zimno.

— A dlaczegóż znów zakładają sklepy konkurencyjne i jeśli z manufakturą było na jednej ulicy trzy, teraz jest sześć... i wszyscy przymierają głodem. Temu trzeba zaradzić.

— Nu, z czasem to się zrobi — mówił obojętnie — niech pan będzie spokojny; my wyprzemy z handlu wszystkich gojów, to miejsca dużo będzie.

— To są słowa, mrzonki — zawołał Kleinweg — a ludzie cierpią nędzę.

— Panie Kleinweg, to nastąpi wkrótce, my

już zabrali się do dzieła — zaczął gość tajemniczo — my mamy za sobą wszystkich prócz spolaczonych... to już ogłosiła nasza gazeta... i jak my w gminie będziemy rządzili, to każdy z naszych będzie miał co jeść, bo my gojów wyprzemy ze wszystkich ulic.

— Ach, panie Fiszkun, pan się łudzi — uśmiechnął się — i zanim spełnią się te marzenia, niech pan wpłynie na swoich.

Nu, dobrze — skinął głową Fiszkun — ale dlaczego pan się uśmiecha? Czy pan nie wierzy w naszą siłę i możność?

— Hm... ja wierzę, panie Fiszkun, że my mamy wielki talent do handlu, ale żeby handel szedł, musi się mieć zaufanie klientów... no, a wy zachwialiście bardzo wiarę.

— Jakto my? — obruszył się.

— No, prawdę mówiąc, interes syna pańskiego odstraszy kupujących na długo, bo przecież za pół roku, za rok, przekonają się, że towar kupiony był bardzo lichy. A co najgorsze, oni nie powiedzą, że towar Aleksego Fiszkuna jest zły, ale że wszystkich żydów towary są bez wartości... I czy to, panie Fiszkun, handel solidny?

— Co wy zawsze wyjeżdżacie ze solidnością? uczciwością? — zawołał zgorszony Fiszkun. — Idzie o interes, a jeśli mój syn zrobi pieniądze, to interes dobrze poszedł i on wię-

cej niczego nie chce... Nu, dosyć tej rozmowy, ja już idę... A pan wie, że nasze dzieci się lubią? to mnie bardzo cieszy.

— I mnie również — odpowiedział Kleinweg chłodno i pożegnał Fiszkuna.

## XI.

W tydzień po propozycyi małżeństwa Suderowa z Sonią, gdy oboje rodzice zostali sami po obiedzie, rzekł Fiszkun:

— Malciu, czy ty uprzedziłaś Sonię?

— Ja próbowałam — westchnęła — ale ona tak się rozgniewała, że ja dałam jej spokój.

— Nu, co ona mówi? — zaniepokoił się mąż.

— Ona powiada, że ma czas jeszcze, że młoda, że musi się uczyć, że nie chce męża... nu, zwyczajnie jak ona, najpierw złościła się, potem płakała, że my chcemy się jej pozbyć z domu, że jej nie kochamy, alboż ty nie wiesz?

— A co ty na to?

— Co ja miałam zrobić? — wzruszyła ramionami — ja pomyślałam sobie, że po miesiącu ty masz sprawdzić interes Suderowa... to mam zawsze czas pogadać z nią.

— Nu, ona Malciu jest rozpieszczona, ona dużo pozwala sobie.

— Ja wiem — westchnęła — to tylko dlatego, że ona chodziła na pensyę, znała goimki, czytała dużo i że Sasza ją uczy.

— Nu, ty zawsze znajdziesz coś do Saszy — zrobił wymówkę — a czemu ty nie powiesz, że to twoja wina także, bo ona jedynaczka.

— Może to i prawda — spuściła głowę, bo w głosie męża poczuła wyrzut, że mało ma dzieci.

— Nu, Malciu — pocieszał ją mąż — twoja myśl dobra. Ty masz czas pogadać z Sonią i najlepiej będzie tak zrobić:

— Jak, Mojsze?

— Najpierw, ja przekonam się o interesie Suderowa, a będzie on dobry, to my zawołamy Sonię i powiemy jej, że naszą wolą jest, ażeby ona wzięła jego za męża. Ona nie będzie śmiała nam się sprzeciwić, a czasu nie stanie do namysłu, bo zaraz będzie ślub i koniec.

— Nu, ty zawsze mądrze radzisz — uśmiechnęła się — ja przygotuję wyprawę z bielizny, pościeli, a na suknie i ubranie będzie dosyć czasu.

— To twoja rzecz, a my się naradzimy, ile można wydać na tę wyprawę, bo ty wiesz, że on żąda srebra, zastawy stołowej, porcelany; to warunek małżeństwa.

— Ja wiem i pamiętam.

— Nu, dobrze — wstał od stołu — ja teraz idę do kantoru, dziś dają szewcom materyał, ja muszę dopilnować.

W swem biurze, Fiszkun jakiś czas już pracował, kontrolując księgi handlowe, gdy posłyszał podniesione głosy w kantorze. Uchylił trochę drzwi i ujrzał, jak trzech majstrów z minami pogardliwemi i gniewnemi stało przed skórami, które im przedłożono, a Markun mówił głośno z rosyjska po polsku:

— Co obchodzi was gatunek skóry? Ja płacę za robotę, a chcę robić z końskiej, niech będzie końska.

— Ależ szkoda naszej pracy — odezwał się jeden z majstrów — but nie wytrzyma i dwóch miesięcy, traci kupujący, traci firma i dyabli wezmą całą fabrykę.

— Czy to wasz interes? Ja chcę z tej skóry, to macie robić z tej! — podniósł głos Markun.

— Jeszcze z takich wiórów nie robiłem — obruszył się drugi majster — wstyd mi przed czeladzią. Ja nie wezmę takiej roboty.

Na te słowa wszedł do kantoru Fiszkun i zawołał na Markuna:

— Co to jest? Dlaczego krzyki?

— Ja dałem im tę skórę — tłómaczył się Markun — a oni nie chcą, powiadają, że zła. Co to ich obchodzi, kiedy robota się płaci!

— Aj, ty niedołęgo! — krzyczał Fiszkun — czy ty ślepy? czy pijany? — i przystąpiwszy do skór wziął jedną w rękę i zawołał: — Nu, co to za materyał!? Czy ja ci nie kazałem odesłać te podłe skóry, te bibuły, do fabryki? Ty nic nie uważasz... zaraz każ przynieść dobry materyał; w mojej fabryce nie wolno innego używać, słyszysz?

— Ja słyszę — mruknął z posłuszną miną Markun — ja się pomyliłem.

— Pan pryncypał rozumie swój interes — pochwalił Fiszkuna jeden z majstrów — dobry but, to najlepsza reklama dla fabryki.

— Ja to wiem — uśmiechnął się Fiszkun — zaraz dostaniecie panowie dobry materyał.

Gdy majstrowie wyszli, Fiszkun zawołał Markuna do siebie i rzekł:

— Dlaczego ty im dałeś tę skórę?

— Nu, ja myślałem, że to będzie dobrze, jak oni zrobią z tej skóry fein obuwie, bo nasi gorzej robią i kto się przypatrzy, ten pozna robotę inną.

— Ty, Szymonie, myślałeś dobrze — uśmiechnął się — ale źle zrobiłeś. My musimy jeszcze jakiś czas jechać dobrym towarem, póki nie wyekspedyujemy dawniejszych zamówień, rozumiesz?

— Ja rozumiem... ale tyle pieniędzy wyrzucać, aj, tyle! — jęknął.

— Już my odbierzemy; teraz zawołaj mi Josela Tillesa — trzeba z nim pogadać.

Wszedł nizki, z brodą, szewc fabryczny, a Fiszkun do niego:

— Josel, skarży się Markun na ciebie, że ty zły towar przyjmujesz, że buty naszych szewców można zaraz poznać, że są inne, niż szewców gojów. Dlaczego?

— Mojżeszu Dawidowiczu, to ja sam powiedziałem o tem Szymonowi Saulowiczowi — mówił pokornie Josel — ale jak oni mają robić dobrze, kiedy biorą o jedną trzecią mniej od gojów za robotę? Czy on ma chęć wykończyć dobrze?

— Co im do tego, ile gojom ja płacę? Ty im powiedz, że jak chcą mieć gotowe pieniądze na szabas, niech dają dobrą robotę. Czy oni trzymają czeladź? Oni robią chłopcami. Czy oni płacą do cechu? dają podatki? opłacają policyę? szkoły? mają dobre warsztaty? Niech oni to wszystko policzą, to ja im bardzo dobrze płacę. Czy nie tak?

— Wy macie racyę, Mojżeszu Dawidowiczu, ale oni narzekają, żalą się, niechętnie robią.

— To ty im powiedz, że ja sobie z miast i miasteczek sprowadzę naszych szewców i oni nic nie dostaną.

— Nu, ja im powiem... ja myślę, że oni zrozumieją swój interes.

— I ja myślę, a zapowiedz, że za lichą robotę odtrącę połowę zarobku, oni muszą dobrze robić i obuwie musi być ładne i czyste.

— Dobrze, Mojżeszu Dawidowiczu — skłonił się i wyszedł.

— Nu, Szymonie Saulowiczu, a ty mieszasz obuwie naszych z obuwiem gojów przy ekspedycyi?

— Ja mieszam.

— Czy ostrożnie?

— Poco pytanie? — uśmiechnął się — ja, Mojsze, przed wysłaniem wołam Josela i każę mu wyszukać naszych robotę, jak on znajdzie, to ja zmieniam, aż póki on nie powie, że to gojów robota.

— Ty wziąłeś się na dobry sposób... nu, a Sasza wie o naszych szewcach?

— Może nie wie, bo ja ich przyjmuję w magazynie, a książkę rachunkową prowadzi Icek, a on umie milczeć, to mój krewny.

Na zachodach i zabiegach około interesu szybko minął czas do terminu zbadania stanu majątkowego Suderowa.

W przeddzień jednak przyszedł do Fiszkunów sam redaktor Suderow. Zastał ich przy wieczerzy i skinąwszy głową gospodarzowi, zbliżył się, kołysząc się na prawo i na lewo,

do siedzącej przy stole Soni, i pokazując bukiet kwiatów, który dotąd trzymał za sobą, zawołał z uśmiechem przymilającym się:

— Nu, mademoiselle, ja dla was przyniósł piękne kwiaty, ale wy dla mnie najpiękniejszy kwiat... i cały ten bukiet... sto bukietów... tysiąc bukietów oddam za wasz uśmiech i dobre słowo.

Sonia trochę zdziwiona, trochę gniewna, spojrzała spokojnie w oczy Suderowa i kładąc obojętnie bukiet na stole, przy talerzu, powiedziała zimno:

— Dziękuję panu za kwiaty.

— Nu, a moja zapłata za bukiet — zaśmiał się Suderow.

— Nie mam teraz drobnych — odpowiedziała chmurna — i nie sądziłam, że pan handluje i kwiatami.

Rodzina zgromadzona przy stole zaśmiała się, ojciec cmoknął z wielkiego uniesienia i zawołał:

— Aj, jaka ona dowcipna, czy redaktor widzi, co to za dziewczyna!?

— Ja widzę — odparł Suderow — ale wy mylicie się, mademoiselle, ja nie handluję kwiatami, ja przyniosłem wam bezinteresownie.

— Już podziękowałam — odwróciła się Sonia od stojącego.

— Redaktorze, siadajcie przy mnie — zachęcał Aleksy — Sonię ukąsiła zła mucha, ale ona się przeprosi.

— I ja tak myślę - nadrabiał miną Suderow, siadając przy stole.

Przyniesiono nakrycie, herbatę, zachęcano uprzejmie do jedzenia.

Suderow w czasie spożywania i picia spytał Aleksego:

— A jak wam idzie interes?

— Jak on ma iść? — zaśmiał się — on idzie nieźle. Ja zarobiłem w ciągu ośmiu miesięcy dosyć pieniędzy.

— Nu, ile?

Aleksy się zawahał, ale matka, dumna z powodzenia syna, odezwała się:

— Ty powiedz... Juda Salomonowicz nie zdradzi, on z naszych.

— I podwójnie z naszych — uśmiechnął się Suderow — bo on redaguje „Dla naszych"! Co, dobry dowcip?

Zaśmiano się przy stole, jedni z gry słów, inni, jak Sonia i Sasza z samego Suderowa, a Aleksy mówił:

— Ja na czysto zarobiłem cztery tysiące rubli... okrągłe cztery tysiące!... — czekał wrażenia.

— Aj! Aj! — kręcił głową Suderow.

— Stary nie chciał wierzyć — spojrzał

Aleksy na ojca — zobaczył książki i uwierzył, nu i zaraz chciał zabrać swoją część zysku.

— I wy daliście, Aleksy? — zawołał zgorszony Suderow.

— Nu, ja nie taki — zaśmiał się — cały zysk włożyłem w nowy towar i będę miał wkrótce nowego towaru na składzie za dziesięć tysięcy rubli.

— Aj, wy szczęśliwi! Ja bardzo się cieszę, jak słyszę, że nasi w prywiślańskim kraju robią majątki. Tak trzeba, tak powinno być, bo to nasz kraj... Nu, to wy macie sklep bardzo bogaty, co?

— On jest sobie niczego — uśmiechnął się z dumą Aleksy — ja mam towar fabryczny, spłacony już w trzech czwartych i on bez mała jest nienaruszony.

— To źle — rzekł Suderow — czy nie mieliście zbytu? Czy mój artykuł o waszym magazynie wam nie pomógł? Dlaczego towar stoi?

Stary Fiszkun przy tych pytaniach zaśmiał się głośno i rzekł:

— A czy Aleksy głupi, żeby on ekspedyował cudzy towar, jak ma swój na zbyciu?

— To wy macie fabrykę? — zawołał zdziwiony — nu, wy zrobicie majątek, ale to dużo kosztowało.

Mojżesz Fiszkun zrozumiał ten manewr Suderowa, pragnącego wybadać, ile Aleksy wziął od niego pieniędzy, i chcąc przeszkodzić zwierzeniom, powiedział:

— Ja mu dałem mało, on miał swoich trochę, a resztę to na kredyt i na weksle... Ale on się wypłaci sam, bo interes dobry.

— A dostaliście zamówienia po moim artykule w „Dla naszych"?

— Ja wam dziękuję, Juda Salomonowiczu... ja dostałem dosyć, ale chcę więcej — zaśmiał się.

— U was dobry humor — zauważył Suderow, a spostrzegłszy chmurną minę Saszy, dodał: — wy nie taki, jak wasz brat.

— O, Aleksy zawsze wesoły — zawołała rozpromieniona matka — on bardzo dowcipny, bez niego nie byłoby wesołości, ani zabawy u nas.

— Ja to widzę, bo i mademoiselle, wasza córka nie bardzo wesoła — powiedział nie bez zamiaru dokuczenia, Suderow.

— Nu, Sonia? — mówiła matka — to co innego. Każda dziewczyna ma swoje fantazye, raz wesoła, że cały dom przewraca, a drugi raz smutna; ona sama nie wie, czego chce.

— Ja wiem! — zaśmiał się grubo Aleksy — dziewczętom trzeba męża, to zaraz kaprysy ustaną.

— Aj, wy Aleksy, macie rozum — podchwycił wesoło Suderow — to wielka prawda, że dziewczyna wciąż szuka męża, a jak nie znajduje, to zaraz różne fantazye w głowie: nauki, socyalizmy, rewolucye... ja to wiem. Czy nie tak, mademoiselle? — patrzał na Sonię.

— Podziwiam waszą domyślność i doświadczenie — odpowiedziała z lekceważącą miną.

Suderow spochmurniał, a stary Fiszkun, nie chcąc dopuścić do sporu, rzekł:

— Juda Salomonowiczu, co słychać na świecie? Wy przecież redaktor.

— Ja wam tyle powiem — zaczął z uroczystą miną — dla nas nastaje nowy, wielki dzień.

— Aj, aj, słuchajcie! — zawołał stary Fiszkun, dając znak milczenia Saszy, rozmawiającemu z Sonią.

My dotychczas byli wygnańcami, my nie mieli praw narodu, a teraz, jak nas świat zobaczył w prywiślańskim kraju, że nas dwa miliony, że mamy nasz język, naszą gazetę, naszą dawną sztukę, naszą siłę i nasz handel, to teraz mówi świat, że my naród... że my silni... że musi się z nami liczyć.

— Nu, nu, — kiwał Fiszkun głową z pewnem rozczarowaniem — ale co nam z tego za interes?

— Z nami już liczą się władze, donoszą

mi z Petersburga, że my tu dostaniemy ogromne przywileje — mówił dalej Suderow, gestykulując coraz żywiej rękami i całą swoją postacią. — Jak przyjdzie do samorządu miast, to połowa rady miejskiej musi być nasza... A czy wy rozumiecie, że wtedy wszystkie kapitały miast i miasteczek, wszystkie dostawy, wszystkie budowle nowe i stare, wszystkie szkoły i szpitale będą w naszych rękach... a co? czy to będzie źle? — zawołał tryumfująco.

Fiszkun i Aleksy wybuchnęli głośnymi okrzykami radości i tryumfu.

— Ja — krzyczał Aleksy — chociaż nie wiedziałem o tem wszystkiem, zakazałem przedstawienia „Złotego Cielca"... taki gwałt, taki harmider podnieśliśmy, że Polacy zaraz ustąpili.

— Ty, Aleksy, zawsze byłeś taki odważny, tobie każdy musi uledz — rozczulała się matka.

Wtem, wśród chwilowego uciszenia się, przemówił Sasza:

— Juda Salomonowiczu, czy wy czytaliście dokładnie petersburskie dzienniki?

— Nu, od czegóż ja redaktor? — zaśmiał się, gładząc brodę.

— To wy wiecie, że rząd postanowił, iż w samorządzie miejskim, to znaczy w radach

miejskich, może zasiadać tylko pięć procent żydów... Tak powiedzcie, gdzie nasze panowanie w miastach? w kraju?

Suderow wpatrzył się niedowierzająco w Saszę i po chwili rzekł:

— To nie może być... gdzie wy czytali?

— W petersburskich gazetach.

— Aha — zawołał redaktor tryumfująco — to było, pamiętam, ale o tutejszych żydach.

— Nie, Juda Salomonowiczu, to było o żydach wogóle i jeszcze z tym dodatkiem, że przejście na inną wiarę nie daje żadnych praw, nietylko temu, który zmienił naszą wiarę, ale nawet jego dzieciom w pierwszej generacyi.

— Aj, aj! — jęknął Fiszkun.

— Nu, ja muszę się przyznać — spuścił oczy Suderow — ja tego nie zauważyłem; tyle spraw naszych, tyle kłótni z Polakami, że... przeoczyłem.

— A teraz, Juda Salomonowiczu — mówił zapalając się Sasza — co zostało z waszego zapewnienia? Tyle zostało, co z bańki mydlanej, trochę brudnych mydlin.

— Sasza, ty dobrze mówisz — pochwalił ojciec swego ulubieńca.

Syn nie zważał na te słowa i kończył gorąco:

— Juda Salomonowiczu, czy godzi się

dojrzałemu człowiekowi, jak wy, bałamucić tłumy? siać nienawiść do Polaków, z którymi musimy żyć? Czy to nie zguba dla nas?

Suderow, trochę niespokojny, bawił się nożem, przyszedł mu z pomocą Aleksy, który zawołał:

— Nu, Sasza, tylko nie z Polakami się wdawać! To taki słaby naród, taki bez głowy, bez odwagi... wystarczyło trochę krzyku i zaraz zlękli się w teatrze i nam ustąpili. I tak będzie we wszystkiem... oni nic nie mogą.

— Ty nie znasz, Aleksy, Polaków, ale spytaj ojca, czy on nie musiał ustąpić? czy on nie mówi sam po polsku? Jak ty chcesz z nimi handlować, ty musisz być Polakiem, a do czego innego my zdolni? My tylko do kupiectwa, kramarstwa, faktorstwa, my ani rzemieślnicy, ani rolnicy.

— Sasza, ty nie mów! — zawołał ojciec — ty jeszcze ze mnie zechcesz zrobić Polaka, jak Kleinweg... my, mówmy o czem innem. Nu, Juda Salomonowiczu, jak wam idzie wasz interes?

— Ja tu przyszedłem dlatego, że chcę z wami pogadać, Mojżeszu Dawidowiczu, i powiedzieć, jak on stoi.

— Nu, dobrze — porozumiał się oczyma z żoną — my i tak, długo siedzimy przy kolacyi... zostawcie nas.

Gdy wszyscy wyszli, Juda Suderow, zniżając głos, rzekł:

— Mojżeszu Dawidowiczu, wy wiecie, że jutro nasz termin?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? Ja się wybierałem do was jutro... I co?

— Nu, ja mam dotychczas sześć tysięcy prenumeratorów... chwała Bogu, dobrze idzie interes i on się pokrywa, bo mam nasze ogłoszenia.

— Nu?

— Ale dochody nie są wielkie... ja do was przyszedłem... ja wszystko mówię szczerze, jak przed ojcem żony... przesuńcie wy termin ślubu na dwa miesiące.

— Nu, i co będzie, jeżeli wasz interes nie będzie dawał zysków?

— On musi dawać! — rzekł z naciskiem i gestykulując rękami tłómaczył: — Zważcie, Mojżeszu Dawidowiczu, że w pierwszym miesiącu pokryły się wydatki... w drugim będą dochody... a w trzecim miesiącu ja zrobię pieniądze.

— To wam się tak zdaje... a jak nie będzie dochodów?

— Nu, nie będzie... to wy nie dacie mi córki... czy dobrze?

— Kiedy ja na tem tracę — mówił Fiszkun — żona moja zrobiła wyprawę, włożyła

kapitał... nu, a gdzie procenta od niego?... Juda Salomonowiczu, ja powiem ostatnie słowo, ja wam przez rok nie dam procentu od kapitału, który u mnie zostanie, bo zwłoka i strata nie z mej winy.

— To nie może być! — krzyczał Suderow zaperzony — ja wam szczerze powiedziałem, a wy korzystacie z tego? Ja mogłem wam przecież powiedzieć i wykazać mojemi książkami, że mam dochody i bylibyście musieli zaraz wyłożyć pięć tysięcy rubli, a ile wy zarobicie na nich przez dwa miesiące?

— Czego się rzucacie? My się pogodzimy, ja kocham moją córkę i dla niej to zrobię, że dam procent na jeden kwartał.

Znów zaczęły się targi, aż Suderow rzekł zwolna, wpatrując się w gospodarza:

— Mojżeszu Dawidowiczu, ja z wami chcę być w zgodzie... nam dwom razem będzie dobrze... — a gdy Fiszkun chciał mu przerwać, zawołał: — Słuchajcie mnie! — i z kieszeni wyjął papiery, poślinił suto palce, przewracał kartki luźne, wreszcie znalazł i podsuwając pod oczy gospodarza, mówił zniżonym głosem: — Wiecie, co to jest?... To jest skarga naszych szewców na małą płacę, na wasz wyzysk, na srogość przy odbiorze obuwia, na zły materyał — wyliczył szybko aż do zachłyśnienia i pasł się widokiem prze-

strachu Fiszkuna — nu, tam dużo takich rzeczy ładnych... czy ja mam to ogłosić?... Co? Ja się was pytam po przyjaźni, czy ogłosić? Powiecie jedno słówko, a jutro będzie.

Wyrzuciwszy ze siebie te słowa, schował spokojnie papiery, otarł kąty ust ze spieczonej śliny i bębniąc palcami po stole, patrzył szydersko na Fiszkuna.

Ten, kraciastą, brudną chustką otarł czoło, zdobył się na uśmiech i rzekł ze sztuczną wesołością:

— Nu, wy lubicie żarty... przecież ci szewcy tutejsi, chociaż nasi, oni nauczyli się od Polaków kłamać, oni są źli na nas, oni chcą nas zgubić... wy nie umieścicie tego... my przecież razem przyjechali... my krewni.

— Ja nie wiem jeszcze — powiedział obojętnie — dla krewnych ja mogę dużo, ale czy wy mój krewny?

— Jakto? — zdziwił się — a nasza umowa o córkę moją?

— Nu, kiedy wy mi robicie trudności... mówiliście o wstrzymaniu procentów, o mniejszym posagu...

— Juda Salomonowiczu, to były targi, jak zwykle przy interesie, ale my się pogodzimy.

— Więc zostaje wszystko tak, jak umówiliśmy się przed miesiącem?

— Zostaje... zostaje... Nu, a ten fałszywy donos szewców, co wy z nim zrobicie?

— Ja go schowam... niech on sobie leży, aż do mego wesela.

— Oddajcie mi go, Juda Salomonowiczu.

— Ja nie mogę... oni zechcą może zwrotu, co ja zrobię?

— Nu, dobrze — westchnął Fiszkun — ale wy pamiętacie, że my krewni?

— Ja pamiętam... a teraz ja wam coś powiem. Tych naszych szewców można uspokoić przez zrównanie cen. Dlaczego goje mają brać drożej?

— Wy, Juda Salomonowiczu, nie rozumiecie interesu — uśmiechnął się Fiszkun; — ja musiałem mieć wyborowy towar, a taki robią tylko goje... ale mnie samego serce boli, że goje biorą takie pieniądze... i to się zmieni, może za dwa tygodnie, może za miesiąc.

— Aj, to za długo, oni będą mnie nachodzić... ja nie mogę ryzykować mego interesu dla was.

— Nu... ja wam powiem, za miesiąc będzie inaczej, ale ja potrzebuję waszej pomocy.

— Powiedzcie... my się pogodzimy ze sobą, Mojżeszu Dawidowiczu.

— Mnie trzeba dobrych szewców, ale naszych; oni siedzą po miastach, na prowincyi. Niech oni tu przyjadą, jak przyjadą, ja dam im zarobek. Co wy na to?

— Hm... hm... wy sprytny, ale i ja nie głupi — zaśmiał się Suderow; — ja ogłoszę, oni przyjadą i będą na waszej łasce, a na kogo będą narzekać? kogo będą kląć? nu, gazetę: „Dla naszych". Jaki to zysk dla mnie?

— Juda Salomonowiczu, ja uczciwy człowiek, ja nie zechcę krzywdy naszych, niech oni napiszą do mnie, a ja poszlę im warunki moje.

— Nu, dobrze... ale to będzie was kosztowało, gazeta musi zarobić. Od każdego majstra pięć rubli, dobrze?

— Wstydźcie się, Juda Salomonowiczu, od teścia brać tyle pieniędzy darmo! Jak będzie mi dobrze, to ja nie pożałuję Soni, ja jej dam.

— To obiecanki... a gazeta chce gotówki; dacie pięć rubli, to zrobię, a nie dacie, to nie. Wy sami rozpisujcie listy — śmiał się.

— Nu, Juda Salomonowiczu, my mamy czas, ja nie potrzebuję tych ogłoszeń ani dziś, ani jutro, ja do was przyjdę, to jakoś się ułożymy bez mojej krzywdy.

Pogadali jeszcze chwilę, a gdy Suderow wyszedł, rzekł Fiszkun do żony, porządkującej na stole:

— Malciu, ten Suderow sprytny, aj, jaki sprytny! — cmoknął ustami parę razy — on zrobi interes na gazecie, ja w niego wierzę, a ja znam się na ludziach... on dojdzie do majątku.

— A z czego ty tak sądzisz, Mojsze, co on takiego zrobił?

— On wziął nawet mnie na kawał... zagroził gazetą. To sprytny człowiek, taki potrzebny jest w rodzinie; on i Aleksemu, i nawet mnie może się bardzo przydać.

— Nu, to niech bierze Sonię.

— I ja tak myślę... mamy jeszcze miesiąc czasu, może dwa i interes załatwię.

— Ja wiem, że ty mądry, ty obmyślisz wszystko, ażeby Sonia była szczęśliwa i miała swoje wygody.

— Ja to zrobię.

## XII.

Wśród interesowanych i związanych z „Pierwszą fabryką obuwia“ rozeszła się wieść, że Fiszkun obniża szewcom cenę za robotę.

Ci i owi majstrzy przychodzili do kantoru dopytując się, czy istotnie fabryka obniża cenę za robotę obuwia. Na co Markun z miną surową i dumną odpowiadał po rosyjsku:

— My nie możemy dawać tak wysokiej ceny, my dopłacamy, jeśli nie możecie się zgodzić, to my poszukamy innych. My was nie zmuszamy, chcecie, to dobrze, a nie chcecie, to i tak fabryka nie upadnie.

Wobec tak stanowczej odpowiedzi, majstrowie i czeladnicy zatrudnieni dostarczaniem obuwia do „Pierwszej fabryki“, zwołali wiec i po wspólnem porozumieniu się wybrali delegacyę z trzech członków, która, na mocy udzielonego przez zgromadzenie pełnomocnictwa, miała zrobić nową umowę z fabryką.

Delegaci przyszli w przedpołudniowej porze, ażeby zastać pryncypała i prosili o rozmowę.

Markun na razie nie chciał ich dopuścić do Fiszkuna.

— My przyszliśmy tu do samego pryncypała, chcemy zrobić umowę.

— To wszystko jedno, ja, czy pryncypał — zawołał dumnie Markun. — Z czem wy przychodzicie?

— Mamy nowe warunki... niższe od dotychczasowych, ale tylko z pryncypałem chcemy mówić.

Markun, spodziewając się korzystnych ustępstw dla fabryki, zdecydował się zawiadomić pryncypała o przyjściu delegacyi.

Wyszedł Fiszkun ze swego biura, nadęty, wyprostowany, z binoklami na charakterystycznym, semickim nosie i spytał tonem drewnianym:

— Czego wy chcecie?

Wszyscy trzej skłonili się, a jeden z nich, szpakowaty, poważny człowiek, postąpił krok naprzód i zaczął:

— Przyszliśmy jako delegaci wszystkich pracowników...

— Mówcie po rusku — rozkazał Fiszkun — ja nie rozumiem waszego języka.

Delegaci spojrzeli po sobie, na takie żąda-

nie nie byli przygotowani, a przewodniczący delegacyi skłoniwszy się, rzekł:

— Panie pryncypale, my nie umiemy wysłowić się po rosyjsku, niech pan nam pozwoli mówić po polsku.

— Ja nie rozumiem po polsku!

Znów spojrzeli na siebie, lecz zanim zdecydowali się, zerwał się z krzesła Sasza zaczerwieniony, szybko zbliżył się do delegacyi i rzekł po polsku:

— Niech panowie mówią... ja przetłómaczę panu pryncypałowi na język rosyjski.

Fiszkun pobladł z gniewu, urzędnicy kantoru z obawą patrzyli, a Markun uśmiechnął się wzgardliwie.

Pierwszy Fiszkun przemówił ostro i gniewnie:

— Sasza, idź zaraz na swoje miejsce, to nie twój interes. Słyszysz?

— Nie pójdę — spojrzał śmiało w twarz ojca — ja nie mogę pozwolić na takie poniewieranie robotnikami.

— Czy ty zwaryował? — krzyczał Fiszkun — ja tobie każę... — wtem spojrzał na pobladłą, zdecydowaną twarz syna i nagle zmienił ton: — nu, kiedy ty chcesz, niech i tak będzie... spytaj, czego oni chcą.

Delegaci przedstawili, że tak nagłe obniżenie cen przyprawia ich o ruinę, że przed za-

łożeniem tej fabryki obuwia brali lepsze ceny i proszą wreszcie, ażeby fabryka zgodziła się na pierwotną cenę warszawską.

— Powiedz im, Sasza — rzekł Fiszkun — że to nie może być, ja nie jestem w stanie dopłacać do obuwia, które wysyłam.

Gdy delegacya usłyszała odpowiedź, przemówił przewodniczący:

— My ledwie koniec z końcem wiążemy przy cenach proponowanych przez nas. Dlaczego tam w Rosyi mają chodzić w tańszych kamaszkach za naszą pracę? Czy my obniżaliśmy cenę obuwia? Niech dopłaca ten, co obniżył, a nie robotnik.

— Ty, Sasza, im powiedz, niech oni sobie idą z kantoru, ja nie mogę dać więcej.

— Więc my wszyscy zastrajkujemy, ani jednej pary obuwia nie dostanie fabryka. Z nami pójdą i majstrowie żydowscy, i zostaniecie z partackimi butami, robionymi przez szewców jarmarcznych. To podła spekulacya na naszej skórze robotniczej, najpierw zwyżka nieznaczna, a teraz niżej kosztu pracy. To krzywda nasza.

— Gadajcie, co chcecie, ale nie w moim kantorze — zawołał Fiszkun z gniewem. — Ja policyę zawołam, ja was zaskarżę. Hej, Josel, Selig! wyrzucić ich za drzwi!

Lecz ani jeden, ani drugi z wezwanych

nie ruszył się wobec surowej i poważnej postawy delegatów.

— Niech panowie chwilę zaczekają — przemówił łagodnie Sasza, — ja z panem pryncypałem pogadam, — a następnie zwrócił się do ojca: przejdźmy do gabinetu — szedł pierwszy, a za nim Fiszkun.

Sasza zamknął drzwi i spojrzał z wyrzutem w twarz ojca.

— Aj, Sasza! — zawołał stary, chwytając się obu rękami za głowę, — ty mi psujesz cały interes. Co tobie do niego? Poco ty się wdajesz w sprawy nie swoje?

— Z tej prostej przyczyny, że jestem twoim synem, że chcę ciebie, ojcze, szanować i kochać.

— Nu, gadaj, czego ty chcesz?

— Niech ojciec siądzie i pomówmy spokojnie... Ojciec, wziąwszy się do interesu, tu, w Warszawie podwyższył cenę roboty, a w Rosyi obniżył cenę obuwia. Ojciec miał w tem swój rachunek i była to walka z kapitalistami. Ja nic nie mówiłem. Ojciec odebrał im odbiorców w Rosyi, którzy przeszli do naszej fabryki.

— Nu, tak... a ty myślisz, że ja będę ciągle dopłacał?

— To rzecz rachunku ojca... ale nie można rujnować robotników. Ojciec nagle obniża ich

zarobek o jedną trzecią, a o jedną czwartą od ich zarobku pierwotnego. To jest naprawdę ich ruina, a zysk ojca jest z ich głodu i łez ich żon i dzieci. Czy to uczciwie?

— Aj, jaki ty mądry, Sasza — zaśmiał się — czy ty myślisz, że moje pieniądze są dla goimów?

— Nie... lecz niech ojciec nie krzywdzi robotników. Nie chce ojciec tak dużo dopłacać, dobrze, można zmniejszyć produkcyę, cenę obniżyć do płaconej tu pierwotnie... im wytłómaczyć to po ludzku, a nie krzyczeć i wymyślać. Nie można ich wyrzucać głodnych na bruk. Tak, jak ja proponuję, postępuje uczciwy i sprawiedliwy człowiek, a ja wiem, że mój ojciec jest taki człowiek.

W czasie przemowy syna Fiszkun toczył walkę sam ze sobą. Z jednej strony miłość do ukochanego dziecka i obawa utraty jego szacunku i przywiązania, z drugiej, spekulant chciwy zysków i powetowania włożonego kapitału. Chcąc zyskać na czasie, rzekł:

— Sasza, ty ich odpraw, ja się namyślę, obrachuję. W twoich słowach jest trochę racyi, ja zrobię, co będę mógł, bądź pewny.

Syn jednak za dobrze znał ojca, domyślał się, że to tylko manewr, ażeby sprawę odwlec i zmusić biedniejszych robotników do ustępstw, złamać ich solidarność.

— Nie, ojcze — zaczął spokojnie — zbyt dobrze znasz stan interesów, wiesz, co można zrobić. Ja proszę ojca o natychmiastową decyzyę, nie można tych delegatów zwodzić.

Fiszkun zagryzł wargi, żeby nie wybuchnąć gniewem. On już sobie wszystko tak dobrze ułożył, obliczył, już sprowadził szewców żydów, oznaczył ilość towaru, i nagle staje przed nim niespodziewana trudność, własny syn jego.

— Sasza, daj mi książkę zażądań i magazynową — jęknął — ja się obliczę, ja to dla ciebie zrobię.

Syn przyniósł żądane książki, a ojciec, udając, że przegląda, robił w myśli dokładny rachunek przypuszczalnych strat, gdy weźmie towar od szewców warszawskich. Straty najzupełniej pokrywały się, i nawet były zyski znaczne na gorszym materyale i na niższej płacy za robotę żydowskim, sprowadzonym szewcom. Nu, tak, on straci trochę zysków, ale syna przekona, że on uczciwy i sprawiedliwy. Zostają jeszcze zatargi o płacę pomiędzy żydowskimi a chrześcijańskimi szewcami, ale on temu zaradzi, od czego głowa? Zresztą, ta cała umowa potrwa może dwa tygodnie, miesiąc najwyżej, a jak Josel zacznie brakować przyniesioną robotę, goimom odechce się pracować.

— Sasza — spojrzał na syna — ja tobie

coś powiem. Ty masz słuszność, człowiek powinien być uczciwy i sprawiedliwy, to ja, z moją wielką stratą zrobię ustępstwo.

— Jakie?

— Ja mam magazyn zapełniony, obstalunków mało, ja nie mogę przyjąć tyle obuwia co dawniej... zaledwie jedną trzecią część — a widząc niecierpliwe poruszenie syna — ale za to, zapłacę im, z wielką moją stratą, za robotę tyle, ile dawniej płacił Falutyński, Kleinweg i inni.

— Trzecią część ilości obuwia — rzekł Sasza zamyślony — to mało, przynajmniej połowę... ja bardzo proszę ojca.

— Ja nie mogę, Sasza... ja nie mogę... ja i tak robię ofiarę dla ciebie... Ty idź i powiedz im.

— Ojcze, połowę, przynajmniej na jeden kwartał — prosił Sasza.

— Nu, co mam z tobą robić... niech będzie połowa na miesiąc — westchnął — a potem trzecia część. Już mnie nie proś... Idź i powiedz im.

— O nie! Sam ojciec im to powie, czy ja tu rządzę? Ja tylko pisarzem w kantorze.

— Nu, niech będzie.

Weszli do kantoru i Sasza pilnował, ażeby ojciec dokładnie powiedział, na jakich warunkach przyjmuje dalszą robotę.

Gdy ojciec skończył, Sasza tłómaczył delegatom, że obniżenie płacy i ilości roboty jest konieczne z powodu przepełnienia magazynów i braku obstalunków.

— Ano, my nie wiemy — powiedział jeden z delegatów — czy inni się zgodzą, my odniesiemy im otrzymaną odpowiedź — i wyszli.

Sasza po ich wyjściu zbliżył się do stojącego ojca i ucałował serdecznie jego rękę, mówiąc:

— Ty, ojcze, jesteś uczciwy i sprawiedliwy.

Stary, spostrzegłszy drwiący wzrok Markuna, zawstydził się tego synowskiego uznania i bez słowa poszedł do swego gabinetu.

## XIII.

Do redakcyi dziennika „Dla naszych", wszedł Fiszkun z miną poważną i surową, i skierował się wprost do biura redaktora Suderowa.

Po przywitaniu, usiadłszy na podsuniętem krześle, rzekł:

— Nu, Juda Salomonowiczu, przyszedłem dowiedzieć się o waszym interesie? Czy on idzie?

— On jest dobry, wy możecie się sami przekonać — wyszedł na chwilę do administracyi i wrócił, przynosząc dwie księgi: — tu jest główna książka dochodów i rozchodów, - położył na stole — a tu księga prenumeratorów, wy możecie zobaczyć.

Fiszkun, nałożywszy szkła na nos garbaty, przeglądał książki przyniesione. Zażądał księgi kasowej i ogłoszeniowej, sprawdzał poszczególne pozycye i w jakiś czas rzekł:

— Juda Salomonowiczu, jeśli wpisane cy-

fry są prawdziwe, wy już macie dobre dochody.

— Czy chcecie zobaczyć kasę? — zawołał i nie czekając odpowiedzi, krzyknął na administratora: — Nu, powiedzcie, ile jest w kasie?

Administrator wymienił stan kasy wczorajszy i wpływy dzisiejsze.

— Nu, możecie sprawdzić w książkach — powiedział Suderow obojętnie i zabrał się do pracy redaktorskiej.

Po pewnym czasie Fiszkun złożył binokle, odkaszlnął i spytał:

— Juda Salomonowiczu, macie wy trochę czasu?

— Dla was mam zawsze — zapewnił uprzejmie i stanął przed stołem, przy którym przeglądał Fiszkun książki administracyjne.

— Nu, ja wam powiem — uśmiechnął się Fiszkun — u was jest porządek, a jeśli wasi pisarze są sprawiedliwi, to wy macie dobre dochody.

— Oni są rzetelni ludzie, wszyscy nasi, i ja mam dochody.

— To nasz interes załatwiony. Kiedy zrobimy wesele?

— Mnie pilno, ja potrzebuję żony. Moja kucharka kradnie, ona mi nie dogadza, ja chcę mieć gospodynię rządną i poczciwą.

— Sonia nią będzie — pogładził brodę

Fiszkun — ale wesele nie może być zaraz. Matka musi sprawić suknie, okrycia, futra, przygotować inne rzeczy do wyprawy... Ja myślę, że za miesiąc, czy dobrze?

— Wolałbym wcześniej — obliczał Suderow czas w myśli — to już za miesiąc późna jesień będzie i dużo zajęcia z gazetą. Nie może być wcześniej?

— Ja nie wiem, ale żona mi mówiła, że na takie sprawunki trzeba miesiąc czasu.

— Wiecie, Mojżeszu Dawidowiczu, niech będzie za sześć tygodni, ja będę wolniejszy.

— Nu, niech będzie.

— A pamiętacie nasze warunki? — spytał Suderow.

— Ja pamiętam.

— Jakże wasz interes? Czy pozbyliście się gojów? Ci nowi, co przyjechali, przychodzili do mnie ze skargą, że wy drożej płacicie gojom.

— To już się skończyło — uśmiechnął się Fiszkun — ja musiałem dla dobra fabryki zgodzić się pozornie z gojami... ale mój szewc Josel tak brakował ich obuwie, że oni sami mnie porzucili. Teraz mam tylko naszych.

— To dobrze — skinął głową Suderow — a interes idzie?

— Co nie ma iść? — zaśmiał się — ja już odbiłem włożony kapitał, a przy nowych

transportach ściągnę procenta i będę miał zarobek.

— Nu, to dobrze — uśmiechnął się Suderow — i wy, Mojżeszu Dawidowiczu, obiecaliście coś z tych zysków dać córce waszej.

— Ja dam, czy ona nie moje dziecko? — wstał i zabierał się do wyjścia.

— Mojżeszu Dawidowiczu, to już ułożone, za sześć tygodni ślub. Czy tak? — podał Suderow rękę.

— Ja już powiedziałem.

Idąc do domu, Fiszkun zastanawiał się nad zamążpójściem córki. Jeśli on powie jej w ostatniej chwili, ona oburzy się, może zechce się sprzeciwiać, może wyrzuty mu robić, że ją oddaje bez zapytania, bez jej chęci i zgody? Czy nie byłoby lepiej uprzedzić ją i w danym razie wytłómaczyć, jaka to dobra i dla niej zaszczytna partya. Przecież ten Suderow, to redaktor, on ma wpływy, on ma znajomości wielkie, a przytem ma dochody i na niczem nie będzie jej zbywać.

Gdy doszedł do swego mieszkania, był już zdecydowany uprzedzić Sonię o małżeństwie.

W przedpokoju, jak zwykle, oczekiwała go już żona i pomagając mu do zrzucenia paltota, spytała:

— Nu, Mojsze, jak stoi interes Suderowa? Ja bardzo ciekawa.

— On idzie. Suderow ma z pięć tysięcy rocznie, ja ci mówiłem, że to obrotny człowiek.

— Nu, i co?

— Najpierw ty mi daj herbaty, my pogadamy o interesie.

Wkrótce postawiła szklankę herbaty przed mężem, usiadła i mówiła:

— Ja bardzo się cieszę, że interes Judy Salomonowicza idzie dobrze, Sonia będzie szczęśliwa, a ja o nią bardzo niespokojna.

— Co takiego? — spojrzał na żonę.

— Ona zanadto często wychodzi... otrzymuje polskie listy, a kilka razy pytał się o nią jakiś Polak. Naco jej to? Poco?

— I ja tak myślę. Czy Sonia w domu?

— Ona czeka na Saszę i nie wychodzi.

Fiszkun spojrzał na zegarek i powiedział:

— Sasza będzie za godzinę z pociągu, my mamy czas pogadać z Sonią.

— O czem?

— Nu, o jej małżeństwie.

— A czy nie lepiej później to zrobić?

— Ja się rozmyśliłem. Naco ona ma mówić, że ją to nagle zaskoczyło? że ona nie może przyzwyczaić się do myśli o zamążpójściu i zacznie zwlekać... ty ją zawołaj i ja jej powiem.

— Niech i tak będzie — wstała i poszła po córkę.

— Soniu — spytał ojciec wchodzącej — co ty robiłaś teraz?

— Ja czytałam.

— I to ciebie bawi?

— Jak czasem.

— A czemu ty w domu nie siedzisz?

— W domu? — powtórzyła pytanie — a co ja będę w domu robiła?

— Nu, dobrze... my z matką to samo mówimy, ty się nudzisz w domu. Tobie źle, ty nie masz zajęcia. Na to trzeba poradzić, bo dlaczego ty masz się nudzić?

Sonia spojrzała badawczo na ojca, na matkę i powiedziała:

— W domu nie jest mi źle i jak jest Sasza, to mi całkiem dobrze i ja nie chcę żadnej zmiany.

— To dobrze, ale my chcemy, żeby tobie było lepiej. Ty już dorosła dziewczyna, tobie należy się mąż.

— Ale ja nie chcę! — zawołała.

— Poco takie gadanie? — uśmiechnął się ojciec. — Każda dziewczyna chce wyjść za mąż, tak samo i ty, Soniu. I my znaleźliśmy tobie męża. On jest dosyć bogaty, ażeby ci dać wygody, on dosyć mądry, żebyś była szczęśliwa i on ma znaczenie, stanowisko... on

nie jest żaden zwykły kupiec albo agent, ale on ma swój własny i dobry interes. Co ty na to Soniu?

— Ja... Wierzę, że ojciec pragnie, ażebym była szczęśliwa, ale o szczęściu swojem może tylko sam człowiek decydować. Co dla jednego szczęściem, dla drugiego nieszczęściem. Czy nie tak?

— Ale my ciebie znamy, my sami wiemy najlepiej, co jest twojem szczęściem, i dlatego wybraliśmy dla ciebie męża. Czy ty nie jesteś jego ciekawa?

— Nic a nic — odparła porywczo; — czy on młody, czy stary, bogaty, czy ubogi, nic mnie nie obchodzi; ja nie chcę iść za mąż.

— Ty nie bądź głupia, — przemówił ojciec surowo, — każda dziewczyna musi mieć męża, takie jest prawo. I ty tak samo musisz iść za mąż. Twój przyszły mąż, to Suderow, redaktor i wydawca gazety „Dla naszych". On mądry, on dużo czytał, on ma majątek, on chce ciebie, a my z matką zgodziliśmy się na wasze połączenie. Rozumiesz?

— No, tak... słyszę. Uprzedzam was jednak ojcze, że ja go wcale nie kocham... ja go nie lubię i nie chcę.

— Co? — zawołał, czerwieniąc się z gniewu — ty mów tak do sobie równych, ja twój ojciec. Ja ci każę i ty musisz być posłuszna.

Sonia z błyskiem niechęci w oczach spojrzała na ojca, na matkę, chwilę milczała, wreszcie rzekła spokojnie:

— Kiedy ma być wesele?

— Nu, Sonia — przemówiła matka łagodnie — jak mnie to cieszy, że ty posłuszna. My chcemy tylko twego dobra, i wierz nam, że ty z nim będziesz szczęśliwa.

— To dziwne jednak — zauważyła z goryczą, — że nikt mnie nie spytał, czy ja jego chcę? Czy uważam to za szczęście, czy nieszczęście?

— Ty tak nie mów — rzekł ojciec surowo. — Inni rodzice wcale nie rozmawiają z córkami o przyszłym mężu, tylko naznaczają dzień ślubu i koniec. A ja dopiero dziś sprawdziłem stan jego interesu, pewność twego posagu, i dziś, tego samego dnia, mówię tobie, że jest naszą wolą i życzeniem, ażebyś wzięła go za męża. Ty go przecież znasz jeszcze z Moskwy, ty go widywałaś u nas, on tobie kwiaty przynosił.

Sonia, blada, z miną przygnębioną i nieszczęśliwą słuchała słów ojca, co widząc matka, mówiła łagodnie:

— Juda Suderow jest przystojny, on niestary, ma bardzo dobre zarobki, na niczem nie będzie ci zbywało. I on ma znaczenie, będziesz bywała w teatrze, na koncertach,

wszyscy będą ci zazdrościli takiego męża. Sonia, ty dobre dziecko, ty będziesz posłuszna rodzicom, ty pójdziesz za niego. Nu, Sonia, dlaczego ty nic nie mówisz?

— Co mam mówić? — powiedziała tonem oburzenia — przecież już raz mówiłam, że go nie kocham i nie chcę. Czy mama sądzi, że ja małe dziecko i wystarczy kilka słów zachęty, ażebym wzięła nową zabawkę?

— Sonia! — zawołał ojciec, wstając z krzesła i uderzając ręką w stół — ty tak nie mów do matki. Dotychczas my ciebie prosili i przemawiali do twego rozumu i serca, a teraz my tobie każemy, i ja ci powiadam, że będziesz żoną Suderowa. Słyszysz?

— Ja słyszę — szepnęła, — a kiedy wesele?

— Za sześć tygodni.

Sonia odetchnęła z ulgą. Sześć tygodni, to dosyć czasu, ażeby coś obmyśleć i uwolnić się od człowieka, którego dotychczas wraz z Saszą nie lubiła, a od tej chwili nienawidziła.

— Nu, Sonia — ucałował ją ojciec w czoło — bądź rozsądna, bądź dobra. Prawda, że pójdziesz za Suderowa? Co?

— Wy mi pozwólcie namyśleć się, zastanowić... To przyszło tak nagle... ja powiem później.

— Nu, a kiedy, Soniu?

— Jutro, ojcze... ja pójdę teraz do swego pokoju, ja zmęczona.

— Ty idź!

Po jej wyjściu rzekła żona z uśmiechem radości:

— Mojsze, ona dobre dziecko, ona posłuszna, ale bez ciebie nie dałabym sobie z nią rady... ona ma już przyszłość zabezpieczoną.

Fiszkun uśmiechnął się zadowolony, chodził po pokoju, palił papierosy i od czasu do czasu spoglądał na duży zegar ścienny, porównywał z kieszonkowym zegarkiem, wreszcie rzekł:

— Sasza powinien już być z kolei... czy przygotowałaś jedzenie?

— On będzie miał gęsinę, i rybę, i słodkie — uśmiechnęła się — i jak ty mądrze zrobiłeś, że go wysłałeś... Mojsze, a z tymi gojami już?

— Ja skończyłem z nimi... Teraz ja na każdej parze zarabiam dwa ruble. Nasi robią mi taniej i materyał nie kosztuje mnie drogo. Malciu, za jakiś rok, ja rzucę ten interes, on nie będzie nic wart, ale ja zarobię krocie na nim i nasi się pożywią przy nim, a goje zdechną z głodu.

— Krocie, powiadasz — zawołała uradowana — aj, to ty odpoczniesz. Aleksy się ożeni i Sasza także, i ty będziesz dziadkiem,

a ja babką... My jeszcze prawnuków doczekamy.

— I ja tak myślę... ale sza!... Tak, to dorożka przyjechała... to Sasza.

— Aj, jak ty jego miłujesz... ty świata poza nim nie widzisz.

Za chwilę wpadł Sasza do pokoju, opalony, wesoły, rumiany, i po serdecznem przywitaniu, gdy siadł do suto zastawionego stołu, mówił:

— Wszyscy krewni przesyłają rodzicom pozdrowienia; oni są dobrzy, gościnni, ale ja wolę w domu. Stęskniłem się. A gdzie Sonia? Czy wyszła?

— Ona w swoim pokoju — odpowiedziała matka, wstała i otworzywszy dalsze drzwi, zawołała: — Soniu! Sasza przyjechał!

— Ojcze, a co słychać w kantorze? Cały miesiąc nie byłem.

— Co ma być słychać? Wszystko dobrze idzie; mam dużo zamówień i wziąłem nowego buchaltera. Ty jutro się dowiesz.

Weszła Sonia, a zaczerwienione oczy świadczyły, że płakała. Spostrzegł to Sasza, chociaż ona usiadła w cieniu.

— Sonieczka — przemówił czule — co tobie? Miałaś zmartwienie?

— Drobnostka — uśmiechnęła się z przy-

musem — opowiedz, jak się bawiłeś? gdzie byłeś? kogo poznałeś?

— Za dużo pytań — zaśmiał się. — Byłem w Białymstoku, w Wilnie i w Mińsku. Krewnych poznałem całą kupę, ale ludzi naszych mało, tam śpią jeszcze.

— O czem ty mówisz, Sasza? — spytała zdziwiona matka, gdy ojciec wpatrywał się w syna.

— My z Sonią rozumiemy się... nieprawdaż? — spojrzał na siostrę.

— Nu, to mnie wytłómacz, niech i ja wiem także.

— Malciu, ty daj mu spokój z pytaniami, niech on zje. Kiedy ty wyjechałeś z Mińska?

— Dziś rano o szóstej i dwanaście godzin byłem w drodze... A co słychać u Aleksego? jak mu idzie?

— Chwała Bogu, dobrze, ale jemu ludzie zazdroszczą szczęścia — mówiła matka — i on ma teraz nieprzyjemności.

— Jakie? — spojrzał na ojca.

— Nu, on był za ryzykowny — odpowiedział ojciec, — chciał w kilka miesięcy zrobić majątek, a teraz mu trochę ciasno... on nie chciał mnie słuchać.

— Cóż takiego się stało?

— To jest taki interes — zaczęła matka, — Aleksy wszystko mi powiedział. Jego wrogiem

jest jeden goj, dyrektor fabryki platerów, i on go zaskarżył do sądu o jakieś marki, o krój garnituru, nu, przyczepił się do niego.

— I cóż dalej? — spytał Sasza, odkładając nóż i widelec, ażeby słuchać uważniej.

— Co ma być? — wzruszyła ramionami. — Aleksy mądry, on przeniósł swój skład; w sklepie wszystko w porządku; on wziął sobie dobrego adwokata, Rutenberga, jemu nic nie będzie, ale ma teraz trochę nieprzyjemności.

— Nu, to i tak szczęśliwie dla Aleksego — rzekł Sasza, zabierając się do jedzenia. — To był zawsze ślizki interes i prędzej czy później przekonaliby się ludzie, że on dawał lichy towar za drogie pieniądze, i interes musiałby zwinąć.

— Ty, Sasza, tak nie mów, ty się nie znasz na interesach — powiedziała matka z miną niesmaku.

W tej chwili wszedł Aleksy mówiąc z progu:

— Miałem interes w tej stronie, wstąpiłem, ażeby coś zjeść — i patrząc na stół: — aj, cóż za doskonałe przysmaki, nu, miałem dobry węch — pogłaskał nos wielki, garbaty — mamo, czy gęsina z czosnkiem, jak ja to lubię? — siadł do stołu.

— Ja to wiem... ja sama naszpikowałam czosnkiem — uśmiechnęła się i przysunęła mu gęsinę.

— Nu, Sasza, co u ciotki słychać? podobno kupili dobrze dęby... to dobry interes z lasami — zajadał gęsinę.

— Coś słyszałem, ale mnie to nie interesowało... a wie ojciec, ten mały Kość, on zdał egzamin do trzeciej realnej, to zdolny chłopiec.

— Ja wiem, a co porabia Wasylko? — spytał Fiszkun.

— On w interesie; porzucił naukę.

— Aleksy, może zjesz coś słodkiego? — przysunęła mu matka talerz.

— Ja zjem, jak skończę gęsinę.

— A co, Aleksy, w interesie? — spojrzał ojciec — co mówił adwokat?

— Nie widziałem go dzisiaj... ale ja wiem, że to skończy się na groźbach, ja się nie boję.

W przedpokoju zabrzmiał ostry dzwonek, tak że wszyscy z niepokojem spojrzeli w tę stronę.

— O, temu pilno — zaśmiał się Aleksy.

Za chwilę wszedł do pokoju brunet wzrostu średniego, z krótko przyciętą brodą, we fraku z odznaką metalową na lewej klapie i skłoniwszy się, rzekł:

— Aleksy Mojżeszowiczu, szukam was od kwadransa.

Oboje starzy i Aleksy trochę pobledli na

widok adwokata. Aleksy wstał i spytał gorączkowo:

— Czy jest co nowego?

— Przecież nie szukałbym was... są ważne rzeczy... chcę z wami pogadać.

— My tu swoi, panie adwokacie — przemówił Fiszkun — mów pan, przecież w sklepie jest i mój kapitał.

Adwokat spojrzał pytająco w oczy Aleksego, a ten bąknął:

— Mów pan.

Adwokat przysunął sobie krzesło, usiadł, tekę trzymaną w ręku położył przed sobą i zaczął:

— Ten dyrektor, a właściwie adwokat fabryki, to przebiegły pies. Czy wiecie, co on zrobił?

— Nu?

— On wasz towar, Aleksy Mojżeszowiczu, wysłany do Kułakina w Tyflisie, kupił u niego w opakowaniu waszem.

— Aj, aj! — zbladł Aleksy.

— W sądzie kazał otworzyć pakę i ma teraz dowód na was.

— Aj, to nieszczęście! — wyszeptał Aleksy, blady jak płótno. — Panie adwokacie, co tu robić? co robić?

— Aj, aj! — jęczała matka.

— Mało tego, stała się rzecz gorsza — mówił adwokat z miną smutną.

— Co takiego? — zerwał się z krzesła stary Fiszkun — mów pan!

— Ktoś... widocznie ze sklepu waszego, zdradził wasz skład.

Obaj Fiszkunowie omal nie zemdleli, a matka wybuchła głośnem łkaniem.

— Komornik nałożył pieczęcie sądowe — ciągnął dalej adwokat. — Ja radziłem wam, Aleksy Mojżeszowiczu, przenieść skład do innego miasta... a teraz nieszczęście!

Stary Fiszkun pierwszy się opamiętał, otarł dłonią pot kroplisty z czoła i spytał głosem ochrypłym:

— Panie adwokacie, co jemu grozi? — wskazał na Aleksego.

— Konfiskata towaru, zajęcie sklepu na pokrycie strat i kosztów fabryki, a on sam pójdzie do więzienia, a kto wie, czy nie ześlą na Sybir.

— I za co? za co? — jęczała matka.

— Aleksy Mojżeszowicz wie — rzekł adwokat — ja go uprzedzałem; to kwalifikuje się jako oszustwo i fałszowanie marki fabrycznej.

— Ratuj pan! Ratuj! — błagała matka — zmiłuj się pan nademną, nad nami! Mój Aleksy na Sybir! Ach, ja umrę! — i wybuchnęła

głośnem łkaniem, odpychając od siebie Sonię i Saszę, którzy ją pocieszali.

— Tu płacz i jęki nic nie pomogą — powiedział twardym głosem adwokat — jedyny ratunek jest w tem, ażeby pan Aleksy Mojżeszowicz wyjechał, zanim go zaaresztują.

— Jedź! Jedź zaraz! Aleksy! — zerwała się matka z krzesła.

— Sza! Cicho! — uspokajał mąż. — Co będzie, panie adwokacie, jak on wyjedzie? Czy to się opłaci?

— Ja myślę, że z fabryką może przyjść do porozumienia, jak się jej zapłaci.

— A ile?

— Tego nie wiem. Ona sobie liczy strat na pięćdziesiąt tysięcy rubli, ale to się tak mówi, weźmie mniej.

— Nu, a co będzie z Aleksym?

— W jaki rok, dwa, trzy, jak sprawa się utrze, on może wrócić. Prawdopodobnie posiedzi kilka miesięcy i koniec.

— Kiedy on ma wyjechać?

— Dzisiaj, jak najprędzej... Aleksy Mojżeszowiczu, macie paszport?

— Nie.

— A przecież mówiłem.

— Żal mi było pieniędzy — odpowiedział z głuchą rozpaczą.

— Jakże pan wyjedziesz za granicę bez paszportu? A dziś musisz wyjechać!

Matka głośniej załkała, ojciec westchnął żałośnie i z goryczą patrzał na Aleksego.

— Ja wystaram się o paszport — odezwał się nagle Sasza.

— Pan? — zdziwił się adwokat — już ósma wieczór, za cztery godziny odchodzi kuryer do Berlina.

— Ja dostanę, a ty, Aleksy, pakuj kuferek, ja przyjdę wkrótce — wziął kapelusz i wyszedł.

— Czy tylko dostanie paszport? — rzucił adwokat.

— On dostanie — odpowiedział ojciec — on nie rzuca słów na wiatr.

## XIV.

Na drugi dzień po wyjeździe Aleksego, Sonia powiedziała bratu o postanowieniu rodziców wydania jej za mąż za Suderowa.

Mówiła o tem z gniewem, z rozpaczą i gotowa była na wszystko się ważyć, byle uniknąć tego małżeństwa.

Sasza wysłuchał uważnie, dopytywał się o szczegóły, wreszcie rzekł:

— Soniu, nie martw się, to się zmieni. Ojciec jest uczciwy i sprawiedliwy człowiek, gdy mu wytłómaczę, że to jest nieszczęściem dla ciebie, on nie będzie cię zmuszał.

— Ja w to nie wierzę — zawołała Sonia — ojciec ma jakiś interes w tem małżeństwie. Może Suderow bierze mały posag, może ojciec potrzebuje tego człowieka, może wchodzi w spółkę... w tem coś jest, bo przecież Suderow nie jest bogaty, nie młody i rozwiódł się.

— Ja to wszystko zbadam, Soniu; bądź spokojna, ja pogadam z ojcem.

— Bądź spokojna! — zadrwiła — gdy nademną wisi nieszczęście, dobrze tobie mówić, ale co ja zrobię? — zalała się łzami — jestem małoletnia i u nas córki głosu nie mają.

— Nu, Sonia, nie płacz... daję ci słowo uczciwego człowieka, że nie dopuszczę do tego małżeństwa.

— Naprawdę? — uśmiechnęła się wśród łez.

— Czy mi nie wierzysz?

— Wierzę... wierzę — ucałowała brata — ach, Sasza, ty mi życie wracasz... A kiedy pomówisz z ojcem?

— Upatrzę stosowną chwilę... teraz ojciec zmartwiony tą sprawą Aleksego, muszę czekać.

— Ano, niech i tak będzie.

W kantorze zastał Sasza nowego buchaltera i pisarza, swego dobrego znajomego z Moskwy. Po przywitaniu zabrał się do pracy zwykłej. Dla ojca miał słowa tylko dobre i czułe, a upatrzywszy chwilę, gdy z Rosyi nadeszły dobre wiadomości, które ojca bardzo ucieszyły, udał się do jego biura.

— Czego chcesz, Sasza?

— Ja przyszedłem pogadać z ojcem w sprawie bardzo ważnej.

— Ty mów... siadaj — powiedział chmu-

rząc się, obawiał się bowiem, że syn będzie mówił o szewcach chrześcijańskich.

— Idzie o Sonię, ojcze — zaczął — ona nie lubi Suderowa, ona go nie chce.

Ojciec odetchnął swobodniej i rzekł z uśmiechem:

— To głupstwo, Sasza; jak ona ma go lubić czy nie lubić, kiedy go zna tak mało? Suderow jest bardzo dobrą partyą; on ma dochody, będzie miał większe i ma znaczenie, uznanie.

— Nu, tak, ale jeśli Sonia nie chce...

— Co to nowego!? — zawołał gniewnie ojciec — ona nie ma co chcieć lub nie chcieć, tego u nas nie było i nie będzie, ażeby córka sprzeciwiała się rodzicom.

— Ależ ona tylko prosi ojca — łagodził Sasza.

— Nu, to niech nie prosi, nic nie będzie z tego... Ja dałem słowo uczciwego kupca, my zrobiliśmy umowę, i ja ani myślę zrywać; nie mogę łamać słowa danego.

— Ojcze, dlaczego chcesz Sonię unieszczęśliwić? Ona przecież dziecko twoje. Daj się uprosić.

— Sasza, przestań — rzekł surowo. — Ty tego nie rozumiesz, każda dziewczyna wzdraga się przed mężem, a potem szaleje za nim i zapomina o rodzicach, braciach, krewnych.

— Nie Sonia.

— Ona taka sama. Ty nie znasz kobiet, a ja wiem, że będzie z nim bardzo szczęśliwa.

— Mój ojcze, ja bardzo cię proszę i błagam, nie doprowadzaj jej do rozpaczy, to może źle się skończyć.

— Sasza, milcz! Ty strasz sobie dzieci, nie mnie starego. Jeszcze żadna dziewczyna przez zamążpójście nie zginęła. Zresztą dałem słowo i koniec.

— Nu, a gdyby Suderow zwrócił ojcu słowo? ja pójdę do niego.

— Ani się waż! — zawołał zaperzony i czerwony. — Czy ty wiesz, że on ma Aleksego i mnie w garści? on zrobi z nami, co zechce.

— A to jakim sposobem? — zdziwił się.

— On potrzebuje tylko rozgłosić w gazecie o Aleksym... on wywlecze moje dawne sprawy... to nasza ruina gotowa. I ty nie idź do niego, ja ci zakazuję najsurowiej, on zresztą tobie nie uwierzy, bo on ma moje słowo... Nu, ty idź sobie Sasza i nie gadaj ze mną o tej sprawie.

Sasza wyszedł smutny i przybity, przypomniał sobie słowa Soni o interesie ojca i uśmiechnął się gorzko. Więc i córkę poświęca się dla interesu, nic niema świętego...

Gdy wychodził z kantoru, przyłączył się

do niego Icek, przyjęty w jego nieobecności pisarz, przyjaciel prawie, z czasów pobytu w Moskwie.

— Sasza, czego ty smutny?

— Każdy ma swoje smutki.

— Ale co tobie może brakować? — uśmiechnął się. — Ty wkrótce będziesz krociowy pan, tobie świat się uśmiecha cały.

— Ja? krociowy pan? co ty mówisz?

— Nu, nie ty, ale twój ojciec, to wszystko jedno, bo on ciebie kocha.

— Ani ojciec nie jest krociowy, ani ja; y, Icek, przesadzasz.

— Ja!? Nu, Sasza, ja dopiero tu miesiąc, a ja wszystko wiem.

— Co takiego?

— Twój ojciec poprostu genialny. On wziął się do eksportu obuwia; prawie połowę eksporterów zdystansował przez obniżkę cen... Potem pozbył się gojów, a wziął naszych, dał zły i tani materyał, a ceny bierze takie, że rubel na rublu zarabia i wkrótce zrobi krocie... mówię: krocie!

Sasza zmieszał się. Tak jasno nikt mu jeszcze nie przedstawił spekulacyi ojca. Postanowił zbadać sprawę, ale na razie odpowiedział wymijająco:

— Ty zapominasz o wkładach, o spólnikach,

ale nie przeczę, że ojciec mój bardzo zdolny kupiec.

Rozstali się. Sasza, smutny, zgnębiony, tak sprawą Soni, jak i wiadomościami o nieczystych spekulacyach ojca, powlókł się do domu.

Sonia, spojrzawszy na brata, domyśliła się, że wstawienie się Saszy u ojca nie odniosło skutku i gdy zostali sami, spytała:

— Sasza, co z ojcem?

— Nie był w usposobieniu... trochę się zgniewał... ale to da się zrobić, nie trać nadziei.

— A ty ją masz?

— Już raz ci powiedziałem, że nie dopuszczę do tego małżeństwa... dlaczego mnie męczysz?

— Czy miałeś z ojcem jeszcze inne przejście?

— Tak i nie... ja zobaczę, ja muszę się przekonać.

Przez następne dni Sasza niemal nie wychodził z biura, przeglądał książki, porównywał, zapisywał cyfry i daty, badał magazynowe książki i zawsze chmurny, posępny wracał do domu.

Spostrzegł to ojciec i pewnego wieczora rzekł:

— Sasza, ty byłeś u Kleinwegów?

— Nie... nieszczęśliwy nie lubi szczęśliwych.

— Co ty mówisz? — zdziwił się — ty, nie-

szczęśliwy? Czy trzeba ci pieniędzy? czy małą masz pensyę?

— Nie, nie! Ja nic nie chcę od ojca — zawołał porywczo i zaraz dodał spokojniej: — istotnie, Soniu, dawno już nie widziałem Mieczysława i Ireny, może dziś pójdziemy?

— Ja z miłą chęcią... nawet Irena prosiła mnie, ażebym przyszła.

— To chodźmy, — wstali i pożegnawszy się wyszli.

Irena i Mieczysław przyjęli ich gościnnie, ale wkrótce nerwowy Sasza odczuł pewien chłód i gdy siedzieli wspólnie w gabinecie, spytał:

— Mieczysławie, ty jakiś inny ze mną, co się stało?

— Ach, to, widzisz, odruchowe — zarumienił się Mieczysław — bo ty właściwie nic nie zawiniłeś, a jednak czuję się skrępowanym.

— No, cóż takiego? mów śmiało. Mam niejasne przeczucie, co to jest, ale nie mam pewności.

— Nie, nie mogę — rzekł po chwili Mieczysław — to zresztą głupie.

— To nie mów — zachmurzył się Sasza.

Tymczasem dziewczęta szeptały ze sobą i nagle zawołała Irena:

— Mieciu! Sonia idzie za mąż!

— To niespodzianka! Za kogo?

— Ach, wiesz, za Suderowa, redaktora pisma żargonowego „Dla naszych“, takiego wroga wszystkiego co polskie i najgorszego reakcyonisty wśród żydów.

— I wy, Sonia, wychodzicie za niego? Prędzej spodziewałem się śmierci.

— Ależ ja nie chcę — powiedziała stanowczym głosem — ojciec chce, a ja jestem małoletnia, lecz użyję wszelkich sposobów, ażeby małżeństwo nie przyszło do skutku.

— I bardzo słusznie — mówiła gorączkowo Irena. — Czy ty bydlę na targu? czy każdy może cię kupić?... I ta uzurpowana władza ojca!? Jeszcze rozumiem, ojciec zacny, dobry, kochający, ale nie twój!

— Irenko! Irenko! — upomniał brat.

— Dlaczego mam milczeć? — zawołała podrażniona — wszyscy mówią o tem, wróble świegocą na dachu!

— Mieczysławie, to było to — powiedział pobladły Sasza.

Zamiast odpowiedzi słownej otrzymał potakujące skinienie głowy.

— Ja się domyślałem — westchnął. — Słuchajcie, Ireno, ja dla was mam więcej aniżeli przyjaźń, wy mi powiedzcie całą prawdę, z waszych ust ona nie będzie taka gorzka.

— Więc powiem — rzekła śmiałym głosem. — Wasz brat Aleksy naraził dużo ludzi

na dotkliwe straty, ale że to z fabryką sprawa, został ukarany i bardzo słusznie... ale z ojcem waszym gorzej... Czy mam mówić?

— Ja was proszę — rzekł drżącym głosem.

— Mieliśmy w Warszawie, jak mówił mi ojciec, przemysł obuwia bardzo trwały, poszukiwany i ceniony na targach rosyjskich, i przyszedł wasz ojciec i wziął się do spekulacyi.

— Już wiem — westchnął Sasza.

— Czy i to wiecie, ilu eksporterów zrujnował? Ilu szewców wpadło w nędzę, rozpacz, pijaństwo? I jak wyzyskiwał żydowskich szewców? I jaki towar lichy, ohydny wysyła do Rosyi pod firmą warszawskiego obuwia?... Na każdym groszu zarobionym przez waszego ojca są łzy i przekleństwa... i czy powinna Sonia słuchać takiego ojca, który ją sprzedaje jak towar?

Po bladej twarzy Saszy spłynęły łzy i zostawiły ślad czerwonawy, tak były gorzkie i palące.

Wśród wielkiej ciszy powiedział cichym, bezdźwięcznym głosem:

— Ja coś się domyślałem, ale nie mogłem pomyśleć tak źle o ojcu... teraz wiem. I ani ja nie miałbym szacunku dla siebie, ani wy, Ireno, dla mnie, gdybym dotknął tych krwawych pieniędzy... Ja muszę porzucić dom i pójdę na tułaczkę.

— O, nie, Sasza — zerwała się Irena — z was dzielny człowiek, kocham was, ale nie upadajcie na duchu, idźcie w świat, ale nie na tułaczkę, lecz na naukę. Szukajcie czystej wiedzy, ona da wam spokój i szczęście.

— Dodajcie mi sił, Ireno, — uścisnął jej rękę — a kiedyś wrócę do was i po was.

— A co ze mną? — zawołała Sonia.

— Pojedziesz ze mną, pójdziemy na uniwersytet, będziesz się uczyła.

— Czy macie środki? — spytał Mieczysław.

— Mam trochę oszczędności — rzekł Sasza, — zresztą będę zarabiał.

Następnie ułożyli się, że pojutrze, pod pozorem wycieczki do fabryk żyrardowskich, wyjadą zagranicę raniutko, a Mieczysław przez posłańca odeszle Fiszkunom list pożegnalny wieczorem.

— — — — — — — — — — —

W pokoju jadalnym jasno paliła się lampa wisząca. Fiszkunowa smutna i zobojętniała siedziała przy stole, słuchając o świetnych interesach, zrobionych na obuwiu. Przez chwilę słychać było syczenie lampy w pokoju i chód ściennego zegara, milczeli, wtem zadzwoniono i posłaniec wręczył list.

— To od Saszy — zawołał ojciec i szybko rozdarł kopertę.

Wziął list w rękę, podsunął ku lampie, lecz

im dłużej czytał, tem bardziej trzęsła mu się ręka, bladł na twarzy, łzy zasłoniły mu oczy, puścił list z ręki i usiadłszy ciężko na krześle, zawołał rozdzierającym głosem:

— Sasza!... Sasza!... Wróć do mnie! Wróć!